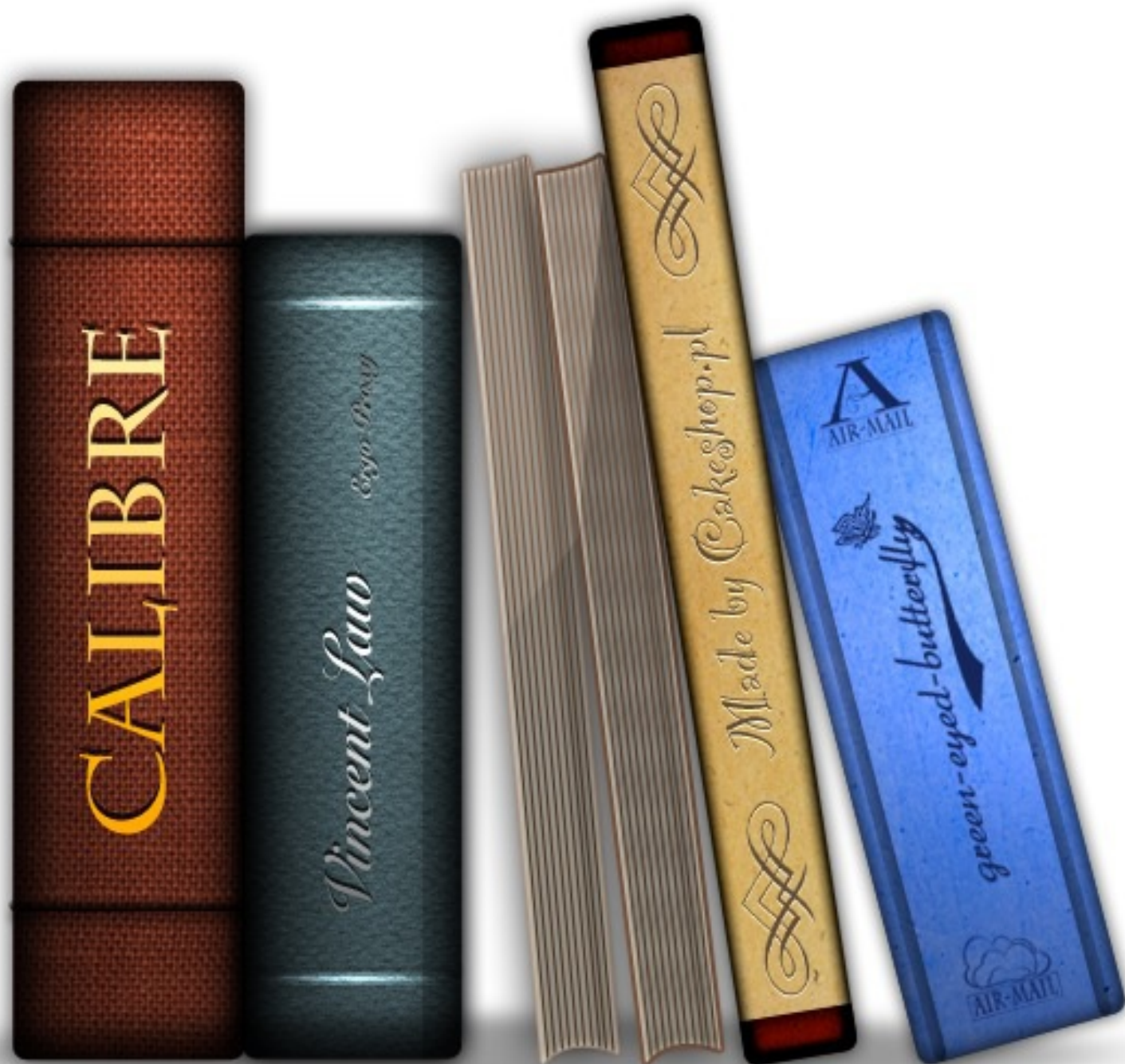


Garan niesmiertelny

NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

Andre Norton

Garan niesmiertelny

Tłumaczył: Piotr Kus

Tytuł oryginalny: Garan the Eternal

SCAN-dal

Część pierwsza

1. Poprzez błękitną mgłę

Szesc miesięcy i trzy dni po tym, jak podpisano Pokój Szanghajski i świat ogłosił koniec Wielkiej Wojny lat 1915-1918, pewien młody mężczyzna siedział zgarbiony na drewnianej ławce w nowojorskim parku i beznamiętnie wpatrywał się w czubki swoich zniszczonych butów. Jedynym zajęciem, do którego przygotowany był w życiu, było pilotowanie samolotu myśliwskiego: niczego więcej nie potrafił. Poszukiwania jakiegos zajęcia w życiu cywilnym przyniosły mu tylko rozczarowania i upokorzenia. W pewnej chwili na drugim końcu ławki przysiadł ktoś zupełnie obcy młodemu człowiekowi. Lotnik zmierzył go uważnym spojrzeniem. Tak, westchnął z goryczą. Nowo przybyły miał dobre buty, ciepły płaszcz i roztaczał wokół siebie aure zadowolenia, jaka zawsze towarzyszy człowiekowi, któremu w życiu się powiodło. Mimo że niewątpliwie przybysz już dawno przekroczył wiek uważany za średni, jego ruchy były sprzyste, a twarz inteligentna i czujna.

-Czy mam przyjemność z kapitanem Garinem Featherstone? - rzucił przybysz niespodziewanie.

Zaskoczony lotnik jedynie skinął głową. Dwa lata temu on, kapitan Garin Featherstone ze Zjednoczonych Sił Demokratycznych, dowodził niebezpiecznym atakiem bombowym na bezkresne obszary Azji, z zadaniem zniszczenia ukrywającego się w niedostępnych terenach sił wroga. Była to spektakularna i szeroko komentowana wyprawa. Lotnikom, którzy ją przeżyli, przyniosła krótkotrwała sława.

Nieznajomy wydobył z kieszeni wycinek z jakiejś gazety i znowu się odezwał:

-Jest pan człowiekiem, którego szukam. Pilotem o ogromnej odwadze, inicjatywie i inteligencji. Mężczyzną, który dowodził nalotami na Azję.0 wart jest, by w niego zainwestować.

-Co chce mi pan zaproponować? - zapytał Featherstone niechętnie. Nie wierzył już, że kiedykolwiek uśmiechnie się do niego szczęście.

-Nazywam się Gregory Farson. - Nieznajomy przedstawił się takim tonem, jakby jego imię i nazwisko wszystko wyjaśniały.

-Człowiek z Antarktydy?

-Właśnie. Jak pan zapewne słyszał, moja ostatnia wyprawa musiałem odwołać dosłownie w przededniu jej rozpoczęcia, z powodu wybuchu wojny. Teraz jednak przygotowuje się do kolejnej ekspedycji na południe.

-Nie rozumiem jednak...

-...w jaki sposób mogłby mi pan pomóc? To bardzo proste, kapitanie Featherstone. Potrzebuje pilotów. Niestety, wojna znacznie przetrzebila ich szeregi. Miałem szczęście, że natrafiłem na kogoś takiego jak pan...

To było tak proste. Garin nie dowierzał jednak swojemu szczęściu aż do chwili, w której, kilka miesięcy później, morską ekspedycję dotarła do kontynentu wiecznych lodów. Gdy ściągnięto na ląd trzy duże samoloty, zaczął zastanawiać się, jaki jest cel wyprawy. Do tej pory Farson był tajemniczy nie chciał niczego zdradzić.

Kiedy statek odpłynął (miał powrócić dopiero za rok), Farson zwołał zebranie wszystkich uczestników ekspedycji, grupa składała się z trzech pilotów - wszyscy byli weteranami wojennymi - oraz dwóch inżynierów.

-Wkrótce - odezwał się przywódca, spoglądając po twarzach wszystkich uczestników ekspedycji - wyruszamy w głąb kontynentu Tutaj - na rozłożonej przed sobą mapie zakreślił długą, purpurową linię.

-Przed dziesięcioma laty - kontynuował - byłem uczestnikiem ekspedycji Verdane'a. Pewnego razu, gdy lecieliśmy na

południe, nasz samolot wpadł w jakiś dziwny prad powietrza i zboczył z kursu. W chwili, gdy już kompletnie nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy, zobaczyliśmy przed sobą w oddali gestę, błękitną mgłę. Zdawało się, że płynie od bezkresnych obszarów, pokrytych lodem, prosto ku niebu. Niestety, zaczynało brakować nam paliwa, a ponieważ musieliśmy jeszcze zorientować się, gdzie jesteśmy, zrezygnowaliśmy z bliższego przyglądania się temu zjawisku. Z trudem dotarliśmy do bazy.

-Ycrdane. Niestety, nie zainteresował się naszym raportem i więcej do sprawy błękitnej mgły już nie wracaliśmy. Jednak trzy lata temu ekspedycja Kattacka, wysłana przez Dyktatora w celu poszukiwania nowych źródeł ropy naftowej, zaobserwowała to samo zjawisko. Tym razem nie spoczniemy, dopóki go nie zbadamy!

-Dlaczego - zapytał Garin z zaciekawieniem - tak bardzo chce pan spenetrować tę mgłę?

Farson przez chwilę jakby wahał się, jednak postanowił, że udzieli mu odpowiedzi.

-Otoż powszechnie uważa się, że pod lodową pokrywę Antarktydy znajdują się nieprzebrane bogactwa mineralne. Jestem przekonany, że błękitna mgła powodowana jest przez aktywny wulkan, a może nawet przyczyną jej jest jakaś przerwa w lodowej powłoce Antarktydy. Takie właśnie miejsce chciałbym zbadać.

Garin pochylił się nad mapą. Wyjaśnienie Farsona nie przekonało go, jednak to on w końcu płacił wszystkie rachunki, on był kierownikiem wyprawy. Spróbował odegnąć od siebie wszystkie wątpliwości. Chlebodawcy, który sprawił, że znowu mogli regularnie jadac, był w stanie wiele wybaczyć.

Cztery dni później wyruszyli w drogę. Helmy, jeden z inżynierów, pilot Rawlson oraz sam Farson zajęli miejsca w pierwszym samolocie. Drugi inżynier i drugi pilot wsiedli do kolejnego samolotu, a Garin z większością zaopatrzenia sam poleciał w trzecim.

Był zadowolony, że może lecieć samotnie. Jego samolot, z powodu ciężkiego ładunku, nie mógł wznieść się tak wysoko jak pozostałe dwa. Garin leciał więc w pewnej odległości od nich. Porozumiewali się za pomocą radia. Zakładając przed startem słuchawki na uszy. Garin przypomniał sobie ostatnie słowa, jakie usłyszał od Farsona przed wejściem do samolotu:

-Mgła zakłóca fale radiowe. Przed laty, kiedy znalazłem się w jej pobliżu, słyszalność była bardzo słaba. Prawic taka - rozesmiał się - jakby ktoś w drugim samolocie mówił coś do mnie w obcym języku.

Ustawiając samolot do startu, Garin zastanawiał się, czy te obce słowa nie były przypadkiem rozmową uczestników tajnej ekspedycji wroga, takiej na przykład, jak wyprawa Kattacka.

W swej hermetycznej kabinie nie czuł mrozu, jaki otaczał samolot. W lodowatym, spokojnym powietrzu maszyna płynnie sunęła nad ziemią. Z zadowoleniem Garin wygodnie rozsiadł się w fotelu pilota i leciał kursem, który wyznaczały samoloty, sunące przed nim i nad nim.

Mniej więcej po godzinie od opuszczenia bazy ujrzał coś, jakby mroczny cień, daleko przed sobą. W tym samym momencie usłyszał w słuchawkach głos Farsona: - To jest to! Lecimy prosto w tym kierunku! Cień stawał się coraz bardziej nieprzenikniony, aż wreszcie przeobraził się w purpurowobłękitną ścianę, rozciągającą się od ziemi aż do samego kranca nieba. Pierwszy samolot był już bardzo blisko niej. Już miał w nią wlecieć, gdy niespodziewanie zakolysał się i zaczął lecieć prosto w kierunku ziemi, jakby pilot stracił nad nim kontrolę. Jednak po niedługim czasie przeszedł do lotu poziomego i wydawało się, że wszystko jest w porządku, lecz maszyna jakby w panice uciekała od purpurowobłękitnej ściany. Garin usłyszał w słuchawkach pytanie Farsona, co się dzieje, jednak nikt z pierwszego samolotu nie udzielił mu odpowiedzi.

Garin postanowił lecieć wolniej i zredukował obroty silników. To, co przydarzyło się pierwszej maszynie, nie zapowiadało niczego dobrego. Może, na przykład, purpurowobłękitna mgła zawierała jakiś trujący gaz.

-Blizej. Featherstone - warknął Farston niespodziewanie.

Posłusznie przyspieszył i po chwili lecieli już skrzydło w skrzydło. Mgła była już teraz tuż przed nimi i Garin ujrzał w niej ruch: gesty, ciemne, zachodzące na siebie balwany. Samolot wpadł pomiędzy me i na szybach pojawiły się dziwne, jakby lepkie krople wilgoci.

Nagle Garin wyczuł, że nie jest sam. Poczul, że w glebi pustej kabiny, za jego plecami, pojawił się jakiś inny, nieznanemu mu umysł, o ogromnej mocy. Z desperacją spróbował zrzucić z siebie jego władzę, odrzucić od siebie samą myśl, że ktośkolwiek jeszcze, oprócz niego, jest w kabinie, lecz po chwili musiał się poddać. Jego ręce i nogi wciąż pilotowały samolot, jednak obcy przejął nad nimi całkowitą kontrolę.

Samolot wciąż płynnie mknął przez mgłę, która coraz bardziej gestniała. Garin nie widział już maszyny Farsona. Jeszcze

raz spróbował podjąć walkę przeciwko obcemu umysłowi - bezskutecznie. I gdy dotarł do niego rozkaz, aby zanurkował samolotem w samo serce purpurowej mgły, posłusznie go wykonał.

Samolotem zaczęło teraz rzucić i trząść. W pewnym momencie, gdy mgła na krótką chwilę zrzędnęła. Garin ujrzał surowe szare skały, urozmaicone miejscami żółtym kolorem o różnych odcieniach. Farson miał rację; tutaj ziemi nie pokrywała lodowa powłoka.

Coraz bardziej zbliżał się do ziemi. Jeżeli wszystkie instrumenty w maszynie działały sprawnie, to w tej chwili powinien już znajdować się poniżej poziomu morza. Mgła wkrótce zrzędnęła i zniknęła. Pod samolotem pojawiła się ogromna zielona równina. Z rzadka wyrastało z niej coś, co od biedy określić można było jako drzewa. Garin ujrzał też strumienie, w których płynęła żółta woda.

Było w tym krajobrazie coś przerażająco obcego, niesamowitego. Przerażony, znowu spróbował wyrwać się spod władzy nieznanego. Ponownie bez skutku. Niespodziewanie usłyszał w słuchawkach jakiś zgrzyt i w tej chwili widok za iluminatorem zniknął.

Na rozkaz obcej siły Garin poderwał nos samolotu do góry. Maszyna błyskawicznie zaczęła oddalać się od zielonego ładu. Znowu otoczyła ją mgła. Na szybach jeszcze raz pojawiły się ciekłe, ciemne krople. Jeszcze jakieś sto stop i - Garin był przekonany - zakończy się koszmar dziwnej mgły i niewiarygodnego świata, który osłaniała.

I wówczas, bez żadnego powodu, silniki samolotu zakaszły; maszyna płynnym lotem ślizgowym ponownie zaczęła lecieć w dół, w kierunku zielonego ładu. Teraz już bardzo blisko samolotu pojawiły się drzewa i wielkie, rozłożyste rośliny, przypominające paprocie. Ich pnie i łodygi były jednak czerwone. Samolot zmierzał ku największemu skupisku tych roślin.

Niemal oszalał ze strachu. Garin zaczął chaotycznie szargać za wszystkie dzwignie sterów. Udało mu się doprowadzić do tego, że maszyna zmieniła tor lotu na bardziej płaski. Nie mając już wątpliwości, że za chwilę znajdzie się na ziemi, rozpoczął gorączkowe przygotowania do lądowania. Uważnie rozglądał się za jak największym fragmentem płaskiej powierzchni. Jednak nie było mu dane jej znaleźć. Nieznana siła znowu przejęła całkowitą kontrolę nad lotem i skierowała samolot prosto na wysokie niby-paprocie. W momencie, kiedy maszyna uderzyła w nie, rozległ się przeraźliwy zgrzyt pekającej blachy i łamanych drzew. W tej samej chwili Garina ogarnęła ciemność.

Świadomość wracała mu bardzo wolno. Ogromny ból sprawiał, że przed oczyma warowały mu jakby czerwone platy. Był unieruchomiony w masie żelastwa, które kiedyś było kabiną jego samolotu. Przez niewielkie pęknięcia w ścianie, tuż obok głowy, widział zieloną ziemię. Leżał bez ruchu i wpatrywał się w nią. Bał się, że najmniejsza próba poruszenia się sprawi, iż ból stanie się jeszcze straszniejszy.

W pewnej chwili usłyszał jakieś dźwięki z zewnątrz, jakby czyjeś ręce próbowały rozerwać kabinę, w której był uwięziony. I rzeczywiście: po chwili jedna z blach ograniczających mu swobodę ruchu z brękiem odpadła.

Garin powoli odwrócił głowę. W dopiero co powstałym otworze ujrzał dziwaczne stworzenie, podobne do chochlika.

Miało mniej więcej pięć stop wzrostu i chodziło na tylnych nogach prawie jak człowiek, jednak nogi te były bardzo krótkie i grube, zakończone stopami, w których tkwiło po pięć palców; wszystkie identycznej grubości. Szczupłe, wiotkie ramiona zakończone były małymi dłońmi o czterech palcach. Stworzenie miało wysokie, okrągłe czoło, lecz pozbawiona brody jego twarz przypominała trochę oblicze jaszczurki. Skóra tego dziwoląga była czarna, lśniaca, jakby aksamitna. Wokół bioder przewiązana miało krótką spodniczkę, która podtrzymywał wysadzany błyszczącymi kamieniami pięknie wykonany skorzany pas. Spodniczka lśniła metalicznym blaskiem.

Stworzenie przez długą chwilę nie odrywało ślepiów od Garina. Te właśnie oczy, jakby stworzone ze złota, sprawiły, że lotnik w jednej chwili przestał się bać. Z ich głębi można było wyczytać jedynie ogromny smutek i obawę o stan zdrowia pilota.

Jaszczur wyciągnął górną kończynę i odgarnął włosy ze spoczonego czoła Garina. Potem dotknął strzępów metalu, które go więziły, jakby sprawdzając, czy ma dość siły, aby je rozerwać. Uczyniwszy to, wyrzwał na zewnątrz i najwyraźniej wydał jakiś rozkaz, zaraz jednak powrócił i przykucnął przy Garinie.

Po chwili pojawiły się jeszcze dwa osobniki z jego gatunku i zaczęły rozrywać to, co pozostało z kabiny samolotu. Mimo że postępowały bardzo ostrożnie, ból, który gniebił Garina, był tak silny, że zanim odzyskał wolność, stracił przytomność.

Kiedy ponownie powróciła mu świadomość, stwierdził, że spoczywa w lektyce, unoszonej przez dwa stworzenia, które od biedy można było porównać do małych słoni. Od słoni różniły się jedynie tym, że one miały trąby i każde z nich posiadało cztery kły.

Przez dluga chwile procesja z Garinem przemierzala otwarta przestrzen, ale w koncu dotarla do wielkiej groty, gdzie lektyke przejeły cztery jaszczuropolodobne stworzenia. Garin lezal nieruchomo, patrzac jedynie w gore. W czarnym kamieniu groty wyrzezbione byly paprocie i kwiaty, z nieprawdopodobna wrecz precyzja i mistrzostwem.

Po krotkim marszu przez waski korytarz jaszczury zatrzymaly sie przed jakimis drzwiami, a ich przywodca przekrecil galke, wystajaca ze skalnej sciany. Otworzyly sie owalne drzwi i cala grupa przeszla przez niewysoki prog.

Znalezli sie w okraglym pomieszczeniu, ktorego sciany wykonane byly z kremowego kwarcu, przetykanego gdzieniegdzie fioletowymi zytkami. Pod najwyzszym punktem sufitu zwisala wielka kula, bedaca zrodlem jasnego swiatla.

Dwa jaszczury, ubrane w dlugie fartuchy i przebywajace juz w tej sali kiedy znalazl sie w niej Garin, przez chwile konferowaly nad czyms z najwazniejszym sposcrod przybyszow, a potem podeszly do lotnika i pochylyli sie nad nim. Jeden z nich potrzasnal ze wspolczuciem glowa na widok jego poranionego ciala i gestem nakazal, aby lektyke przeniesiono do kolejnego, mniejszego pomieszczenia.

Tutaj sciany byly ciemnoniebieskie, a na samym srodku lezal duzy blok kwarcu. Lektyke polozono dokladnie na ten blok i jaszczury, ktore ja niosly, bezszelestnie zniknely. Teraz ten, ktory kazal przyniesc tutaj Garina, ostrym nozem porozcinal jego kombinezon. Po chwili lotnik lezal zupełnie nago,

Teraz dwa jaszczury unieruchomily go za pomoca metalowych lancuchow. Potem jeden z nich podszedl do sciany i wyciagnal z niej blyszczacy pret. Nagle ostry promien niebieskiego swiatla z sufitu padl na bezradnego Garina. Poczul jakby mrowienie w kazdej czasteczce ciala, skora jakby mu zaplonela, jednak trwalo to niezwykle krotko. Po chwili wrazenia te zniknely i zniknal tez, jak reka odjal, wszelki meczacy go bol.

Gdy plomien zgasl, pochylyli sie nad nim trzy jaszczury. Ubraly go w dlugi kaftan z jakiegos miemkiego materialu przeniosly do kolejnego pomieszczenia. Ono rowniez miało kulisty ksztalt, lecz z jednej strony bylo jakby scięte i przywodziło na myśl polowke wielkiego balonu. Podloga lagodnie opadala w kierunku srodka pomieszczenia, a tam wymoszczona byla miemkimi matami i poduszkami. Na nich własnie ulozono Garina. Wysoko nad sufitem unosila sie jakby rozowa chmura. Obserwowal ja leniwie, az w koncu zasnal...

Cos cieplego dotknelo jego obnazonego ramienia. Otworzył oczy i przez chwile nie mogl sobie przypomniec, gdzie sie znajduje. Zaraz jednak wszystko do niego dotarto i w jednej chwili oprzytomnial.

O ile jaszczuropolodobne stworzenia w swojej groteskowosci przywodzily na mysl chochliki, kolejna istota, ktora zobaczyl, mogla byc elfem. Byla wysoka zaledwie na trzy stopy, a jej cialo, jakby malpie, w calosci pokryte bylo jedwabista biala sierścia. Dlonie miala podobne do ludzkich, pozbawione wlosow, natomiast jej tylne konczyny zakonczone byly pazurami, podobnymi do kocich. Z obu stron malej, niemal doskonale okraglej glowy wyrastaly wielkie uszy. Twarz jej pokryta byla wloskami, a sztywne wasy nad gorna warga powodowaly, ze sprawiala wrazenie kociej.

Byl to Ana. Juk pozniej dowiedzial sie Garin. Any byly malymi wesolymi stworzonkami, z ktorych kazde wybieralo pana lub pania sposcrod Ludu; Lud stanowila rasa jaszczuropolodobnych stworzen, na ktore Garin natknal sie na poczatku. Any uwielbialy swych wielkich protektorow i byly im bezgranicznie oddane. Byly lojalne i dzielne, gotowe spelniac kazde powierzone im zadanie, i towarzyszyly swoim wladcom do samej smierci. Nie byly ani ludzmi, ani zwierzetami; plotka glosila, ze stanowily produkt eksperymentu, przeprowadzonego przez Pradawnych przed wieloma stuleciami.

Poglaskawszy lotnika po ramieniu. Ana niepewnie dotkнал jego czupryny, porownujac jego brazowe wlosy ze swym bialym futrem. Jako ze Lud stanowili osobnicy nie majacy sierści, wlosy na glowie Garina byly w Pieczarach dziwnym zjawiskiem.

Niespodziewanie z cichym trzaskiem otworzyly sie drzwi w scianie. Ana natychmiast zerwal sie na rowne nogi i popedzil, aby przywitac nowo przybylego. Do sali wszedl Wodz Ludu. osobnik, ktory pierwszy zobaczyl Garina w rozbitym samolocie. Za nim postepowalo kilku jego podwladnych.

Lotnik usiadl. Z jego ciala nie tylko zniknal wszelki bol, ale czul sie tez silniejszy i mlodszy niz do tej pory. Przeciagnal sie z zadowoleniem i radosnie wyszczerzyl zeby do jaszczurow, na co one zareagowaly wesolymi pomrukami i pochrzakiwaniami. Zaraz tez zajely sie Garinem. Ubraly go w spodniczke, podobna do tych, jakie nosily same. Otrzymal rowniez wysadzany klejnotami pas. Najwyrazniej tylko takie stroje noszono w Pieczarach.

Kiedy byl juz ubrany. Wodz wyciagnal ku niemu reke i sprowadzwszy go z poduszek na posadzke, poprowadzil do drzwi. Przeszli przez hol, ktorego sciany na calej powierzchni pokryte byly plaskorzezbami i Isniacymi kamieniami. Hol przeszedl wkrotce w wielka grote, tak szeroka, ze nie sposob bylo zauwazyc jej scian. Na podwyzszeniu staly tutaj trzy trony i Garina poprowadzono własnie w tym kierunku.

Najwyzszy tron zbudowany byl z rozowego kryształu. Po jego prawej stronie stal tron z zielonego netrytu. wyraznie

noszący ślady działania czasu. Tron z lewej strony wykonany był z bloku agatu. Trony kryształowy i agatowy były puste. ale na poduszkach nefrytowego spoczywał ktoś z Ludu. Był wyższy niż pozostali, a z jego oczu - uważnie przyglądających się Garinowi - emanowała mądrość i przemożny smutek.

-Dobrze - usłyszał Garin jego słowa. - Dokonalismy mądrego wyboru. Młodzieniec ten powinien spełnić nasze oczekiwania; porozumie się z Corką. Będzie mu jednak trudno, napotka na swej drodze wiele niebezpieczeństw. Musi zdobyć Corkę i pokonać Kepte...

Cichy pomruk przebiegł przez grocie. Garin przypuszczał, że zgromadzili się tu setki przedstawicieli Ludu.

-Urg! - zawołał osobnik siedzący na tronie. - Zabierz tego młodzieńca i udziel mu lekcji. Dopiero potem ja z nim rozmawiam. Wkrótce - jakby odrobina radości zabrzmiała w jego głosie - różowy tron znów zostanie obsadzony, a Czarni zostaną rozbici w pył. Czas biegnie szybko.

Wódz nakazał zaskoczonemu Garinowi wycofać się spod tronu.

2. Garin dowiaduje się o Czarnych

Urg zabrał lotnika do jednej z owalnych sal. Stała w niej niska miękka ławka, umieszczona naprzeciwko metalowego ekranu. Na niej właśnie obaj usiedli. To, co było potem, było lekcją języka. Na ekranie ukazywały się przedmioty, które Urg głośno nazywał, a Garin usiłował powtarzać jego słowa. Jak Amerykanin dowiedział się później, leczenie za pomocą promienia, któremu niedawno został poddany, zwiększyło efektywność jego mózgu i w niewiarygodnie krótkim czasie dysponował już takim słownictwem, że swobodnie mógł prowadzić rozmowy w języku Ludu.

Jak Garin mógł sadzić po obrazach, ukazujących się na ekranie. Lud jaszczurowopodobnych istot władał światem, mieszczącym się pod powierzchnią ziemi, chociaż były tu i inne formy życia. Podobne do słoni "Tandy" traktowano jako zwierzęta pociągowe, natomiast "Erony". przypominające swym wyglądem wiewiórki, żyły pod ziemią i wychodziły i powierchnie tylko dwukrotnie w ciągu roku. by kontaktować się z Ludem w celach handlowych. Podczas gdy Lud zamieszkiwał Pieczary. Erony żyły w norach i korytarzach, które same drążyły w ziemi.

W świecie tym istniały również "Gibi". wielkie pszczoły, również przyjazne jaszczurom. Zaopatrywały one mieszkańców Pieczar w wosk. a w zamian Lud dawał im schronienie wtedy. gdy nad ziemią unosiły się nieprzyjazne Wielkie Mgły.

Lud rozwijał cywilizację na bardzo wysokim poziomie. Praktycznie wszystkie prace wykonywały za jaszczurow maszyny, z wyjątkiem ręcznej obróbki kamieni szlachetnych oraz prac rzeźbiarskich, gdy zdobili ściany swych Pieczar. Maszyny tkwały ich metalowe suknie, maszyny przygotowywały im posiłki, zbierały plony, wreszcie budowały im nowe siedziby.

Wolny od prac fizycznych. Lud mógł poświęcić się doskonaleniu umysłów. Urg prezentował na ekranie przepastne laboratoria i ogromne biblioteki, wypełnione pracami naukowymi. To wszystko jednak, co Lud wiedział na początku, przekazane mu zostało przez Pradawnych, rasę zupełnie różną od nich, przed Ludem panującą nad krainą Tav. Powstanie Ludu było efektem eksperymentów nad ewolucją, które prowadzili właśnie Pradawni.

Wiedza zgromadzona przez Lud strzeżona była bardzo starannie. Urg nie potrafił jednak powiedzieć przed kim, chociaż zapewniał Garina, że niebezpieczeństwo zagrażające Ludowi jest bardzo realne.

Kiedy lekcja trwała w najlepsze, rozległ się gong i Urg powstał.

-Wybiła godzina posiłku - oznajmił. - Chodźmy jeszcze.

Po chwili znaleźli się w pomieszczeniu, w którym wzdłuż trzech ścian ustawione były ciężkie, długie stoły; przed nimi stały ławki. Urg usiadł na jednej z nich i nacisnął guzik umieszczony w stole, gestem zachęcając Garina, aby zrobił to samo. Po kilku sekundach ściana przed nimi uniosła się na moment i na stół wysunęły się dwie tace. Na każdej z nich stał talerz z pachnącym pieczeniem, kubek z zupą i porcja owoców. Jakis Ana niespodziewanie znalazł się w pobliżu i popatrzył na owoce z taką tęsknotą, że Garin natychmiast się z nim podzielił.

Jaszczury spożywały swe posiłki w absolutnej ciszy. Koncząc, równie cicho, bezszelestnie wstawaly z ławek, a tace natychmiast znikaly w scianie. Garin zauwazyl, ze w sali znajduja sie tylko osobniki plci meskiej; do tej pory nie zauwazyl jeszcze przedstawicielki plci zenskiej. Postanowil zapytac Urga o przyczyne.

Urg zachichotał:

-Wydaje ci się więc. że w Pieczarach nie ma kobiet - w takim razie chodźmy do groty kobiet. Tam je zobaczysz.

Poszli i zobaczyli. Bogactwo tej groty zapierało dech w piersiach. Wspaniałe szlachetne kamienie warte bajonkich sum skrzyły się różnobarwnymi iskierkami z owalnego sufitu i kolorowych ścian. W grocie znajdowały się matrony i dziewczęta Ludu. Ich czarne ciała poowijane były w srebrzyste, półprzezroczyste szaty, przetykane klejnotami, mieniącymi się wszelkimi barwami.

Kobiet nie było wiele - mniej więcej setka. Najmłodsze z nich ze zdziwieniem i zaniepokojeniem przyjęły pojawienie się Garina. Wstydliwie wsadziwszy sobie palce do ust, przyglądały mu się okrągłymi, żółtymi oczami.

Większość z nich jednak z dumą prezentowała przybyszowi swe klejnoty i drogocenne szaty. Pod jedną ze ścian taka szata właśnie tkano. Cierpliwie pracowały przy niej trzy kobiety, mocując małe różowe kamienie w srebrnym materiale. Tkwiły już w nim i zielone szmaragdy, i ogniste opale; bez wątpienia szata ta, ukończona, będzie się mieniła wszystkimi kolorami tarczy.

Jedna z kobiet pogładziła szatę i spojrzawszy na Garina, wyjaśniła mu cichym, melodyjnym głosem:

-Przygotowujemy ją dla Corki; otrzyma ją, kiedy wróci na swój tron.

Corka! Co powiedział władca Ludu? "Młodzieniec ten porozumie się z Corką!" Jednak Urg twierdził, że Pradawni odeszli już z Tav.

-Kim jest Corka? - zapytał.

-To Thrala. Niewolnica Światła.

-Gdzie ona jest?

Kobieta zadrżała i w jej oczach pojawił się strach.

-Thrala żyje w Grocie Ciemności.

-W Grocie Ciemności? - Czy to znaczy, że Niewolnica nie żyje? Czy on, Garin Featherstone, ma zostać ofiarą jakiegoś rytuału, podczas którego jego śmierć oznaczać będzie porozumienie się ze zmarłą?

Urg dotknął jego ramienia.

-To nie tak - odezwał się. - Thrala nie dotarła jeszcze do Ziemi Pradków.

-Znasz moje myśli? Urg roześmiał się:

-Bardzo łatwo jest czytać myśli. Thrala żyje. Sera służyła Corce jako dama do towarzystwa, kiedy była ona jeszcze między nami. Sera, pokaż nam Thralę taką, jaką była.

Kobieta podeszła do ściany, do miejsca, w którym znajdował się taki sam ekran, jakiego Urg używał, aby uczyć Garina języka. Wpatrywała się w niego, a potem skinęła na lotnika, by podszedł do niej.

Ekran jakby na chwilę zaszedł mgłą, a potem już Garin patrzył jakby przez okno do pokoju, którego ściany i sufit wykonane były z różowego kwarcu. Na podłodze leżały grube dywany, mieniące się srebrem i czerwienią. Na środku stała miękka, duża sofa.

-Oto komnata Corki - powiedziała Sera.

Teraz ukazało się wąskie przejście w ścianie, przez które wsunęła się postać kobieca. Była bardzo młoda, jeszcze niedawno była zaledwie dziewczynką. Jej pełne, czerwone usta były ładnie zaokrąglone, w fioletowych oczach skrzyły się radosne światła. Miała ludzkie kształty, lecz jej uroda była wręcz niezemska. Miała delikatną, perłowobiałą skórę i granatowoczarne włosy, sięgające jej niemal do kolan, sunące za nią niczym chmura. Nosila srebrzystą szatę, przepasaną szarfą, która wysadzana była drogocennymi klejnotami.

-Tak wyglądała Corka, zanim stała się Niewolnicą wśród Czarnych - powiedziała Sera.

Urg roześmiał się, widząc rozczarowanie na twarzy Garina, które pojawiło się w chwili, gdy obraz Corki zniknął.

-Nie dbaj o cienie młodzieńcze. Przecież czeka na ciebie Corka prawdziwa, żywa. Musisz tylko wyprowadzić ją z Groty Ciemności.

-Gdzie sa te Groty?' - zapytal Garin. jednak nie doczekal sie odpowiedzi. W sali rozlegl sie dzwieczny gong.

-Czarni! - krzyknela Sera.

Urg wzruszyl ramionami.

-Skoro Czarni nie oszczedzili nawet Pradawnych, jakaz mozemy miec nadzieje na ucieczke? Chodz, musimy dac sie do Sali Tronowej.

Przed nefrytowym tronem Wodza Ludu obok dwoch lektyk zgromadzona byla mala grupa jaszczuropodobnych. Gdy Garin wszedl do Sali. Wodz przemowil:

-Niech przybysz podejdzie blizej, aby mogl zobaczyc dzieło Czarnych.

Garin niechetnie przyblizyl sie do tronu i zatrzymal sie obok jaszczuropodobnych. Byli mezczyznami z Ludu. jednak ich czarna skora pokrywaly rdzawe, zielone plamy.

Wodz wychylil sie ku nim ze swego tronu.

-Juz dobrze - powiedzial. - Mozecie odejsc.

Natychmiast posluchali jego rozkazu i ruszyli do wyjścia. Sprawiali wrazenie nieszczesliwych i chorych. Co chwila ktorys z nich wydawal budzacy groze jek.

-Spojrz, co uczynili Czarni - powiedzial wladca do Garina. - Jiv i Betv zostali pojmani podczas misji do Gibich z Urwiska. Zdaje sie, ze Czarni potrzebowali materialu do swych laboratoriow.

Straszliwy okrzyk nienawisci rozlegl sie w Sali. Garin nacisnal zeby.

-Jiv i Betv zostali uwiezieni w poblizu Corki i slyszeli pogrozki Kepty wobec niej. Pozniej naszych braci zarazono obrzydliwa choroba i wyslano ich do nas, zeby rozszerzali ja na nas: oni jednak przeplyneli przez staw wrzacego blota. Wkrotce zmarli, jednak zaraza zmarla razem z nimi. Mysle. ze dopoki tacy jak oni znajduja sie wsrod nas. Czarni nie zlamia nas tak latwo. Posluchaj teraz, przybyszu. historii o Czarnych i Grotach Ciemnosci, o tym. jak Pradawni wyciagneli Lud ze szlamu schnacego morza i uczynili go wielkim; o tym. wreszcie jak Pradawni doprowadzili swoj rodzaj do zaglady.

-W dawnych dniach, zanim jeszcze ziemie zewnetrznego swiata wylonily sie z morza, a nawet jeszcze przedtem. zanim Ziemia Slonca (Mu) i Ziemia Morza (Atlantis) powstaly ze skal przemieszanych z piaskiem, tutaj, na dalekim poludniu, byla juz ziemia. Byl lad skal. gleb i blot. gdzie rozkwitalo zycie w najprostszych formach.

-Pewnego dnia na tej ziemi znalezli sie Pradawni, ktorzy przybyli do niej az spoza gwiazd. Ich rasa byla juz wtedy o wiele starsza niz ta planeta. Ich medcy obserwowali jej narodziny, kiedy wykluwala sie ze slonca. A kiedy ich swiat zginal, zabierajac wiekszosc ich krwi w nicosc, garstka Pradawnych przybyla wlasnie tutaj, w poszukiwaniu swiata dla siebie.

-Kiedy jednak wyszli na zewnatrz ze swego statku kosmicznego, poczuli, ze znalezli sie w piekle. Bo zamiast wymarzonego domu. ktory tak bardzo pragneli znalezc, natkneli sie tutaj tylko na nagie skaly i smierdzace grzezawiska.

-Z przeklenstwami na ustach postawili stopy na Tav i rozpoczeli tu zycie. Ulepszyli je dzieki temu. co przywiezli ze soba w statku kosmicznym. Lapali tez stworzenia zyjace w bagnach. To z nich utworzyli wlasnie Lud. Gibich, Tadow i kochajacych ziemie Eronow,

-Sposrod tych ras to Lud okazal sie najbardziej pojetnym i lalnacym wiedzy, i on wlasnie zaszedl najwyzej w procesie rozwoju. Calej wiedzy Pradawnych nie byl jednak w stanie objac.

-Przez dlugie wieki, kiedy Pradawni zamieszkiwali te planete, okryci ochronna sciana mgly. zewnetrzny swiat zmienial sie. Zimno ogarnelo polnoc i poludnie. Ziemia Slonca Ziemia Morza wydaly pierwszych ludzi. Dzieki swym wielkim zwierciadlom Pradawni mogli obserwowac, jak zewnetrzny swiat staje sie coraz bardziej pelen ludzi. Potrafili przedluzac zycie, a jednak mimo to ich rasa ginela. Potrzebowali Swiezej krwi. Dlatego sprowadzili do siebie pewnych ludzi i Ziemi Slonca. Ci ludzie natychmiast rozmnozyli sie w ich Swiecie.

-Dlatego Pradawni postanowili opuscic Tav. Jednak tymczasem morze pochlonelo Ziemi Slonca; oszukalo ich. Pradawni rozpoczeli mimo wszystko przygotowania do kolejnego wielkiego exodusu.

-Ludzie, ktorzy przetrwali w zewnetrznym swiecie, zdziczeli. Poniewaz Pradawni nie zamierzali mieszac swej krwi i krwia

stworzeni. które wówczas były niemalże bestiami. wzmocnili ochronną ścianę mgły i czekali. Jednak garstka spośród nich, podniecona tym, co zakazane, w tajemnicy sprowadziła kilka bestii. Czarni są właśnie efektem zmieszania krwi Pradawnych z krwią bestii. Żyją tylko po to, by czynić zło, a ich potęgą służy wyłącznie okrucieństwu.

-Grzechu garstki Pradawnych początkowo nie zauważono. Kiedy to nastąpiło, pozostali gotowi byli zabić winowajców, jednak prawo im tego zabraniało. Mogli swą moc używać jedynie dla czynienia dobra; gdyby choć raz postąpili inaczej, opuszciliby ich. Dlatego jedynie zaprowadzili Czarnych do południowej części Tav i oddali im Groty Ciemności. Zabronili im przechodzić na północną stronę Rzeki Złota; sami postanowili nigdy nie przechodzić na jej południowy brzeg.

-Mniej więcej przez dwa tysiące lat Czarni nie łamali praw. Pracowali jednak usilnie, wzmacniając swe moce czynienia zła i destrukcji. Natomiast Pradawni udali się do zewnętrznego świata; poszukiwali ludzi, którzy pomogliby im podtrzymać ich rodzaj. Pewnego razu przybyli do nich ludzie z wyspy, leżącej daleko na północy. Było ich sześciu, sześciu jasnowłosych, morskich wędrowców.

-Ale Czarni również nie próżnowali. W przeciwieństwie do Pradawnych, którzy poszukiwali najlepszych ludzi. Czarni poszukiwali najgorszych, takich, którzy nie cofnęliby się przed najstraszliwszym złem. Te zamiary się im powiodły.

-I wreszcie Czarni przekroczyli Rzekę Złota i wkroczyli na ziemię Pradawnych. Thran, Oswiecony Pan Jaskin, wezwał do siebie cały Lud.

-Możemy przetrwać tylko w jeden sposób, powiedział. Podejmiemy walkę dopiero wtedy, gdy Czarni będą przekonani, że nas zwyciężyli. Dlatego Thralla, córka Światła, nie wejdzie do Komnaty Przyjemnej Śmierci z pozostałymi kobietami, lecz wyda się w ręce Czarnych, co wywoła u nich euforie, upojenie zwycięstwem, i osłabi ich czujność. Cały Lud wycofa się do Pieczary Gadów i pozostanie tam, dopóki Czarni się nie wycofają. Nie wszyscy Pradawni zginą w boju, wielu przetrwa, jednak nie osmielam się prorokować, w jaki sposób. Kiedy jasnowłosy młodzieniec przybędzie z zewnętrznego świata, posła go do Groty Ciemności, aby ocalił Thrallę i położył kres złu.

-Wówczas powstała Oswiecona Thralla i rzekła: Niech się dzieje, jak nakazał Thran. Oddam się w ręce Czarnych, bo wierzę, że takie jest moje i ich przeznaczenie.

-Wtedy Thran uśmiechnął się i powiedział: Pewnego dnia szczęście znowu powróci do ciebie. Bo czyż po Wielkiej Mgle nie powraca jasność?

-Wkrótce kobiety Pradawnych przeszły do Komnaty Przyjemnej Śmierci, a mężczyźni zaczęli przygotowywać się do walki z Czarnymi. Boj trwał trzy doby, lecz nowa broń Czarnych przyniosła im zwycięstwo i wkrótce ich szef zasiadł na nefrytowym tronie, przypieczętowując sukces. A jednak Czarnym nie spodobało się tutaj, zatesknili za ciemnościami swoich Groty i w niedługim czasie my, Lud, powróciliśmy do Pieczary Gadów.

-Teraz nadszedł czas, w którym córka ma zostać poświęcona złu. I tylko ty, przybyszu, potrafisz ją uratować.

-A co się stało z Pradawnymi? - zapytał Gann. - z tymi, o których Thran powiedział, że przetrwają?

-O nich nie wiemy nic, ponad to, że kiedy grzebalismy zwłoki zabitych w Jaskini Pradawnych, wielu brakowało. Abyś jeszcze lepiej zrozumiał moją opowieść, Urg zabierze cię na galerię nad Komnatą Przyjemnej Śmierci; spojrzysz na tych, którzy tam spią.

Mając Urga za przewodnika, Garin wspinał się po stromej rampie, prowadzącej z Sali Tronowej na wąski balkon. Z lewej strony ograniczała go przejrzysta, kryształowa ściana. Urg wskazał ręką w dół.

Znajdowali się ponad podłużnym pomieszczeniem, którego ściany ozdobione były zielonym nefrytem. Na łóżkach podłogowych w różnych miejscach znajdowało się mnóstwo miękkich posłan i poduszek. Wszystkie zajęte były przez śpiące kobiety: niektóre tuliły w ramionach dzieci. Ich długie włosy opadały na podłogę, długie rzesy rzucały cienie na twarze.

-Przecież one spią! - wykrzyknął Garin. Urg przecząco potrząsnął głową:

-To jest sen śmiertelny. Co dziesięć godzin z podłogi unoszą się kleby pary. Kto chociaż raz oddychał tą parą, nigdy już się nie obudzi i będzie tutaj spoczywał przez tysiąc lat. Popatrz...

Wskazał na zamknięte podwójne drzwi, prowadzące do pomieszczenia. Leżeli przy nich pierwsi Pradawni, jakich Garin ujrzał. Wydawało się, że oni także spią w wygodnych pozycjach i aż trudno było uwierzyć, że tak nie jest.

-Thran rozkazał tym, którzy po ostatniej bitwie pozostali w Sali Tronowej, aby weszli do Komnaty Przyjemnej Śmierci. Przez to Czarni nie mogli torturować ich dla zaspokojenia swoich bestialskich przyjemności. Thran pozostał, aby zamknąć

za nimi drzwi i zginął w straszliwych meczarniach.

Wśród przebywających w Komnacie Przyjemnej Śmierci nie było osobników starych. Nikt spośród nich nie miał więcej niż trzydzieści lat, wielu wyglądało na znacznie młodszych. Garin podzielił się tą myślą z Urgiem.

-Pradawni wyglądają tak aż do śmierci, chociaż wielu z nich żyje setki lat. Teraz nawet Lud potrafi powstrzymać zewnętrzne objawy starzenia się. Wracajmy jednak, Trav chce znowu przemówić do Ciebie.

Ponownie Garin stanął przed nefrytowym tronem Trava, wobec otaczającej go niezliczonej rzeszy milczącego tłumu. Trav obracał w swych delikatnych dłoniach niewielki pret z Isniacego, zielonkawego metalu.

-Słuchaj uważnie przybyszu - zaczął - ponieważ mamy niewiele czasu. W przeciągu siedmiu dni ogarnie nas Wielka Mgła. Wówczas żadna żywa istota, która wychynie z ukrycia, nie uniknie śmierci. Jeszcze przed nadejściem mgły Thralla musi być wolna. Ten oto pret będzie twoją bronią; Czarni nie znają jego tajemnicy. Popatrz tylko.

Jak spod ziemi wyrosli przed nim dwaj osobnicy, trzymając w dłoniach metalową sztabę. Trav dotknął sztaby pretem. Natychmiast pokryła się wielkimi plamami rdzy. Płaty rdzy oderwały się od niej i opadły na ziemię. Ktoś z Ludu natychmiast rzucił się, aby je posprzątać.

-Thralla znajduje się w samym sercu Grot, jednak ludzie Kepty z biegiem lat stali się beztroscy i pewni siebie; nie strzegą jej już aż tak silnie jak na początku. Musisz wkroczyć tam śmiało i liczyć na łut szczęścia. Czarni nie mają pojęcia ani o twoim przybyciu, ani o dotyczących Ciebie słowach Thrana.

Urg wystąpił krok do przodu i podniósł rękę na znak, że chce coś powiedzieć.

-Co takiego. Urg?

-Panie, chciałbym udać się do Grot razem z przybyszem. On nie ma pojęcia o Puszczy Grobów ani o Blotnistym Stawie. W tamtych okolicach nietrudno będzie mu zblądzić...

Trav potrząsnął głową:

-Niestety, tak się nie stanie. On musi iść samotnie, jak przykazał Thran.

Ana, który niczym cień nie odstępował Ganna przez cały dzień, przerazliwie gwizdnął i stanął na palcach, chcąc dotknąć jego dłoni.

Trav uśmiechnął się.

-On może z tobą pojsć; jego oczy mogą okazać ci się bardzo potrzebne. Urg zaprowadzi cię do miejsca, w którym kończy się Jaskinia Pradków, i wskaże ci drogę do Grot. Zegnaj, przybyszu. Oby duchy Pradawnych przez cały czas były z tobą!

Garin skłonił się przed Władcą Ludu i ruszył za Urgiem. Przy drzwiach stała grupka kobiet. Wysunęła się spośród nich Sera i wyciągnęła przed siebie niewielką torbę.

-Przybyszu - powiedziała pośpiesznie - kiedy dotrzesz do Corki, powiedz jej, że Sera wciąż na nią czeka, czeka od wielu lat.

-Tak zrobię - uśmiechnął się Garin.

-Nie zapomnij, przybyszu. Wśród Ludu jestem wielką damą. Stara się o mnie wielu konkurentów, a mimo to nie dorównuje Corce. Zazdrości jej. - Rozesmiała się. - Nie będę ci tego wyjaśniała. Oto jest żywność dla Ciebie - wskazała na torbę. - A teraz już idź. Gdy chcemy, abyś do nas wrócił przed Mgłą.

Pozegnawszy się z kobietą, ruszyli. Urg wybrał rampę prowadzącą w dół. Kończyła się ona niszą, u wejścia do której plonęło słabe światło. Urg wsunął dłoń w jakiś otwór wyciągnął z niego parę wysokich koturnów, które gestem nakazał Garinowi włożyć. Pasowały; wykonano je kiedyś dla mezczyzny Pradawnych.

Przejdźcie za niszą było wąskie i kretę. Pod stopami Urga i Garina rozposcierał się gruby dywan kurzu, na którym widoczne były rzadkie ślady stop. Za kolejnym zakretem z półmroku wyłoniły się wysokie drzwi. Urg nacisnął na nie. Rozległ się krotki trzask i kamienne drzwi ustąpiły.

-Oto Jaskinia Przodków - oznajmil, przestępując prog. Znajdowali się w drzwiach prowadzących do ogromnej pieczary. Jej okrągły sufit ginal wysoko w mroku. Grube kryształowe filary dzieliły pieczarę na nawy. Prowadzące do polokragłego podwyższenia, które przywodziło na myśl ołtarz. Wzdłuż naw stały miękkie łóża. A na każdym z nich ktoś leżał, sprawiając wrażenie, że śpi. Blżej drzwi leżały kobiety i mężczyźni z Ludu, a przy ołtarzu spoczywali Pradawni. Gdziekolwiek łóża opatrzone było napisem.

-Kochankowie Światła spoczywają w pokoju - powiedział Urg. - Pewnego dnia Światło do nich powróci.

-Kto tutaj leży? - zapytał Garin. Wskazując na łóża, stojące najbliżej ołtarza.

-Pierwsi spośród Pradawnych. Podejdź bliżej i przypatrz się tym, którzy pojawili się na Tav na samym początku.

Na ołtarzu znajdowało się jedno łóżo, wywyższone ponad pozostałe. Urg wszedł na podwyższenie, przystanął nad łóżem i skinął na Garina, aby uczynił to samo. Spoczywała tutaj kobieta i mężczyzna. Głowa kobiety opierała się o jego ramię.

-Spójrz, przybyszu, leży tutaj ktoś, kto pojawił się u nas z twojego świata. Okazała mu swe względy Marena z Domu Światła i przeżyli razem wiele szczęśliwych dni.

Mężczyzna na łóżu miał czerwonołte włosy, a z jego szyi opadał na miękkie poduszki szczeroloty lancuch. Spojrzenie na jego twarz kazało jednak Garinowi natychmiast odwrócić głowę. Odnosił wrażenie, że uczestniczy w czymś, co zwykłym śmiertelnikowi powinno być zakazane.

-W tej pieczarze spoczywa Thran, Syn Światła, pierwszy Władca Jaskin, oraz jego małżonka, Thrala. Leża tu od tysiąca lat i będa leżec do momentu, w którym planeta, na której się znajdujemy, obroci się w pył. To oni wydobyli lud z mulu i stworzyli Tav. Nigdy już nie spotkamy nikogo takiego jak oni.

Powoli ruszyli wzdłuż kolejnych naw śmierci. W pewnej chwili Garin zauważył jeszcze jedną jasnowłosa czuprynę, zapewne kolejnego przybysza z zewnątrz, gdyż wszyscy Pradawni mieli włosy ciemne. Zanim obaj opuścili Pieczarę Przodków, Urg ponownie zatrzymał się. Stał nad łóżem, na którym spoczywało ciało człowieka opatulonego w długą szatę. Jego twarz zastygła w masce straszliwego cierpienia. Urg wypowiedział tylko jedno słowo:

-Thran.

A więc to był właśnie ostatni Władca Jaskin. Garin pochylił się. Chcac przyrzec mu się uważniej, jednak Urg jakby w tej chwili stracił ciepłwość. Pociągnął swego podopiecznego w kierunku kolejnych drzwi.

-Oto południowy kraniec Jaskin - wyjaśnił. - Ufaj Anie, który będzie twoim przewodnikiem, i strzeż się wrzacego błota. Oby ci szczęście sprzyjało, przybyszu.

Urg otworzył drzwi i Garin ujrzał rozpostierającą się na zewnątrz Tav. Delikatne błękitne światło miało takie samo natężenie jak wówczas, kiedy się tutaj znalazł. Kiedy Ana usadowił się na jego ramieniu, trzymając zielony pret i torbę, Garin ruszył na zewnątrz, stawiając pierwsze kroki na miękkiej darni.

Urg unosił dłoń w pozdrowieniu i drzwi zamknęły się. Garin pozostał sam na sam z zadaniem wydostania Corki z Grot Ciemności.

3. Ku Grotom Ciemności

Na Tav dzień nie różni się od nocy: błękitne światło jest wciąż takie samo. Lud sztucznie dzieli porę dnia. Garin nie miał o tym pojęcia: zresztą pora doby nie sprawiała mu różnicy. Był wypoczęty i rześki, dzięki leczniczym promieniom. Kiedy zawahał się, nie będąc pewnym, w którym kierunku rozpocząć wędrówkę, Ana klepnął go w ramię i zdecydowanym ruchem wyciągnął dłoń na wprost. Bardzo szybko pojawił się gesty las potężnych paproci. Zaglebiwszy się w nim, Garin zdziwił się panującą tu ciszą. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że na Tav w ogóle nie ma ptaków.

Po godzinie wędrówki przez paprociowy las dotarli na brzeg leniwie płynącej rzeki. Jej mętna woda miała matowy, szafranowy kolor. Garin stwierdził, że jest to z całą pewnością Rzeka Złota, granica terytoriów należących do Czarnych.

Przeszedł wzdłuż brzegu do najbliższego łuku rzeki i ujrzał na nim most, tak stary, że już dawno głęboko osiadły jego kamienne podpory i kładka znajdowała się bardzo nisko nad wodą. Garin przeszedł przez most i znalazł się na łące, która porastała wysoka, uschnięta, żółta trawa. Z lewej strony dobiegł do niego dziwny syk i bulgotanie. Wiatr unosił stamtąd gesty białą mgłę wilgoci. Garin zakaszłał, gdyż pływacze od tej strony powietrze było ciężkie, gesty, jakby brudne. Przez chwilę wdychał je nosem, po czym stwierdził, że zawiera ono sporo siarki.

Wkrotce dotarl do zalamania terenu, ktore skrywalo bystry, czysty .strumien. Z przyjemnoscia przemyl twarz krystaliczna woda i urny! w niej rece, Tymczasem Ana otworzyl torbe z zynoscia, ktora dala im Sera.

Wspolnie zjedli pieczywo i suszone owoce. Kiedy skonczyli, Ana pociagnal Garina za rekaw i wskazal mu cos ruchem reki.

Powoli, ostroznie. Garin zaczal przedzierac .sie przez geste krzewiny, az wreszcie jego oczom ukazala sie wielka polac golej ziemi, a na jej skraju wejscie do Grot. zamieszkiwanych przez Czarnych, Wielkiej ciemnej dziury strzegly dwa wysokie filary, wyrzezbione na ksztalt ohydnych potworow. Nad grota unosila sie drobna, zielonkawa mgla.

Garin uwaznie przyjrzal sie wejsci. Nie zauwazyl niczego, co swiadczyloby, ze gdzies tutaj toczy sie jakies zycie. Mocniej scisnal swoj magiczny pret i ruszyl przed siebie. Przed sama grota gleboko odetchnal i wkroczyl do srodka.

Natychmiast otoczyla go zielona mgla. Wciagnal w pluca wilgotne powietrze. W tej wilgoci wyczul dziwna, mdlaca slodycz, dochodzaca jakby od rozkladajacych sie cial, ukrytych w mroku. Zielona mgla przepuszczala niewiele swiatla i zdawalo sie, ze zaciska sie stalowa obrecza wokol smialka.

Ana zeskoczył z jego ramienia i szedł teraz kilka kroków przed nim, wskazując mu drogę. Po chwili grunt zaczął opadać w dół. Delikatne podeszwy koturnów sprawiały, że Garin posuwał się naprzód zupełnie bezszelestnie. W regularnych odstępach w ścianach pojawiały się nisze, w których stały niewielkie statuetki. Nad głową każdej z nich błyszczała jaskrawym światłem zielona aureola.

Ana zatrzymał się i zaczął poruszać wielkimi uszami, jakby chcąc usłyszeć najcichszy nawet szept lub szelest, który w każdej chwili mógł do niego dotrzeć. Wkrotce wychwycił - z każda sekunda coraz wyraźniejszy - psi skowyt, dobiegający jakby spod ziemi. Ana zadrzał i przysunął się bliżej do Garina.

Ich trasa nadal prowadziła w dół. stając się coraz bardziej wąska i stroma, I coraz bardziej przerażające było ujadanie psa. W pewnej chwili na drodze wędrowców pojawiła się bariera z czarnych kamieni. Garin popatrzył ponad nią, za barierą znajdowały się schody, które wiodły w czarna czelusc. Z tej czelusci dotarł do jego uszu głosny, pogardliwy śmiech.

Po chwili na schodach pojawiły się istoty, które można było określić jedynie jako demony. Były to osliźle, podobne do szczurow stworzenia wielkości kucyków, całkowicie pozbawione sierści. W ich szczekach tkwiły ostre zęby. a z kącików ust wyciekła czerwona ślina. Ich oczy, co chwile wypatrujące w kierunku bariery, świadczyły jednak o inteligencji. Tak oto po raz pierwszy Garin zetknął się z morgelami, psami lancuchowymi i niewolnikami Czarnych.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi w skalnej ścianie i na schodach pojawiły się dwie istoty. Morgele natychmiast skoczyły w ich kierunku, wystarczyło jednak kilka kopniaków, by natychmiast usunęły się w cień.

Władcy morgeli podobni byli do ludzi. Z ich ramion zwisały długie czarne płaszcze, w taliach przewiązane długimi sznurami. Na głowach, całkowicie zakrywając włosy, tkwiły czapki z czarnego materiału. Garin nie zauważył, aby byli uzbrojeni; trzymali w dłoniach jedynie baty.

Po chwili na schodach pojawiła się kolejna grupa. Dwaj spośród Czarnych trzymali między sobą szamoczącego się więźnia. Walczył desperacko, próbując się im wyrwać, nie miał jednak najmniejszych szans.

Przejęty ta scena Garin nie od razu zauważył dwie istoty, które pojawiły się pięć stopni ponad czeluscia. Gdy je ujrzał, od razu zrozumiał, że to one są najważniejsze w tym towarzystwie. Straznicy, trzymający szamoczącego się więźnia, skierowali głowy w ich kierunku, najwyraźniej czekając na instrukcje. Jedną z tych osób był mężczyzna ich rasy. wysoki, szczupły, o twarzy przystojnej, lecz emanującej złem. Jego dłoń władczo spoczywała na ramieniu istoty stojącej obok.

Istota ta, spokojna, trzymająca dumnie uniesioną głowę, była Thrala. Jej twarz wyrażała smutek, ból i rezygnację. Nie było na niej jasności i radości, które Garin widział w Pieczarach Ludu.

-Popatrz - odezwał się strażnik Thrali. - Czy jeszcze wtapisz, że Kepta dotrzymuje swoich obietnic? Czy oddamy Dandtana szczekom naszych slug, czy też cofniesz niektóre ze swoich słów. Thralo?

Niespodziewanie więzien odpowiedział za nią:

-Kepto, owocu nikkzemności, Thrala nie jest dla ciebie! Pamiętaj, ukochana - zwrócił się wprost do Corki - dzień wolności się zbliża!

Garin poczuł w sobie nagle dziwną pustkę, usłyszawszy, z jaką łatwością i czułością więzien wypowiedział słowo "ukochana".

-Czekam na odpowiedz Thrali - rzekl Kepta i zaraz odpowiedz te otrzymal:

-Bestio nad bestiami, mozesz poslac Dandtana na smierc, mozesz do woli mu ublizac, i tak przenigdy mnie nie dostaniesz. Raczej sama zerwe nic swojego zycia i przyjme kare, jaka za ten postepek wyznacza mi Starsi. - Ze smutkiem popatrzyła na wieznia. - Zegnam cie, Dandanie. Spotkamy sie ponownie, tym razem za Kurtyna Czasu. - Wyciagnela rece w jego kierunku.

-Thralo, najdrozsza... - Jeden ze straznikow polozyl dlon na ustach Dandtana, ucinajac jego slowa.

Thrala juz jednak nie patrzyla na niego. Wbila spojrzenie w kamienna bariere, ktora chronila Garina. Kepta pociagnal ja za reke, chcac odzyskac jej uwage.

-Popatrz Thralo! Tak gina moi wrogowie. Do czelusci z nim!

Straznicy podprowadzili wieznia na skraj otchlani, a tymczasem morgele zblyzily sie do niego, weszac latwa ofiare. Mimo ze Dandtan wciaz sie wrywal, nie mial zadnych szans. Garin wiedzial, ze nie jest w stanie mu pomoc. Ana pociagnal go w prawo, ku balkonowi, ktory pozwalal ominac schody.

Ci, ktorzy znajdowali sie ponizej, byli zbyt zajeci swoja ofiara, by zauwazyc nieproszonego goscia. Lecz Thrala wodzila wzrokiem dookola i w pewnej chwili Garin odniosl wrazenie, ze go zauwazyla. Jej zachowanie zwrocilo jednak uwage Kepty: powedrowal spojrzeniem za jej wzrokiem. Przez moment jakby zdziwienie malowalo sie na jego twarzy, ale zaraz zareagowal. Pchnal Corke w otwarte drzwi za soba.

-Hej, przybyszu! - zawolal. - Witamy w Grotach! A wiec Lud postanowil, ze...

-Pozdrawiam cie. Kepto! - Garin sam byl zdziwiony odwaga, z jaka wykrzyczal to zawolanie. Jego slowa zabrzmialy groznie w wielkiej grocie. Jego glos byl donosny, dzwieczny, nie drzal, nie zalamywal sie. - Przybylem, tak jak musialo sie stac, przybylem, aby zniszczyc Czarny Tron!

-Nawet morgele nie przechwalaja sie, dopoki nie rozgniotą ofiary swoimi szczekami! - odkrzyknal Kepta. - Jaka bestia jestes?

-Czysta bestia, Kepto, w przeciwienstwie do ciebie. Jezeli twoje morgele poloza kres zyciu mlodzienia, rozzloszcze sie. - Ukazal oczom Kepty magiczny pret.

Kepta zmruzył oczy, jednak na jego twarzy pojawil sie usmiech.

-Od dawna wiem. ze Pradawni nie niszcza...

-Jestem przybyszem z zewnatrz i nie obowiazuja mnie ich prawa - odparl Garin. - O czym przekonasz sie. jezeli nie ocalisz mlodzienia.

Wladca Grot rezesmial sie:

-Jestes jak Tand, bezrozumny glupiec. Juz nigdy nie zobaczysz Pieczar i Ludu, ktory cie tu przyslal.

-Mozesz wybierac, Kepto. Tylko sie spiesz, bo trace cierpliwosc!

Czarny jakby rozwazal jego slowa. Nagle skinal na swych ludzi.

-Puscie go - rozkazal. - Przybyszu, jestes dzielniejszy, niz myslalem. Moze dojdziemy do porozumienia...

-Uwolniesz Thrale albo sam ja od ciebie odbiore, a czarny tron obroce w pyl. Takie sa warunki, ktore przynosze z Pieczar.

-A jezeli ich nie zaakceptuje?

-Nie masz wyboru.

-Grozisz im?

-Tak jak w Yu-Lac. wezme... - zaczal mu odpowiadac Garin slowami, ktore jakby nie pochodzily z jego umyslu. Musial jednak urwac, gdyz uwage wszystkich przyciagnal Dandtan. Uwolniony przez straznikow, zaczal uciekac przed scigajacymi go morgelami. Garin momentalnie przylgnal do bariery balkonu i przerzucil przez nia swój pas.

Chwile później pas napreżył się i Garin podciągnął go mocno w górę. Pięty zawieszony na pasie Dandtana znalazł się poza zasięgiem paszcz morgeli. Jeszcze dwa mocne pociągnięcia i młodzieniec był uratowany. Ciężko oddychając padł na posadzkę balkonu.

-Uciekli! - zawołał. - Wszyscy!

Miał rację. Morgele były pod balkonem, nie mogąc dosięgnąć ofiary. Natomiast Kepta i jego ludzie gdzieś zniknęli.

-Thrala! - krzyknął Garin. Dandtan pokiwał głową:

-Zabrali ją z powrotem do celi. Są przekonani, że stamtąd nikt jej nie wydostanie.

-Są więc w błędzie. - Garin podniósł z ziemi zielony pret. Jego towarzysz rozesmiał się.

-Przystąpmy zatem do dzieła, zanim nasi przeciwnicy przygotowują się na spotkanie z nami.

Garin posadził sobie na ramieniu Ane.

-Ktoredy? - zapytał.

Dandtan wskazał mu na wąskie przejście. Kiedy przeszli kilka kroków, wszedł do jakiejś bocznej sali i po chwili powrócił z dwoma szerokimi płaszczami i kapturami, które mogły na jakiś czas ich obu upodobnić do Czarnych.

Powoli szli pustymi tunelami. Nikt im nie przeszkadzał, wszyscy Czarni gdzieś się wycofali.

-Nie podoba mi się to - szepnął Dandtan. - Wszeź podstęp.

-Dopóki możemy iść do przodu, niczym się nie przejmujemy - odparł Garin.

W pewnej chwili korytarz szerokim łukiem zakreślił w prawo i znaleźli się w owalnym pomieszczeniu. Dandtan znowu zawahał się. ale tym razem milczał. Ujrawszy w skalnej ścianie drzwi, otworzył je i wraz z Garinem znaleźli się w małym holu.

Garin odniósł wrażenie, że słyszy jakieś szmery i popiskiwanie, dobiegające z ciemnych kątów pomieszczenia. W pewnej chwili Dandtan zatrzymał się tak nagle, że Amerykanin wpadł na niego.

-Dziwne. To jest pomieszczenie strażników i nikogo w nim nie ma.

Garin rozejrzał się. Na ścianach wisiała bron o najprzeróżniejszych kształtach i rozmiarach. Było tu też kilkanaście wąskich łozek, jednak ani śladu żywej istoty.

Przeszli przez to pomieszczenie i wyszli z niego drzwiami o wysokiej futrynie w kształcie łuku.

-Nawet tego nie zamknęli - zauważył Dandtan. Poprowadził Garina w kierunku wąskiego korytarzyka.

Po obu jego stronach, w małych odstępach, znajdowały się masywne drzwi. Na wszystkich założone były ciężkie żelazne sztaby. Dandtan unosił jedną ze sztab i otworzył drzwi. Przed nimi stała Thrala. Dandtan natychmiast podszedł do niej i chwycił ją w ramiona. Zapomniał o swym przebraniu, toteż Corca przez chwilę zmagala się z nim w bezsilnym pragnieniu uwolnienia się z uścisku. Wreszcie, gdy kaptur opadł z jego głowy, zastygła w bezruchu, po czym wydała radosny okrzyk i rzuciła mu się na szyję.

-Dandtan! Uśmiechnął się:

-Tak, to ja. Ocalony przez nieznanego.

Thrala podeszła do Garina. uważnie wpatrując się w jego twarz.

-Nieznajomy? Nie powinniśmy tak mówić o tobie, skoro przybyłeś tutaj i nas ocaliłeś.

Podala mu dłonie, które unosił do ust i pocałował.

-Jak ci na imię? - zapytała. Dandtan rozesmiał się:

-Oto ciekawość, właściwa tylko kobietom!

-Garin.

-Garin -powtorzyła. - Ladnie. Przypominasz mi... - zmarszczyła czoło.

Dłon Dandtana spoczęła na ramieniu wybawcy.

-Tak. rzeczywiście jest do niego podobny - powiedział. - Od dzisiaj niech nosi jego imię. Garan. Syn Światła.

-Dlaczego nie? - zamysliła się Thrala. - W końcu...

-Nagroda, która stałaby się udziałem Garana, mogłaby przypaść jemu, prawda? Kiedy znów znajdziemy się w Pieczarach, opowiedz mu historię tego imienia.

Przerwał mu niespodziewany, przeraźliwy pisk Any. Zaraz potem wszyscy trzej usłyszeli szyderczy głos:

-A więc ofiara dobrowolnie weszła w pułapkę! Ilu myśliwych mogłoby się pochwalić równie łatwą zdobyczą?

W drzwiach stał Kepta. W jego oczach igrały złowrogie, złośliwe ogniki. Garin swój czarny płaszcz zrzucił na podłogę, jednak Dandtan odgadł, co lotnik zamierza, bo schwycił go za ramię.

-Widzę, że stałeś się rozsądny, przebywając między nami, Dandtanie - zadrwił Kepta. - Szkoda, że ten rozsadek nie spłynął również na Thralę. Niestety... - zmierzył Thralę wzrokiem tak pełnym pozadania, że Garin rzuciłby mu się prosto do gardła, gdyby nie to, że powstrzymywał go Dandtan. - Thrala otrzyma więc drugą szansę. Piękna damo, czy przypadnie ci do gustu widok tych dwóch mężczyzn w Komnacie Instrumentów?

-Nie boję się ciebie - odparła. - Thran tylko raz wypowiedział swoją przepowiednię, a on nigdy nie rzuca słów na wiatr. Będziemy wolni...

-Będzie tak, jak zechcesz. Coz. na razie pozostawiam was samych. - Wyszedł na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi. Usłyszeli, jak zakłada na nie żelazną sztabę. A potem jeszcze słyszeli jego kroki, coraz słabsze, powoli cichnące w oddali.

-Oto ucielesnienie zła - szepnęła Thrala. - Zapewne lepiej byłoby, gdyby Garin go zabił, tak jak zamierzał. Musimy się stąd wydostać...

Garin wyciągnął swój pret zza pasa. Ciele rozjaśnił bijący od niego zielony blask.

-Nie dotykaj nim drzwi - powiedziała Thrala. - Jedynie zawiasów.

Pod dotknięciem czubka zielonego preta oba zawiasy rozszarpały się do czerwoności i stopiły się. Dandtan i Garin w odpowiedniej chwili przytrzymały drzwi i ułożyli je cicho na posadzce. Thrala szybko złapała płaszcz Garina i owinęła się nim, zakrywając wysadzana klejnotami szatę.

Powietrze na korytarzu było trupio zimne. Być może właśnie z powodu tego zimna zgasł zielony blask preta, który trzymał Garin.

-Pospieszmy się - szepnęła Corka. - Kepta odciął światło życia i dalej będziemy musieli wędrować w ciemności.

Kiedy przeszli przez hol strażników, otoczyła ich całkowita ciemność. Garin prowadził całą trójkę, przez cały czas dotykając dłońmi kamiennej ściany. Nagle z naprzeciwka dotarł do jego uszu gwałtowny śmiech.

-Och, przybyszu! - zawołał Kepta drwiaco. - Twoja bron wystarczyła, żeby pokonać drzwi. Nie pokona jednak z taką łatwością ciemności!

Garin jednak nie dał za wygraną. Gdy dotknął pretem ziemi, okazało się, że światło wcale nie jest konieczne, żeby znów zalsnił. Zielony błysk preta znów oświetlił im drogę.

Niespodziewanie Thrala zatrzymała pochod.

-Kepta spuścił z łańcucha swe bestie łowcze - powiedziała

-Bestie łowcze?

-Morgele... i inne - wyjaśnił Dandtan. - Czarni wycofali się stąd i w tej chwili tylko śmierć może wtedy przejść. I morgele, które widzą w ciemności.

-Ana także widzi w mroku.

-Na nasze szczęście. - Syn Pradawnych westchnął ulgą. - Niechże więc nas poprowadzi.

Jakby w odpowiedzi Ana zeskoczył z ramienia Garina. Garin ujął dłoń Thrali. Wiedząc, że ona z kolei chwyciła rękę Dandana. Tak połączeni dalej ruszyli przez ciemność, na co chwila przystawał i długo nasłuchiwał. Przed nimi jednak nie było nic, jedynie ciemność, oddzielająca ich od wszelkiego życia niczym czarna kurtyna.

-Coś podąża za nami - szepnął Dandan.

-Nie musimy się bać - uspokoiła go Thrala - Nie zaatakują nas. Kepta chce nas tylko przestraszyć. Już odchodzi...

Rzeczywiście, po chwili usłyszeli za plecami wolno oddalające się kroki.

-Uff, po raz drugi Kepta nie spróbuje tej sztuczki - wiedziała Corka z pogardą w głosie. - Monstra, nad korymami ma władzę, odwagę są tylko w świetle. I jedynie jasności są straszne, bo połowe ich wartości w walce stanowi odrażający wygląd, który paraliżuje przeciwnika.

Po długim marszu znaleźli się w korytarzu, w którym mieściła się kryjówka morgeli. To one, zdaniem Garina, stanowiły raz dla uciekinierów największe niebezpieczeństwo.

Ana zatrzymał się i przygłnął do uda Garina. W ciemności Garin zobaczył błyszczące oczy, jakby dwa żółte spodki, mierzące szafranowymi iskrami. Garin wsunął swój magiczny preta do ręki Thrali.

-Co robisz'? - zdziwiła się.

-Zamierzam oczyścić naszą drogę z przeszkód. Jest zbyt ciemno, żeby używać tego preta przeciwko żywym stworzeniom.

Nie przebrzmiały jeszcze dobrze jego słowa, a już ruszył spotkanie żółtych oczu.

4. Ucieczka z Grot

Nie odrywając wzroku od bezdusznych żółtych krzaków, Garin zerwał z głowy kaptur i zmiażdżył go w niewielką kulę. Następnie skoczył. Jego palce natrafiły na coś miękkiego, na ramieniu poczuł ostre pazury, a skóra na brzuchu zaczęła mu rozrywać potężne szpony. Na twarzy poczuł cuchnący, gorący oddech przeciwnika, cudza ślina zaczęła cieknąć po jego szyi i klatce piersiowej. Jego plan jednak powiódł się. Zwinięty kaptur zdołał wpakować w pysk morgela i niemal natychmiast bestia zaczęła się dusić. Rany na ciele Garina obficie krwawiły, on jednak zaciskał dłoń na paszczy morgela tak długo, dopóki w żółtych ślepiach nie zgasły ostatnie iskry życia. Zdychająca bestia uczyniła jeszcze jeden, ostatni, potężny, lecz już bezużyteczny wysiłek, aby odepchnąć od siebie przesładowcę i rzucić go na skalisty grunt. Po chwili jednak skończyła. Zwycięski Garin oparł się o skałę, z trudem trzymając się na nogach i ciężko dysząc.

-Garinie! - zawołała Thrala. Podbiegłszy do niego położyła dłoń na jego ramieniu, a potem czule pogłaskała go po policzku.
- Czy nic ci nie jest?

-Ze mną wszystko w porządku - wydyszał. - Idźmy dalej.

Thrala chwyciła go za ramię i od tej chwili maszerowali obok siebie. Jej długa szata cicho szeleszciała przy każdym kroku, ocierając się o podłogę i skalne ściany.

-Stój - szepnęła nagle. - Znowu morgel. Bezszelestnie podszedł do nich Dandan i powiedział:

-Przed chwilą mineliśmy jakieś drzwi. Może zdołamy je otworzyć? - Cofnął się kilka kroków, ale po chwili wrócił. - Są otwarte - oznajmił.

-Kepta zakłada - odezwiała się Thrala - że będziemy się trzymali galerii, w przekonaniu, iż tam jest bezpiecznie. Dlatego musimy wybrać inną drogę. Musimy minąć tę kryjówkę morgela. Ta tutaj powinna być pusta. Z całą pewnością Kepta wezwał swe bestie, żeby polowały na nas gdzieś indziej.

Postąpili zgodnie z radą Thrali. Po niedługim czasie ku górze zaczęła unosić się spod ich stóp smrodliwa para i mimowolnie zwolnili pochod. Potem wspieli się kilkadziesiąt stopni po wąskich kamiennych schodach. Dandan szedł pierwszy.

-Garin, pret! - zawołał. - Na tych drzwiach jest żelazna sztaba.

Garin wsunął pret w dłoń Dandtana i oparł się o skałę. Drżał, kreciło mu się w głowie. Długie, głębokie rany, które zadał mu morderca, piekły.

Gdy drzwi stały otworem, z trudem ruszył się z miejsca. Wciąż szli w ciemności i ani Thrala, ani Dandtan nie byli w stanie zauważyć jego słabości.

-Mam złe przeczucie - mruknął, na pół do siebie. - Coś zbyt łatwo posuwamy się do przodu.

Natychmiast odpowiedział mu gromki głos z ciemności:

-Masz rację, przybyszu. Na razie jednak jesteś wolny, tak jak i Thrala oraz Dandtan. To wcale nie znaczy, że mi ucieklicie. Już wkrótce spotkamy się w Sali Tronowej. Muszę powiedzieć, przybyszu, że podziwiam twoją odwagę. Byc może będziesz mi jeszcze służył.

Garin odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał głos. Tam jednak była tylko skalna ściana. Kepta rozesmiał się.

-Nie posiadasz umiejętności, które pozwoliłyby ci mnie pojmać.

Jeszcze raz głośno się zaśmiał, jednak jego śmiech nagle urwał się, jakby zatrzasnięto drzwi, za którymi przebywał.

W ciszy trójce uciekinierów pobiegło korytarzem, opadającym stromo w dół. Po chwili wybiegli z grotu i znaleźli się na pełnej światła Taw.

Thrala zrzuciła z siebie szarą narzutę i przystanęła z rękami szeroko rozrzuconymi na boki. Jej szata skrzyła w jasnym świetle, a ona, nagle rozradowana, szczęśliwa, zaczęła śpiewać. Podszedł do niej Dandtan. otoczył ją ramieniem: przywarła do niego, zadowolona, wesół, uradowana wolnością.

Garin zaczął zastanawiać się, czy zdoła przetrwać drogę powrotną do Pieczar. Czuł, jak jego prawe ramię pozera potworny ogień. Zbliżył się do niego Ana i popatrzył na jego pobladłą twarz.

Nagle dobiegł do nich z Grot odgłos strasznego wycia. Thrala krzyknęła, a Dandtan natychmiast pojął, co się stało.

-Puscili mordercę naszym tropem!

Las na Taw jakby echem odbił odgłosy z Grot. A więc byli otoczeni; morderca z przodu i z tyłu! Garin dąby pewnie rade jednemu, Dandtan następnemu, a Thrala broniliby się używając preta, jednak i tak w końcu polegliby, pokonani przez stado.

-Gibi z urwiska muszą nam pomóc! - zawołała Thrala. - Prawo nakazuje im wspierać nas w potrzebie.

Wypowiedziawszy te słowa, podciągnęła szatę ponad kolana i zaczęła biec. ile sił w nogach. Garin podniósł jej okrycie i przewiązał je sobie przez ramię, aby ukryć swoje rany. Jeżeli nie da już rady biec i padnie po drodze. Thrala nigdy nie powinna dowiedzieć się. dlaczego zginął.

Garin niewiele zapamiętał z tej szalenczej ucieczki. Z trudem dotrzymywał kroku Thrali i Dandtanowi. Sam nie wiedział, kiedy przebiegł przez las i stanął u jego skraju, nad brzegiem rzeki.

Bez chwili wahania Thrala i Dandtan rzucili się w leniwy, żółty nurt i przepłynęli na drugą stronę. Garin odrzucił płaszcz, zastanawiając się. czy sobie poradzi z rzeką. Ana był już na drugim brzegu i dawał mu znaki, żeby się pośpieszył. Niechętnie skoczył do wody.

Woda. która zmywała krew i pot z jego poranionego ciała. była słonawa i potęgowała ból. promieniujący z otwartych ran. Nie był w stanie przeciwstawić się nawet słabutkiemu prądowi rzeki, i w efekcie, gdy wypłynął na brzeg, znajdował się w znacznej odległości od pozostałych towarzyszy ucieczki.

Był jednak swobodny, wolny! Padł twarzą do ziemi i ciężko oddychał. Takiego znalazła go pozostała trójka. Ana pogłaskała go po głowie, a Thrala głośno krzyknęła, przestraszona. Natychmiast przykleknęła i ułożyła jego głowę na swoich kolanach, podczas gdy Dandtan badał jego rany.

-Dlaczego nam nie powiedziałeś? - spytała z wyrzutem Thrala.

Nawet nie próbował jej odpowiedzieć, zadowolony, że może spokojnie, bez ruchu i wysiłku, leżeć w jej ramionach. Dandtan zniknął na chwilę w lesie; zaraz powrócił, trzymając w garści masę liści. Przyłożył je do ran Garina.

-Lepiej uciekajcie - wyszeptal Garin.

Dandtan potrzasnal glowa:

-Morgele nie umieja plywac. Zeby przedostac sie przez rzeke, musialyby dostac sie do mostu, a to jest daleko stad.

Niespodziewanie wskoczyl miedzy nich Ana. W malej, drobnej dloni trzymal kisc jakichs purpurowych owocow. Wszyscy czworo zaczeli jesc: Garina karmila Thrala.

Liscie, ktorymi Dandtan opatrzył Garina, mialy widocznie wlasciwosci lecznicze, bo juz wkrótce lotnik z latwoscia wstal na nogi: rany prawie mu nie doskwieraly. Uciekinierzy wznowili wiec wedrowke, w poszukiwaniu bezpieczniejszego miejsca. Strumien, wzdluz ktorego podazali, dwukrotnie nie rozgalezial, oni jednak wciaz szli wzdluz tego samego Drzegu. Otaczala ich bogata roslinnosc, a zalane sloncem Dolany, na ktore natrafiali od czasu do czasu, porosniete byly dziwnymi, lecz pieknymi i pachnacymi kwiatami.

W pewnej chwili Thrala uniosla glowe i cicho, lagodnie zagwizdala. Minelo kilka sekund i z gory opadl zolto-czarny owad. wielki jak jastrzab. Zatoczył dwa szerokie kola nad silowa Thrali i usiadł na jej ramieniu.

Jego cialo bylo czarne, natomiast trzy potezne zakrzywione szpony - zolte. Leniwie poruszajace sie w powietrzu skrzydla, chociaz czarne, mialy rowniez jasny, zlotawy odcien.

Thrala delikatnie poglaskala drobna glowke owada, ktora ten przytulil do jej policzka. Nastepnie szepnela cos niezrozumialego i stworzenie odfrunelo.

-Jestesmy oczekiwani i przejdziemy bez przeszkod - oznajmila.

Po niedlugim czasie uslyszeli basowy szum. Przed nimi pojawila sie wysoka sciana krateru. Drzewa rosnace u jej podnoza wydawaly sie karlowatymi krzakami, tak byla wysoka.

-Oto miasto Gibich - powiedzial Dandtan.

Rzeczywiscie, pod urwiskiem staly rowniez wysokie wieze i wiezyczki z okraglymi otworami. Bylo ich zwykle po osiem w kazdej wiezy.

-Chyba przygotowuja sie juz do Wielkiej Mgly - zauwazyla Thrala. - Bedziemy mieli towarzystwo w naszej wedrowce do Pieczar.

Gdy zatrzymali sie u stop tych dziwnych wiez. strzelajacych ku niebu wysoko ponad ich glowami, z otworow wyfrunely Gibi i zaczely opadac w dol, ku przybyszom. Garin poczul delikatne otarcia ich skrzydel na swoich policzkach. Nie mial watpliwosci, ze kazdy z Gibich pragnie chociaz przez moment znalezc sie jak najblizej Thrali.

Rozstapily sie jednak natychmiast, gdy nadlecial Gibi o wiele wiekszy od pozostalych i o wyatkowej pieknosci. Byla to Krolowa. Bez slow przekazala Thrali informacje, ktora ta natychmiast podzielimila sie ze wspoltowarzyszami:

-Przybylismy akurat w dobrej chwili. Jutro Gibi stad wyruszaja. Morgele przedostaly sie przez rzeke i Kepta stracil nad nimi kontrole. Zamiast scigac nas, rozbiegly sie po lesie, poszukujac drobniejszej zdobyczy. Cala Tav wie juz o tym. jednak nikt nie potrafi skutecznie walczyć z morgelami. Jedyna nadzieja w tym. ze dopadnie ich i zniszczy Mglą. My mozemy teraz odpoczac. Gibi zjawia sie po nas. kiedy nadejdzie wlasciwy czas.

Garin nie byl pewien, czy obudzil go glosny trzepot skrzydel, czy tez Dandtan, ktory kleczal nad nim i potrzasal jego ramieniem.

-Musimy isc. niedlugo wszyscy Gibi wyrusza w droge. Jedli w pospiechu pieczywo i miód. Podczas posilku znow ukazala sie im Krolowa. A potem rozpoczeli wedrowke na wschod.

Majac Gibich nad glowami, cala trojka pomaszerowala przez zielona, wielka lake. Gibi przypominaly chwilami wielka chmure, zwiastujaca burze, jednak Tav byla goraca. Garin odnosil wrazenie, ze goracy grunt pod jego stopami paruje.

-Juz niedlugo nadciagnie Wielka Mglą. Musimy sie spieszyc - wysapal Dandtan.

Obeszli zagajnik, ktory dzielil lake na dwie czesci. Znajdowali sie teraz w samym centrum Tav. Panowala tu absolutna cisza. Nie macil jej nawet najlzejszy podmuch wiatru. Ana. spoczywajacy na ramieniu Garina. zadrzal.

Ich marsz wkrótce przeszedł w trucht; Gibi skupiały się coraz bardziej. Thrala, z trudem łapiąc oddech, wyjaśniła:

-Dotąd leciały bardzo powoli, ze względu na nas. Ale to jest przecież tak daleko...

-Patrzcie! - Dandtan wskazał nagle jakiś punkt na równinie. - Morgele!

Rzeczywiście, grupa morgeli, wiedzona strachem, pedziła przed siebie ze wszystkich sił. Minęły trójkę wędrowców w odległości około stu jardów, nie zmieniając kierunku biegu, chociaż kilka z nich złośliwie wyszczerzyło kły.

-Już są martwe - powiedział Dandtan z satysfakcją. - Nie zdążyła schronić się w Grotach.

Cała trójka zaczęła biec jeszcze szybciej. W pewnym momencie Thrala potknęła się i upadła. Garin bez chwili namysłu przekazał Ane na ręce Dandtana. a sam chwycił dziewczynę w ramiona.

Mgła, która pojawiła się nad równiną, stawała się coraz gęstsza, opadając na ziemię niczym kurtyna, z każdą chwilą grubsza. Czarne włosy Thrali, delikatniejsze od jedwabiu, otuliły twarz Garina. Głowa jej spoczywała na jego ramieniu, piersi dziewczyny unosiły się i opadały, gdy oddychała gwałtownie po długotrwałym, ciężkim wysiłku.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, znaleźli się wśród Ludu. Ktoś z radosnym okrzykiem wyciągnął ręce po Thralę. To była Sera. ucieszona z powrotu swojej pani.

Kobiety otoczyły Thralę. a Garin został sam, zapomniany, opuszczony przez wszystkich. Usiadł na uboczu i podparłszy głowę na dloni, wypoczywał zadumany. Z tej zadumy wyrwał go dopiero głos Urga.

-Mgła, przybyszu. - Wskazał ręką na wyjście z Pieczar. Właśnie zamykano je, odcinając kryształowymi drzwiami Pieczary od Tav na czas Wielkiej Mgły.

Mgła była granatowoczarna; spojrzawszy na Tav, można było odnieść wrażenie, że zapadła tam już noc. najczarniejsza z czarnych, bezgwiezdnych nocy.

-I tak będzie przez czterdzieści dni. Wszystko na zewnątrz umiera - westchnął Urg.

-A więc mamy czterdzieści dni na przygotowania. - Garin głośno wypowiedział myśl, która nie opuszczała go już od dłuższej chwili. Podszedł do niego Dandtan i uśmiechnął się.

-Masz słuszną rację, Garinie. Musi minąć przynajmniej czterdzieści dni, zanim Kepta zacznie nas szukać. Czeka nas wiele pracy, aby go godnie powitać. Najpierw jednak pokłonmy się przed Wodzem Ludu.

Razem weszli do Sali Tronowej, gdzie, ujrawszy Dandtana, Trav powstał i wyciągnął przed siebie nefrytowe insygnia swego panowania. Syn Pradawnych dotknął berła.

-Chwała wam, o Dandtanie, Panie nasz i przybyszu, który wypełniłeś obietnicę Thrana. Thrala powróciła do Pieczar! Teraz jeszcze musisz obrócić ten czarny tron w pył...

Garin wyciągnął zza pasa swój pret. Dandtan jednak potrzaskał głową:

-Czas jeszcze nie nadszedł. Wodzu. Dopiero za czterdzieści dni Kepta i Czarni zjawia się tutaj.

Trav zastanawiał się przez chwilę. - Tak. Niech się tak stanie - rzekł wreszcie. Wyprostował się na swym tronie, jakby wielki ciężar spadł mu z ramion. - Prawdę powiadasz, Panie. Teraz, gdy znowu zasiądziesz na Różowym Tronie. Lud nie musi się już niczego bać. Posłuchaj Ludu. Światłość powróciła do Pieczar!

Jego okrzyk wielokrotniony echem odbił się od skalnych ścian.

-A teraz, Panie - zwrócił się do Dandtana z szacunkiem - jakie są twoje rozkazy?

-Na przeciąg jednego snu udam się do Izby Odpoczynku, z tym oto przybyszem, który od dzisiaj nie jest już obcym przybyszem, lecz Garinem, według woli Corki i zgodnie z obowiązującym prawem. Gdy będziemy wypoczywać, wy rozpocznijcie przygotowania.

-Tak powiedział Dandtan. nasz Pan! - potwierdził Trav i poprowadził Garina wraz z Dandtanem w kierunku wyjścia z Sali.

Szli licznymi korytarzami, aż w końcu znaleźli się nad stawem, w którego glebinach migotały dziwne purpurowe cienie. Dandtan rozebrał się i wskoczył do wody. a Garin natychmiast podążył za jego przykładem. Nie pływali długo. Znad stawu

udali sie do pokoju identycznego z tym, w ktorym Garin juz wypoczywal po kapieli w promieniach swietlnych. Zlozyli swe utrudzone ciala na miekkich poduszkach. Kiedy Garin obudzil sie, poczul sie lekki i rzeski, tak jak ostatnim razem po tej wspanialej terapii. Dandtan popatrzy na niego z usmiechem.

-A teraz do roboty - powiedzial i nacisnal galke w scianie. Natychmiast dwaj sluzacy przyniesli im czyste ubrania. Wlozyli je i posilili sie. a gdy zamierzali razem wyruszy do pracy, niespodziewanie pojawila sie Sera i zatrzymala Garina:

-Corka chcialaby z toba rozmawiac. Panie... Dandtan rozesmial sie.

-Idz - zarzadzil. - Rozkazy Thrali nalezy wykonywac bezzwlocznie.

Sala Kobiet byla pusta. Rownie pusty byl dlugi korytarz, ktorego sufit i sciany wylozone byly plytkami rozowego krysztalu. Sera odsunela zlota kurtyne i wraz z Garinem znalezi sie w izbie, w ktorej Thrala przyjmowala gosci.

Od razu rzucil sie Garinowi w oczy polokragly jakby oltarz, wykonany z najczystszej krysztal, wylozony rozowymi i zlotymi poduszkami. Przed oltarzem fontanna w ksztalcie rozlozonego kwiatu posylala w gore strumienie wody, opadajace do szerokiego plytkiego basenu. Wzdłuż scian tego pomieszczenia znajdowaly sie alkowy, podzielone marmurowymi filarami: kazdy z nich ukszaltowany byl na podobienstwo wielkiej paproci.

Z wysokiego okraglego sufitu zwisalo na zlotych lancuchach siedem lamp, kazda wykuta w jednym kawalku zoltego szafiru. Lampy lagodnym, delikatnym blaskiem rozswietlaly izbe. Podloga wylozona byla zlotymi i krysztalowymi kafelkami.

Dwaj Ana, ktorzy biegali miedzy poduszkami, na widok Garina zatrzymali sie, aby go pozdrowic. Po gospodyni tej komnaty nie bylo nigdzie sladu. Garin popatrzy na Sere, zanim jednak wypowiedzial swe pytanie, uprzedzila go:

-A kimze jest Pan Garin, ze nie potrafi cierpliwie czekac na Corke? - zapytala z delikatna drwina w glosie. Wyszla jednak poszukac jej.

Garin niepewnie rozejrzal sie dookola. Nigdy w zyciu nie sie jeszcze w tak bogato urzadzonym pomieszczeniu.

Nie podobalo mu sie tutaj. Zaczal wycofywac sie w kierunku drzwi, kiedy niespodziewanie pojawila sie Thrala.

-Witam cie, o Corko - powiedzial. Jego glos brzmial chlodno i formalnie, nawet w jego wlasnych uszach.

Rece Thrali, wyciagniete na powitanie, opadly wzdłuż ud. Jakby cien przebiegl po jej twarzy.

-Witaj, Garinie - powiedziala wolno.

-Poslalas po mnie... - zaczal Garin. Chcial jak najszybciej skonczyc te rozmowe w komnacie, ktorej bogactwo przytlaczalo go.

-Tak. - Z jej glosu rowniez emanowal chlod. - Chcialam zapytac cie o samopoczucie i o to, czy twoje rany juz sie zagoily.

Popatrzy po sobie. Po jego ranach nie bylo juz sladu.

-Jestem zdrow, wypoczety i chetny do kazdej pracy, ktora mi zleci Dandtan.

Szata Corki zaszelescila, gdy postapila kilka krokow, by znalezc sie blizej niego.

-A wiec lepiej juz idz... teraz - powiedziala. Posluchal jej rozkazu. Mowila do niego jak do slugi, ktory powinien byc posluszny kazdemu jej rozkazowi. A przeciez mogla mu ofiarowac swa przyjazn, tak jak milosc ofiarowala Dandtanowi. Chociaz wiedzial, ze przyjazn to bardzo niewiele wobec uczucia, ktore sie ku niej zbudzilo w jego sercu.

Za plecami uslyszal czyjes kroki. A wiec biegnie za nim! Serce zabilo mu zywiej. Byla to jednak tylko Sera. Dogonila go i popatrzyla na niego ze zloscia.

-Glupiec! Morge! - zawolala. - Nawet Czarni nie traktowali jej w ten sposob! Opusc czym predzej korytarze, w ktorych poruszaja sie kobiety, bo inaczej zedrzymy z ciebie skore!

Garin zignorowal jej uwagi. Nie spieszac sie, nakazal ktoremus z jaszczuropodobnych, aby wskazal mu droge do laboratonow. Gleboko pod powierzchnia Tav, tam gdzie nigdy nie dochodzilo naturalne swiatlo, tetnilo zycie. Stoly w laboratorium pelne byly najprzerozniejszych instrumentow, naczyn i metalowych rurek. Na podwyzszeniu przy jednej ze scian Garin ujrzal wysokiego syna Pradawnych, obracajacego w dloniach jakas metalowa strukture. Obok niego lezaly, lsniac intensywnie, fragmenty krysztalow.

Gdy Garin podszedł do Dandtana, ten unosił głowę, witając go. Po chwili wydał mu kilka szczegółowych poleceń; od tego momentu Garin zaczął pomagać mu w pracy. Wszyscy zatrudnieni w laboratorium pracowali nad doskonaleniem urządzeń obronnych przeciwko Mgłom. Ponieważ dzień nie różnił się tutaj od nocy, wytrzymywali bez odpoczynku bardzo długie okresy. Od chwili, gdy dołączył do nich Garin, dwukrotnie chodzili do Izby Odpoczynku, jednak oprócz tych krótkich przerw nie opuszczali laboratorium przez wiele dni. Thralla nie pokazywała się tutaj, nikt zresztą o niej nie mówił.

Mieszkańcy Jaskin dysponowali dwoma zasadniczymi środkami walki: zracym zielonym płynem, rzucanym w przeciwnika w bulwach z kruchej szkła, oraz ekranami, w których nagromadzona była ogromna energia. Na krótko przed rozproszeniem się Wielkiej Mgły bron ta przeniesiona została do wyjścia z Jaskin i tam zainstalowana. Dandtan i Garin sprawdzili ją po raz ostatni.

-Kepta, na nasze szczęście, popełnia ten błąd, że nigdy nie docenia przeciwników. - powiedział Dandtan, ostrożnie przesuwając rękę po brzegu ekranu. - Kiedy zostałem schwytany, w dniu, gdy zginął mój naród, posłano mnie do laboratoriów Czarnych; ich uczniowie chcieli dzięki mnie poznać tajemnice Pradawnych. Tam okazałem się jednak znacznie lepszym uczniem niż nauczycielem i udało mi się poznać tajemnice obrony przed Czarnym Ogniem. Dowiedziawszy się, że uczniowie niczego użytecznego ze mnie nie wydobędą, Kepta zdenerwował się z powodu mojej, jak sądził, głupoty i spróbował użyć mnie do podporządkowania Thralli swojej woli.

Za to, jak i za wiele innych rzeczy, musi teraz zapłacić... - Urwał, aby przywitać Urgę i Trawę oraz innych przywódców Ludu, którzy pojawili się wokół nich cicho jak cienie.

Pomiędzy nimi stała Thralla. Jej spojrzenie utkwione było w kryształowej ścianie, oddzielającej Pieczarę od coraz bardziej rzadzącej mgły. Nie zwróciła na Garina więcej uwagi niż na Any, bawiące się rękami jej szaty, i na kobiety szepczące coś pomiędzy sobą. Garin jednak cofnął się w cień.

Urgę oraz kilku innych z trudem unieśli kryształową przegrodę. Nagle w Pieczarze powiało ożywczym chłodem Tav. Zieleni otwartej przestrzeni zaczęła zapraszać zgromadzonych swoją świeżością. W zaproszeniu tym jednak było coś dziwnego; z zewnątrz nie dobiegał do Pieczary nawet najcichszy dźwięk.

-Wystawimy warty - postanowił Dandtan. - Czarni wkrótce się pojawiają.

Skinął na Garina i popchnął go lekko przed siebie, po czym odezwał się z uśmiechem do Thralli:

-Przejdźmy do Sali Tronowej.

Corka nie podchwyciła jednak jego uśmiechu.

-Nie czas teraz na czczone pogawędki w Sali Tronowej - powiedziała i zmierzyła Garina przeciągłym, lodowatym spojrzeniem. Dandtan natychmiast je spostrzegł.

-Co zaszło między wami? - zapytał Garin. Garin wzruszył ramionami:

-Nie wiem. Nie urodził się jeszcze mężczyzna, który byłby w stanie zrozumieć kobietę...

-Ale ona najwyraźniej jest na ciebie zła! Musisz, przecież wiedzieć, dlaczego!

Przez moment Garin odczuwał pokusę, aby powiedzieć mu prawdę: że nie osmielił się przelamać bariery, którą ona chciała unieść. A przynajmniej nie zechciał przelamać jej w sposób, który uwłaczałby jego godności. Potrząsnął jednak ponuro głową.

Obaj nie widzieli już potem Thralli aż do chwili, w której Śmierć wkroczyła do Pieczary.

5. Bitwa w Pieczarach

Garin stał obok Dandtana i obaj przyglądali się zielonej Tav. W pewnej odległości od nich znajdowały się dwie wysmukłe, zwieńczone stalową pokrywą wieże, które w rzeczywistości były wydrążonymi rurami, wypełnionymi Czarnym Ogniem. Wokół nich, niczym pracowite mrowki, krążyły jakieś ciemne sylwetki. -Chyba uważają nas już za pokonanych. Niech tak myśla - skomentował Dandtan zachowanie Czarnych, dotykając dłonią ekranu, wzniesionego przed wejściem do Pieczary.

Gdy wypowiedział te słowa, z oddali dobiegł krzyk Kepty:

-Hej, mieszkańcy Pieczary, chciałbym z wami porozmawiać!

Dandtan i Garin wychylił głowy ponad ekran:

-Widzimy cie, Kepta!

-To dobrze. Wierze, że równie dobrze jak oczy. Bada wam służyć uszy. Oto moje warunki: wydacie mi Thrale. Aby zamieszkała w mojej komnacie, oraz przybysza, ku uciechu moich żołnierzy. Nie będziecie stawiali oporu, lecz opuscicie Pieczary i zostawicie mi je. abym mógł zająć przysługujące mi miejsce w Sali Tronowej. Gdy tak się stanie, powróci pomiędzy nas pokoj...

Dandtan stał nieporuszony przed ekranem.

-A oto nasza odpowiedź! - zawołał. - Powróć do Grot, zburz most łączący twoje ziemie z naszymi. I spraw. aby Czarni nigdy więcej się tutaj nie zbliżyli. Nigdy...

Kepta rozesmiał się.

-A więc jesteście pyszni i głupi! Sam sobie wezmę Thrale i pojmam przybysza...

Na tym zakończyły się negocjacje. Garin, a za nim Dandtan, ruszyli do ataku i po chwili staneli twarzą w twarz z Kepta. Garin zamierzył się i poczuł jego wargi pod swoją pięścią. Dandtan zacisnął palce wokół jego szyi, jednak zaraz puścił zdobycz i głośno ostrzegł Garina:

-Uważaj!

Z trawy wynurzył się Morgel i zamierzył się klami na piasek Garina, zmuszając go do puszczenia Kepty. Dandtan zdołał jednak uderzyć napastnika tak mocno, że Morgel padł bez czucia na ziemi.

Oszolomiony Kepta poczołgał się do tyłu. do swoich ludzi. Jego twarz była cała okrwawiona, malowała się na niej krancowa złość. Wściekłym głosem zaczął wykrzykiwać jakieś rozkazy.

Dandtan tymczasem miał wystarczająco dużo przytomności umysłu, aby pociągnąć Garina i razem z nim wycofać się za ekran.

-Uspokój się - wydyszał. - Są inne sposoby walki z Kepta niż bicie go gołymi pięściami.

Tymczasem wieże przechylily się. kierując czubki ku wejściu do Pieczar. Dandtan zarządził, aby ściśle zasłonić je ekranem.

Morgel, którego Dandtan unieszkodliwił podczas krótkiej walki, powstał niepewnie na nogi. Gdy znajdował się w połowie drogi powrotnej do swego pana, Kepta dał rozkaz otwarcia ognia. Szeroki strumień czarnego płomienia z najbliższej wieży zahaczył o głowę nieszczęsnika i po chwili w tym miejscu leżała już tylko kupa popiołu.

Kiedy płomienie dotarły do ekranu, rozległ się głośny syk i natychmiast zostały odbite z powrotem. Zielona trawa zapłonęła i już po chwili teren przed Pieczarami pokryty był tylko nagą, szarą ziemią. Do Pieczar wdarł się przez szczeliny gęsty, gryzący dym i ich obrońcy zaczęli głośno kaszlać.

Wkrótce Czarni przerwali atak. Ze szczytów wież znowu unosiły się jedynie wąskie smutki czarnego dymu, a nad wypaloną ziemię wznosił się gęsty, błękitnawy kurz. Dandtan głęboko odetchnął.

-Udało się! - wykrzyknął. W jego głosie brzmiała ogromna ulga. zdradzająca, w jakim napięciu był przez ostatnie dni.

Jednak nie było czasu na radość, gdyż w każdej chwili mógł nastąpić nowy atak. Lud przygotowywał do użycia kolejną broni: szklane bulwy z zielonym płynem. Dandtan patrzył na to, jakby cała sprawa go nie dotyczyła. Garin dziwił się temu przez chwilę, aż wreszcie przypomniał sobie, że Pradawnym nie wolno podejmować poczynań, które mają na celu pozbawienie kogokolwiek życia.

Ludem dowodził teraz Trav. Na jego rozkaz bulwy umieszczone zostały w wyrzutniach w kształcie łyżek. Odrobinę obniżono ekran, przygotowując coś na kształt otworów strzelniczych. Trav unosił reke. gotów dać rozkaz do ataku. Gdy wyrzutnie były przygotowane, opuścił ją. i zielone bulwy poszybowały daleko w przestrzeń.

Jedna z nich. wystrzelona zbyt słabo, padła niedaleko wejścia i pękła. Płyn wydobył się z niej, zmieniając się w szarozielony gaz w chwili stykania się z powietrzem. Tej przemianie towarzyszył przerazający syk... Wkrótce podobne odgłosy zaczęły docierać do Pieczar z miejsc, gdzie znajdowały się stanowiska wroga. Towarzyszyły im krótkie, straszliwe

wrzaski, przeradzające się natychmiast w jęki bólu i rozpacz. Czarni opuszczali swe stanowiska. Garin widział w oddali pojedyncze sylwetki, straszliwie zdeformowane przez okrutny zielony płyn.

Dandtan odwrócił się. Jego twarz była blada, a rysowało się na niej niedowierzanie i przerażenie. Garin zakrył dłońmi uszy, aby nie słyszeć jęków; cofającego się wroga.

Wreszcie wszystko ucichło. Przed Pieczarami pozostały jedynie opuszczone wieże. Pomiedzy nimi leżały bezwładne ciała, popalone i straszliwie powykręcane w śmiertelnej agonii. Garin długo krążył po polu bitwy, zamysłony, zadumany. Wreszcie musiał przerwać obchód, gdy jedna z kobiet z otoczenia Thrali zawołała do niego:

-Szybko! Kepta zabiera Thrale!

Natychmiast pobiegła tam, skąd przybyła, a Amerykanin pospieszył za nią. Jak błyskawica oboje wpadli do Sali Tronowej i tutaj Garin zobaczył jakas szamotaninę przed podwyższeniem.

Usłyszał czyjs skowyt, jakby zwierzęcy, i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że ten głos pochodzi z jego własnego gardła. Skoczył i po raz drugi tego dnia uderzył pięścią w twarz Kepte. Z krzykiem wściekłości Czarny pusczył Thrale i zaatakował Garina. Jego długie paznokcie rozorały skórę na twarzy lotnika. Garin odpowiedział mu boksem ciosem w zęba. Odebrało to na chwilę Keptę oddech i pozwoliło Amerykaninowi zacisnąć palce wokół jego szyi. Mimo heroicznych wysiłków, które Czarny podejmował, aby się wyswobodzić, Garin sciskał go tak długo, aż wreszcie bezwładne ciało przeciwnika upadło u jego stóp.

Cieško dysząc, Garin wyprostował się i oparł ramieniem o Nefrytowy Tron.

-Garin! - Thrala rzuciła mu się na szyję, ale po chwili cofnęła się i opuszczeniami palców zaczęła badać jego rany. W tym momencie zapomniał o Dandtanie i o wszystkim, co go otacza. Przyciągnął ją do siebie. Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy. Po czym zetknęły się ich usta. Na jego pocałunek odpowiedziała długim, głębokim pocałunkiem.

-Garin - wyszeptala miękko i nagle, jakby ogarnął ją wstyd, oderwała się od niego.

Za nią stał Dandtan, o pobladłej twarzy i zacisniętych ustach. Garin opamiętał się. Odrobine otumaniony z bólu, ale też i z rozkoszy, jaka sprawiły mu pocałunki, opuścił wzrok, pragnąc nie patrzeć w tej chwili na Thrale.

-A więc, przybyszu, Thrala rzuciła się w twoje ramiona.

Garin błyskawicznie odwrócił się. Oto Kepta. Ten sam Kepta, którego przed chwilą pokonał, patrzył na niego z wysokości Nefrytowego Tronu.

-Tak, tak, ja wciąż żyję, przybyszu. Nie jesteś w stanie odebrać mi życia. Odejdź teraz, lecz wróć. Spotkaliśmy się i znienawidziliśmy już znacznie wcześniej, niż sądzisz. Ty byłeś niejakim Garanem, Marszałkiem Floty Powietrznej Yu-Lac, na świecie, który zniknął, a ja byłem władcą Koom. Było to dawno, zanim Pradawni wyruszyli w przestrzeń. Ty i ja, i Thrala jesteśmy związani ze sobą tak silnie, że żaden los nie może rozwiązać tego związku. Żegnaj Garinie. Tymczasem. A ty, Thralo, pamiętaj koniec tamtego Garana. Nie było mu wówczas łatwo.

Ze złośliwym uśmiechem na ustach rozparł się wygodnie na tronie. Ciało jego zaczęło się kurczyć, a tron jakby rozbłysł wszystkimi barwami tęczy. Trwało to bardzo krótko; po chwili i Nefrytowy Tron. i Kepta zniknęli. Tam, gdzie znajdowali się jeszcze przed mgnieniem oka, była pustka, a obok stał Rozowy Tron Pradawnych.

-On mówił prawdę - szepnęła Thrala. - Zylismy w innych wymiarach, spotykaliśmy się i będziemy się spotykać w przyszłości. Na razie jednak Kepta powrócił do ciemności, które go tutaj przysłały.

Gdy Thrala umilkła, zupełnie nagle, bez zapowiedzi, w Sali rozległ się głuchy grzmot. Zaczęły kołysać się wszystkie ściany. Długo trwało, zanim niebezpieczeństwo minęło: w tym czasie wszyscy stali jak wryci, nie osmielając się poruszyć, sparaliżowani strachem. Gdy powróciła cisza, do Sali wbiegł goniec z wiadomością, iż jeden z Gibich zauważył, że Groty Ciemności zostały zasypane przez podziemne wstrząsy. Zagrożenie ze strony Czarnych odeszło bezpowrotnie.

Chociaż z powodu wstrząsów ucierpiały również Pieczary - zasypane zostały niektóre przejścia, popękaly niektóre ściany - prawie nikt nie odniósł obrażeń. Gibi zauważyły, że przed wejściem do Pieczar obniżył się poziom gruntu, a Rzeka Złota, która zmieniła koryto, dopłynęła aż tutaj, tworząc piękne jezioro.

Nie było wątpliwości, że żaden z Czarnych nie przeżył bitwy i kataklizmu, chociaż nikt nie mógł być pewien, czy gdzieś na Tav nie grasują zdolne do wszystkiego bandy rzeźwimieszek.

Zmieniło się jednak oblicze Tav. Na centralnej równinie pojawiły się niewysokie wzgorza. Zniknął staw i wrzaczym błotem, a wszystkie drzewa w lesie przewróciły się. Jakby ścięte wielką kosą.

Po powrocie do swego miasta przy urwisku, Gibi znalazły większość ze swych woskowych wież w ruinie, jednak bez narzekan przystąpiły do ich odbudowy. Uprawiające pola wiewiórki wynurzyły się ze swoich nor i ponownie przystąpiły do pracy.

Garin czuł się jakby nie na miejscu wśród tych wszystkich prac, które toczyły się w Pieczarach i wokół nich. Bardziej niż kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, że jest tu tylko przybyszem, obcym, nie mającym swych korzeni na Tav. Dużo czasu spędzał w Jaskini Przodków, chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o tych, którzy stworzyli ten dziwny świat, w którym przyszło mu się znaleźć.

Pewnego wieczoru, gdy powrócił do swojej komnaty, zastał w niej Dandtana i Trava. czekających na niego. Twarz Dandtana była ściągnięta w surowym grymasie. Trav był posepny.

-Czy od dnia, w którym wygramy bitwę, starales się dotrzeć do Sali Kobiet? - zapytał syn Pradawnych bez żadnego wstępu.

-Nie - odparł krótko Garin. zastanawiając się, o co Dandtan chce go oskarżyć.

-Czy posyłałeś jakąś wiadomość do Thrali? Garin z trudem zachował spokój:

-Nie. Wiem co mi wolno, a czego nie.

Dandtan popatrzył na Trava jak oskarżyciel, którego podejrzenia zostały potwierdzone.

-Widzisz więc. Trav.

Trav powoli potrząsnął głową:

-A jednak nigdy dotąd wezwanie nie było pomyłką...

-Zapominasz - powiedział Dandtan ostro - że raz już się tak stało i wymierzylimy surową karę. Tak będzie i tym razem.

Garin patrzył zdezorientowany to na jednego, to na drugiego. Dandtan był najwyraźniej wściekły, natomiast Trav sprawiał wrażenie, że nie wie, jak powinien się zachować.

-Powinnismy poradzić się Corki - powiedział wreszcie Władca Ludu.

Dandtan skierował kroki ku drzwiom.

-Thralla nie może się dowiedzieć. Jeszcze dzisiaj wieczorem zwołam Radę. Tymczasem pilnuj - zerknął na Garina - aby on nie opuszczał swojej izby.

W ten sposób Garin stał się więźniem Ludu. Nie wiedział, o co oskarżył go Dandtan ani co spowodowało nienawiść rządcy Pieczar. Mogł jedynie domyślać się, że Dandtan był zazdrosny i za wszelką cenę chciał się pozbyć rywala.

Z tymi domysłami w głowie Amerykanin znalazł się wkrótce w izbie, w której czekali na niego surowi sędziowie. Dandtan siedział u szczytu długiego stołu, obok niego zasiadał Trav, a dalej mniej ważni notabla Ludu.

-Wszyscy znacie oskarżenie - odezwał się Dandtan jadowitym głosem, gdy Garin stanął przednim. - Potwierdził je nieopatrnie przybysz swoimi własnymi słowami. Zatem wzywam was, abyście wyznaczyli mu los godny osobnika, który sprzeniewierzył się wezwaniu.

-Czy przybysz przyznał się do winy? - zapytał ktoś. Trav ze smutkiem pokiwał głową.

-Przyznał się - powiedział.

Garin otworzył usta, chcąc się wreszcie dowiedzieć, o co go oskarżają, jednak Dandtan nie dał mu dojść do słowa.

-Jaka jest wasza decyzja. Panowie?

Przez długą chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu, pochylivszy swe jaszczurze głowy, jakby zastanawiając się.

-Postępuj, jak ci nakazuje sumienie, o Najjasniejszy - zapadła wreszcie decyzja.

Dandtana usmiechnął się, jednak na jego twarzy nie zagóściła radość.

-Widzisz, przybyszu - przesunął dłoń nad lustrem, leżącym na stole; w lustrze przesuwały się obrazy. - Taki jest los rebelianta...

W szklanej powierzchni Garin ujrzał grupę Pradawnych, przytrzymujących szamoczącego się więźnia. Kazali mu człapać się i musiał spełnić ich polecenie. Brnął brzuchem po kamienistej ziemi i po ostrych skalach, oddychał gorącym powietrzem, z sykiem wydostającym się ze szczelin w gruncie. Pełzał tak długo, aż dotarł do błotnistej sadzawki, z której nie sposób było się wydobyć. Po chwili błoto pochłonęło go całkowicie i tylko jeszcze przez chwilę na powierzchni wydobywały się bąbelki powietrza.

-Taki był jego koniec, i ty tak skończysz...

To oświadczenie, zamiast przestraszyć Garina, wzbudziło w nim złość.

-Wole raczej zginąć, niż pozostać z wami, chociażby przez chwilę! - zawołał gromkim głosem. - Wy, którzy zawdzięczacie mi życie, zamierzacie posłać mnie na męczennicką śmierć, nawet nie wyjaśniając mi, o co jestem oskarżony! Mała jest różnica pomiędzy wami a Kepta, a może on nawet jest lepszy, bo osmielił się być moim otwartym wrogiem, a nie skrytym i podstępny.

Dandtana skoczył na równe nogi, jednak Trava przytrzymał go za ramię.

-Szczepie mówisz. Zapytaj go, dlaczego nie wypełnia wezwania?

Dandtana wahał się. Skorzystał z tego Garin i pochyliwszy się nad stołem, starannie dobierając słowa, wyrzucił swoje zalety prosto w twarz sędziów o nieprzeniknionych, jaszczurzych obliczach.

-Przyznaję, że kocham Thrallę. Pokochałem ją w tej samej chwili, w której po raz pierwszy ujrzałem ją w Grotach. Od kiedy to zbrodnia jest kochać, nawet istotę, której nie ma się prawa zdobyć, jeżeli nie okazuje się tego wszem i wobec?

Trava puścił Dandtana; jego złote oczy błyszczały.

-Jeżeli ją kochasz, staraj się o nią. Masz takie prawo.

-Przecież wiem - Garin zwrócił się do Travy - że ona należy do Dandtana. Thrallę nie wiedział, że Dandtana przetrwa, kiedy uzależniał jej los od swojej woli. Czyż wolno mi to wykorzystywać, upominając się o moje prawo do niej? Niech odda się temu, którego kocha...

Na twarzy Dandtana pojawiła się wściekłość, jego ręce, spoczywające na stole, zaczęły drżeć. Jeden po drugim sędziowie poczęli wstawać i wkrótce w izbie pozostali już tylko oni dwaj: Garin i Dandtana. Ten ostatni z trudem wydobył z siebie następne słowa.

-A ja chciałem cię posłać na śmierć - wyszeptał. Mimo szeptu, jego głos drżał. - Garinie, my myśleliśmy, że ty wiesz, że ty wszystko wiesz i świadomie odtrącasz rękę Thralli.

-Co takiego wiem?

-Że ja jestem synem Thralla. I bratem Thralli. Garin poczuł, że świat wiruje przed jego oczyma. Z trudem znalazł w sobie tyle siły, żeby się nie przewrócić.

-Jestem głupcem - powiedział powoli. Dandtana usmiechnął się:

-Lecz głupcem pełnym honoru. A teraz udaj się do Thralli i opowiedz jej o wszystkim. Zasługuje na to.

Po raz drugi, tym razem z Dandtana u boku, Garin odgarnął złote zasłony i stanął przed obliczem Corki. Wstała z poduszki i bez słów padła mu w ramiona, gdyż z wyrazu jego twarzy odgadła, z jaką nowiną przychodzi.

W tym momencie rozpoczęło się życie Garina na Taw.

Część druga

I. Władca Yu-Lac

Czesto wysluchiwalem (ja. Garin Featherstone w dawnym swiecie za Bariera Mgly, a teraz Garan z Plomieni, malzonek Krolowej Thrali. Corki Pradawnych) na pol zapomnianych opowiesci o wspanialej rasie, ktora uciekla z umierajacej planety. Przemierzywszy ogromna, niemal bezkresna pustke, jej przedstawiciele wyladowali na antarktycznym kontynencie naszego mlodego swiata i tam znalezi dla siebie nowe miejsce do zycia. Byla to, oczywiscie, ziemia Tav, na ktorej spodziewali sie zamieszkac na bardzo dlugo. Mowiono nam, ze od czasu do czasu odswiezali swoja krew, przywołujac do siebie mezczyzn z zewnetrznego swiata, ktorzy przenikali na Tav poprzez bariery, wzniesione przez te wspaniala rase. Ja bylem jednym z tych mezczyzn. Przybylem tam jednak bardzo pozno i w zlych czasach. Na Tav zawitalo bowiem zlo i rozgorzal dramatyczny konflikt pomiedzy jej mieszkancami. Z trudem udalo nam sie pokonac Kepte, Wladce Czarnego Ognia, i jego zwolennikow. Na Tav pozostal tylko dwoje przedstawicieli wspanialej rasy Pradawnych: moja malzonka i jej brat, Dandtan.

Zrozumiawszy, ze przegral walke, Kepta zapowiedzial nam niepewna przyszlosc, a poza tym poczynil pewne uwagi, dotyczace przeszlosci. Uwagi te nad wyraz mnie zainteresowaly. Powiedzial bowiem, ze troje z nas, Thrala, Kepta i ja, jestesmy ze soba nierozlacznie zwiazani. Zylismy i walczyliśmy dawno temu i bedziemy zyc oraz walczyz równiez w dalekiej przyszlosci.

W Pieczarze Snu spoczywa Garan, ktorego historie opowiedziala mi Thrala. Jednak przed nim. dawno, dawno temu. byli inni.

Kiedy bowiem poprosilem Thrale, aby wytlumaczyla mi slowa Kepty, zabrala mnie do jednego z dziwnych, jajowatych pomieszczen, w ktorych znajduja sie wbudowane w stoly lustra, pozwalajace widziec przeszlosc i przyszlosc. Tam usiadla na miekkiej lawce przy jednym z nich i polecila mi, abym uczynil to samo.

-Daleka i dluga przebylismy droge, kochany - powiedziala cicho. - Jednak nie tak daleka i nie tak dluga, bym nie pamietala jej poczatku. A ty, czy pamietasz?

-Niczego nie pamietam - odparlem, z oczami utkwionymi w lustro.

Thrala westchnela.

-Coz, zaluje, chociaz mysle, ze to moja wina. To, co razem zrobilismy, we dwoje, w wielkim miescie Yu-Lac, w zaginionym swiecie Krand, polaczylo nas na dlugo, bardzo dlugo. A jednak to juz minelo i troche obawiam sie przywoływac znow te obrazy.

Podnioslem sie gwałtownie.

-A wiec dajmy temu spokoj - powiedzialem.

-Nie. - Thrala chwycila mnie za reke. - Zaplacilismy juz nasza cene. placilismy trzykrotnie. Raz w Yu-Lac i dwa razy w Pieczarach. Nasze nieszczęście minelo; teraz raduje mnie ponowne ogladanie najwspanialszych czynow, jakich kiedykolwiek bylam swiadkiem.

Przesunela wysmukle dlonie nad lustrem. Zaszlo mgla.

Stalem na balkonie o wymyslne rzezbionej poreczy z opalizujacego kamienia, spogladajac z gory na fantastyczne miasto, nie rozbudzone jeszcze calkowicie ze snu. Na rozowym niebie, dziwnym dla moich na poly ziemskich oczu, a jednoczesnie tak znajomym, pojawily sie pierwsze pasemka ziemskiego switu. Wielkie miasto Yu-Lac lezalo u mych stop. a ja bylem Lordem Garanem, Marszalkiem Cesarskiej Floty Powietrznej, parem imperium.

Sam fakt urodzenia nie dawal mi prawa do takiego stanowiska i tytul, moja matka bowiem byla zaledwie dama dworu, a ojciec oficerem. Zlamali prawo, zakazujace malzenstw pomiedzy osobami pochodzacymi z roznych kast i klanow. Pobrali sie w sekrecie i skazali mnie na pelnienie od urodzenia roli wyrzutka, osobnika stojacego najnizej w hierarchii społecznej.

Szczesliwie dla mnie i podobnych mi nieszczesnikow. Cesarz Fors. kiedy zasiadl na Rozowym Tronie w Palacu Swiatla, wydal dekret, zezwalajacy na sluzbe w armii wszystkim mezczyznom. W wieku pietnastu lat dokonalem wiec wyboru: poswiecilem sie karierze wojskowej.

Ciezkie okazalo sie zycie w armii, jednak bylo ucieczka od jeszcze gorszej doli. a ja - mlodzienczek ambitny i zdolny (z pewnoscia odziedziczylem te cechy po moim ojcu) - szcieszliwie awansowalem w jej hierarchii krok po kroku. Po czternastu latach bylem Marszalkiem Cesarskiej Floty Powietrznej i lordem, mianowanym przez samego Cesarza.

A jednak zolnierz, ktory stal na balkonie, przypatrujacy sie pieknemu obrazowi miasta, budzacego sie ze snu. podziwiajacy urode Yu-Lac o swiecie, nie byl ani szcieszliwy, ani zadowolony. Wszystkie jego z trudem zdobyte zaszczyty znaczone byly ranami, pokrywajacymi niemal cale cialo. On sam zas (chociaz nikt jeszcze o tym nie wiedzial) osmielil sie skierowac swoj

wzrok i serce ku osobie, stojacej tak wysoko ponad nim. jak wysoko czerwone slonce Krand staje ponad zoltymi polami.

Ja, weteran niezliczonych wojen przygranicznych i krwawych potyczek, bylem tak przygnebiony i nieszczesliwie zakochany, jak najglupszy i najmłodszy z rekrutow, zakwaterowanych w barakach pod moja wieza. Mimo ze z wielkim wysilkiem zdolalem gasic moja tesknote w ciagu dnia, w nocy i nad ranem ozywala ona z taka sila. ze nie bylem w stanie uciec ani od niej. ani od marzen o mojej ukochanej. Niczym najbardziej ekscentryczny z kaplanow wielkiej swiatyni boga On, torturowalem sie myslami, sprawiajacymi mojemu sercu nieopisany bol. Udawalo mi sie jednak nikomu niczego nie okazac. Dla moich towarzyszy walki pozostawalem zimnokrwistym zolnierzem i sprawnym dowodca.

Trzy lata,... Na boga On. czy to naprawde trwalo juz az tak dlugo? To przed trzema laty bylem dowodca cesarskiego latacza, ktory wyznaczony zostal do odebrania Thrali z przyklasztornej szkoly w Toran i przeniesienia dziewczyny do jej krysztalowego palacu, ktory dumnie wznosil sie na szczycie centralnego wzgorza Yu-Lac.

Ksiezniczka otoczona byla przez caly czas niezliczonymi zastepami straznikow i przyzwoitek. a jednak pewnej nocy wymknela sie im wszystkim i znalazla w kokpicie latacza, w ktorym pelnilem samotna sluzbe. Tej nocy stala sie dla mnie Thrala. ukochana, kims o wiele wazniejszym i blizszym niz jedynie Cesarska Wysokosc.

Od tego dnia widzialem ja dwa razy. Pierwszy raz w zyciu, kiedy ukleknalem przed Cesarzem, aby przyjac marszalkowskie szlify; osmielilem sie wowczas uniesc glowe i spojrzec na Thrale, siedzaca na zlotym tronie obok niego. A po raz drugi? Bylo to w cesarskich ogrodach, kiedy oczekiwalem na audyencje. Przeszla wowczas zaledwie kilka krokow obok mnie, otoczona przez swoje damy do towarzystwa.

Podzial kastowy w Krand byl bardzo scisly. Wszelkie awanse mozliwe byly tylko w obrebie kast. Chlop mogl z czasem dorobic sie nie wiadomo jak wielkich polaci ziemi i byc gospodarzem na wielkich obszarach, a jednak ani on, ani jego synowie nie mieli prawa nigdy sluzyc na dworze ani w armii. Na zawsze pozostawali wiesniakami.

Na tej samej zasadzie zolnierz, chociazby byl nie wiadomo jak utytulowany i jak wysoki stopniem, nie mial prawa wodzic oczyma za corka kogokolwiek sposrod Oswieconych. To oni byli naszymi wladcami i dostojnikami, umiejscowionymi w hierarchii spolecznej o wiele wyzej niz wszyscy inni mieszkancy Krand. Posiadali taka wladze, zarowno nad ludzmi, jak i silami natury, jaka ja posiadalem nad bezmozgowcami, pracujacymi na polach: nad polludzmi. stworzonymi przez Oswieconych w laboratoriach.

A jednak pokochalem Thrale i nie mogly temu zaradzic zadne dekrety Cesarza, nie mogly mojej milosci powstrzymac zadne kastowe lancuchy. Mysle, ze skonczylbym z soba, w ostatniej chwili zycia rozmyslajac o niedostepnej dla mnie ukochanej, gdyby slepy los nie zdecydowal za mnie inaczej.

Tego ranka nie bylo mi dane dlugo przezywac w samotnosci mojej tesknoty za Thrala. Wkrotce rozlegl sie za mna cichy dzwoneczek przy drzwiach, oznajmiajac, ze ktos pragnie wejsc do mojej komnaty sypialnej. Podeszedlem do matowej blaszki, umieszczonej na scianie i przesunalem przed nia dlonia. Jej powierzchnia natychmiast ozywila sie i ujrzalem na niej ostre, wyraźne rysy twarzy mojego adiutanta. Anatana Hala, szubrawcy i wesolka, jakich malo urodzilo sie dotad na swiecie.

-Wejdz - powiedzialem do tuby, umieszczonej obok. Moj glos automatycznie otworzyl drzwi. - No chlopaczku, w co sie tym razem wpakowales? - zapytalem Anatana zrezygowany.

Bylem juz przyzwyczajony do jego porannych wizyt i prosb o wybawienie go z najprzerozniejszych klopotow, w ktore co rusz pakowal sie dzieki swojej nieostrozności i niespozytej energii.

-Na razie - odparl lekkim tonem - chwalac boga On, w zadne. Natomiast na pana czeka poslaniec z palacu.

Mimo ze zolnierz powinien zachowywac spokoj w kazdej sytuacji, serce zabilo mi szybciej. Znow przesunalem dlonia nad blaszka i polecilem zolnierzowi dyzurujacemu w moim gabinecie, aby wpuscil poslanca. Postanowilem przyjac go natychmiast, gdy sie odpowiednio przebiore.

Anatan zajal sie zbieraniem czesci mojego munduru, ktore lezaly porozrzucane po calej sypialni, a ja tymczasem wszedlem do lazienki. Nie domknałem, jak zwykle, drzwi, dzieki czemu Anatan mogl wykrzykiwac w moim kierunku na)nowsze plotki z barakow i dworu.

-Lord Kepta zamierza zlozyc nam wizyte! Opuscilem recznik, po ktory wlasnie siegnalem.

-Kepta z Koom? - zapytalem szybko. Mialem nadzieje, ze Anatan nie zauwazyl niepokoju w moim glosie.

-A ktozby inny? Wiadomo mi tylko o jednym Kepcie.

Anatan, mimo że był chłopakiem lekkomyślnym, a zarazem bardzo chytrym i przebiegłym, zawsze był wobec mnie lojalny. Wiedziałem, że w żadnych okolicznościach mnie nie zdradzi. Nie było na świecie nikogo, kogo nienawidziłbym bardziej niż Kepty z Koom, który posiadał władzę, pozwalającą zgnieść mnie w okamgnieniu z powierzchni ziemi niczym owada, i który bez chwili wahania wykorzystalby tę władzę, gdyby zdawał sobie sprawę z mojej nienawiści. Na szczęście wiedział o tym tylko Anatan.

W każdym koszyku owoców znajdzie się zawsze jeden owoc zgnily, który sprawi, że zaczyna się psuć pozostałe. W moim najlepszym przekonaniu Władca Koom był takim zgnilym owocem pomiędzy Oswieconymi.

Kepta nie przebywał zbyt często w towarzystwie ludzi ze swojej kasty, spędzając większość czasu w swojej wielkiej cytadeli z czerwonego kamienia, stojącej w omiatanym przez wiatr mieście. W laboratorium pod cytadelą przeprowadzał tajemnicze eksperymenty, których efekty miały służyć umocnieniu świetności Kranda. Nikt spośród pozostałych Oswieconych nie potrafił powiedzieć, na czym te eksperymenty polegają, podejrzewam jednak, że nie należy z nimi wiązać niczego przyjemnego. Każda nauka ma swoje jasne i ciemne strony; o ile w pogłoskach na ten temat istniało chociaż ziarno prawdy, Kepta skłaniał się tylko ku tym ciemnym, na ten temat najroźniejsze historie, dwiema z nich nawet się dokładniej zainteresowałem, co jednak mogłem począć bez dowodów! Kepta był Oswieconym z samej racyj urodzenia, a ja od urodzenia wyrzutkiem, który dzięki łasce Cesarza zdobył pewną sławę i pozycję. Jeśli chciałem je zachować - ba. jeśli chciałem zachować życie! - nie powinienem był wchodzić w drogę Keptcie.

Kepta był bardzo popularny wśród większości oficerów mojego korpusu. Znany był z tego, że lubił huczne zabawy, a poza tym nie skąpił nikomu z nich grosza, gdy znajdowali się w kłopotach finansowych. Było dla mnie jasne, że chce uzależnić od siebie tak wielu oficerów, jak to tylko możliwe.

A jednak władca Koom nieczęsto opuszczał swoją warowną cytadelę. Raczej wolał zapraszać kompanów; do siebie. Jedynym wyjaśnieniem jego zbliżającego się przyjazdu był fakt, że Cesarz zwołał wszystkich Oswieconych do Yu-Lac; niewątpliwie i Kepta wezwany został na to zgromadzenie.

Jeśli tylko o to chodziło, nie należało się go spodziewać zbyt szybko: od tej strony już go dobrze znałem. Jako dowódca portu lądowego w Yu-Lac nie otrzymałem do tej pory informacji o jego przylocie i o konieczności przygotowania dla jego prywatnego latacza miejsca postojowego pomiędzy maszynami Cesarza. Wiedziałem więc, że gdy przyleci, będzie to lądowanie nagle, przez nikogo nie spodziewane. A to oznaczało dla całej obsługi lądowiska mnóstwo problemów i kłopotów.

Ubrałem się w wyjściowy mundur i przypiąłem miecz do szerokiego pasa. Odebrałem od Anatana srebrny płaszcz wojenny i wyszedłem z mieszkania.

Z mojego prywatnego apartamentu do biur schodziło się spiralnymi schodami, biegnącymi wewnątrz wieży. Ściany w wieży ozdobione były freskami, przedstawiającymi sceny wojenne. Co kilkanaście stopni w ścianach umieszczone były wizjery, dzięki czemu każdy, kto miał ochotę, mógł na żywo obejrzeć w nich bitwy i najważniejsze wydarzenia z militarnej historii Koom.

Z zadowoleniem przyglądałem się pracy moich podwładnych. Jeden z oddziałów powracał właśnie z porannych ćwiczeń w terenie. Żołnierze z gracją dosiadałi małych, lekkich i zwinnych wierzchowców. Była to gwardia cesarska: żołnierze ochraniający swego władcę i podróżujący z nim zawsze, kiedy tylko Cesarz postanawiał opuścić Yu-Lac.

Przechodząc między żołnierzami dotknąłem rekojesci miecza. Mężczyźni już dawno zaprzestali rozstrzygania sporów na tle swych pasji i namietności za pomocą żelaza; mój miecz był ładną zabawką, ale służył jedynie podkreśleniu mojej rangi w armii. Wojny prowadzono używając o wiele bardziej subtelnych środków, na przykład płynów, które zamrażały albo paliły przeciwnika. W laboratoriach przygotowywano tak śmiertelne środki, że przeciętny człowiek nawet nie potrafił sobie ich wyobrazić.

Zacząłem się zastanawiać, po co właściwie Oswiecony zwołał to zgromadzenie w Yu-Lac. Żadne z dzikich plemion, żyjących przy granicy, akurat się nie buntowało, pieć wielkich narodów żyło w spokoju i pokoju od wielu już lat. Powszechnie uważano, że z ich strony nie ma się czego obawiać. A jednak zaniepokoiłem się. Moja dłoń znowu odruchowo powędrowała ku rekojesci miecza. Świadomość, że jej dotykam, przyniosła mi ulgę.

Posłaniec z pałacu, młody oficer gwardii cesarskiej, cierpliwie czekał na moje przybycie.

-Cesarz życzy sobie ujrzeć Lorda Garana - wyrecytował jednym tchem, gdy się pojawiłem. - Lord Garan proszony jest o zjawienie się w Sali Dziewięciu Książąt o godzinie trzeciej.

-Zrozumiałem, pojawiać się punktualnie - odparłem. Prośba Cesarza była rozkazem i jeszcze nikt nigdy nie osmieleł się jej odmówić.

Poslaniec przykleknał przede mną i dotknął czołem podłogi, oddając mi w ten sposób honor.

O godzinie trzeciej? Miałem więc jeszcze sporo czasu.

Ująłem Anatana pod rękę i przeszliśmy do jadalni, przeznaczonej dla mieszkańców wieży. Zajęliśmy miejsca przy ławnym stole, ustawionym przy ścianie. Anatan dwukrotnie przycisnął małe guziki i odsłoniły się przed nami wnęki w ścianie. Natychmiast wysunęły się z nich talerze z naszym śniadaniem. Żywność była tu zawsze kaloryczna i estetycznie podana, jednak jak na mój gust dodawano do niej zbyt dużo sztucznych przypraw i barwników. Nigdy nie potrafiłem przywyknąć do tego zwyczaju wprowadzonego przez ludzi z wielkich miast, uważających się za awangardę postępu. Dlatego z przyjemnością jadłem proste posiłki serwowane w wojskowych obozach i w niewielkich prowincjonalnych obozach.

Mieszkańcy miast, korzystający bez umiaru ze wszystkich zdobyczy nauki ułatwiających życie, moim zdaniem stracili poczucie tego, co jest prawdziwą radością. Ich „...pałace przyjemności” prosi ludzie omijali szerokim łukiem. Być może wiele opowieści o tym, co się w nich dzieje, było przesadzonych, a jednak byłem przekonany, że gdyby tajna policja przyjrzała się im bliżej, dowiedzielibyśmy się wielu ciekawych rzeczy.

Jakby odczytując moje myśli, Anatan przerwał ciszę:

-W dzielnicy Sotan powstał nowy pałac rozkoszy.

-No i co? - zapytałem, wzruszając ramionami. - Zdasz się go już odwiedzić?

Potrząsnął przecząco głową, udając ogromny żal.

-To przybytek nie dla takich jak ja. Kiedy mijalem bramę, wszedł do niego Kanddon Stal, a przy drugich drzwiach widziałem ochroniarzy Lorda Palkuna.

-Zapewne nieźle się bawili - stwierdziłem. Anatan wymienił właśnie nazwiska dwóch najbogatszych i najbardziej wpływowych osób spośród nie należących do kasty Oswięconych.

-Też tak sądzę. - Wyszczepił się w szerokim uśmiechu. - Mam nadzieję, że jeśli Lord Garan zechce kiedyś odwiedzić ten pałac, zabierze mnie ze sobą.

-Czy pamiętasz, że kiedykolwiek przekroczył progi pałacu przyjemności? - zapytałem. Zaraz jednak dodałem: - Obiecuje ci, że jeśli kiedykolwiek tam się znajdzie, będziesz mi towarzyszył. - Powiedziałem to zartobliwym tonem, nie przypuszczając bowiem, że nadejdzie dzień, w którym będę musiał obietnice te spełnić.

-Umowa stoi, panie! - wykrzyknął Anatan. zadowolony.

Później wsiadłem do jednosilnikowego latacza, który miał przewieźć mnie ponad miastem i wylądować za kryształowymi murami pałacu Cesarza.

2. Lord Kepta z Koom

Było jeszcze wczesnie i niebo nad miastem nie było zatłoczone przez prywatne latacze z ludźmi, poruszających się bądź to w interesach, bądź to dla przyjemności. Wiedziałem, że im będzie później, tym ruch w powietrzu stanie się gęstszy. Poza jednym lataczem patrolowym nie napotkałem na swej drodze nikogo i po krótkim przelocie wylądowałem w miejscu przeznaczenia. Nie zdążyłem dookoła na wyznaczone stanowisko, gdy wylądował i wyprzedził mnie, już na ziemi, wysmukły, czarny dwuosobowy latacz. Jego kształty świadczyły, że jest w stanie rozwijać w powietrzu ogromną szybkość, znacznie większą niż zwykle pojazdy powietrzne. Przesunawszy się przed moim nosem zajął dokładnie to stanowisko, które przeznaczone było dla mnie.

Zdenerwowany zachowaniem pilota, który osmielił się ze mną zadrzeć, ustawiłem swoją maszynę obok błyszczącego czarnego latacza. Postanowiłem solidnie zbesztac pilota, jednak kiedy go zobaczyłem, natychmiast odstąpiłem od swojego zamiaru.

Z kabiny czarnego latacza, z szerokim uśmiechem na ustach, wyszedł bowiem sam Lord Kepta z Koom. Na głowie nie miał ani helmu, ani przysługującej mu korony i silny wiatr swobodnie rozwiewał jego czarne, łniące włosy. Ten sam wiatr powiewał polami jego długiego pomarańczowego płaszcza.

Przy boku Kepty kroczył dowódca jego floty powietrznej, podespany facet o nazwisku Japlan Toc, od wielu już lat mający jak najgorszą reputację w środowisku lotników. Nie lubił mnie i ceniłem go za to, że przynajmniej nie udaje i nie odgrywa roli

mojego przyjaciela.

-Och. nasz szanowny Lord Garan! - Kepta powital mnie tymczasem z fałszywą wylewnością. - Niech mi wolno będzie pogratulować zwycięzcy spod Tarnam jego wspaniałego wyczynu. Japlan doznał poważnego ataku zazdrości, kiedy dotarli do nas wieści o twoim sukcesie. Martwie się trochę o niego, bo nie jestem pewien, czy już całkowicie wydobrzył, Japlanie. czy już jesteś zupełnie zdrow? - zwrócił się do swojego oficera.

-Och. tak - mruknął zapytany, jednak wyraz jego twarzy świadczył niezbicie, że nie jest to odpowiedź szczerą. Moje wojskowe przygotowanie nie zawierało ani elementów retoryki, ani walki na słowa. Nie nauczyłem się także rozmawiać słodkim głosem z człowiekiem, którego z głębi serca nienawidziłem. Dlatego też odezwałem się do Kepty jedynie na tyle uprzejmie, na ile odezwać się nakazywało dobre wychowanie.

-Jestes zbyt łaskaw dla mnie. Lordzie - powiedziałem. - Jednak zapamiętam twe słowa. Słowa pochwały z ust Lorda Kepty to zawsze cenna nagroda.

Jego powieki uniosły się odrobine wyżej, a na ustach pojawił się szeroki uśmiech.

-Widzę, że jesteś nie tylko dobrym żołnierzem, ale też miłym rozmowcą. Lordzie Garan - stwierdził. - Nie marnowałeś czasu, spędzonego na dworze, Masz już prawdziwie dworskie maniere, gratuluje.

Człowiek z mojej kasty poczułby już za to szyderstwo moja piesc na swojej szczecie. Z uwagi na pozycję Kepty musiałem jednak zdusić w sobie wściekłość. Dobrze o tym wiedział. Nigdy wszakże do tej pory nie osmielił się drwić ze mnie tak otwarcie. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego wybrał sobie na te drwiny właśnie dzisiejszy dzień.

Mimo że napięły się we mnie wszystkie mięśnie, z trudem zapanowałem jakos nad sobą. Któregoś dnia jednak, niech bog On będzie moim świadkiem, zrewanżuje się Keptcie za wszystkie jego zniewagi!

-Dziękuję ci. Lordzie - odparłem chłodnym, ledwie formalnie poprawnym tonem.

Kepta zebrał rozwiane płaszcza i obrócił się na piecie w kierunku Jalana. Odczekałem jeszcze chwilę, pozwalając, aby obaj przodem ruszyli do palacu, a potem udałem się za nimi.

Zanim to uczyniłem, z zainteresowaniem obejrzałem jeszcze latacz należący do Kepty. Latające maszyny były moim życiem, nic więc dziwnego, że każdy nowy model wzbudzał moją ciekawość. Mimo że nie odwazyłem się zbyt otwarcie i zbyt długo okazywać zainteresowania, bez trudu odgadłem, iż nie spotykane dotąd kształty pojazdu, a szczególnie zewnętrzny wygląd silników, są efektem nowych rozwiązań konstrukcyjnych, zupełnie innych niż te, które spotykano dotąd w najnowocześniejszych nawet maszynach.

Najwyraźniej konstruktorzy z dalekiego Koom wynaleźli jakąś nową, nie znaną jeszcze w Yu-Lac formę napędu, czego efektem są silniki o wiele mniejsze i pozwalające lataczom rozwijać znacznie większą prędkość niż do tej pory. Niechętnie odszedłem od latacza, zdawałem sobie jednak sprawę, że Kepta gotów jest oskarżyć mnie o jakies nieczne zamiary, jeżeli pozostane przy nim zbyt długo. Oddalając się od niego postanowiłem jednak w duchu, że za wszelką cenę zbadam jego sekret. Nie miałem pojęcia, kiedy jego właściciel odleci z Yu-Lac. ale przyjąłem, że czasu nie mam zbyt dużo.

Wkrótce wstąpiłem na szeroki stopień i w tym samym momencie znalazłem się na zielono-bursztynowej posadzce pasażu, prowadzącego do Sali Dziewięciu Książąt. Wysokie miedziane kolumny podtrzymywały dach, po bokach jednak pasaż był otwarty i między kolumnami w najlepsze hulał wiatr. Po niedługiej wędrowce ujrzałem z lewej strony schody z zielonego kamienia, prowadzące do pierwszego spośród cudownych ogrodów, które czyniły rozległą cytadelę miejscem tak pięknym, jakby pochodziło z jakiejś fantastycznej bajki.

Dookoła nie widziałem żywej duszy, poza samotnymi strażnikami. Niczym nie uzasadniona nadzieja kazała mi spodziewać się, że w każdej chwili mogę ujrzeć Thrale. spacerującą po ogrodowych alejkach albo przepływającą w małej łódce po jednym z licznych kanałów o kryształowo czystej wodzie. Niestety, dookoła było pusto i nie zanosilo się na to, że moja nadzieja się spełni.

Kiedy znalazłem się w Sali Dziewięciu Książąt, znajdowało się tam już mnóstwo ludzi. Sala ta była jedną z mniejszych izb pałacowych, służących do zgromadzeń i audiencji. Przez jej środek biegł długi, masywny stół, wykonany z jednej kłody drewna; stół ten był wielkim osiągnięciem uczonych z laboratoriów cesarskich. Gdy stolarze wykroili jego kształt, drewno hartowano tak długo, dopóki nie stało się twarde niczym najstarsze skały z Morza Imurianskiego. Dokładnie w połowie długości stołu, umieszczone tak, że spoczywająca na nim osoba mogła przez cały czas obserwować wejście do sali, znajdowało się krzesło z identycznie hartowanego drewna. Po obu stronach krzesła ustawiono ławy bez oparc.

Dzięki swej pozycji byłem dobrze znany Cesarzowi i członkom jego wszechpotężnej rady. Większa jej część stanowili

sprawiedliwi chociaż surowi mężczyźni, wymagający od wszystkich obywateli, znajdujących się pod ich władzą, poświęcenia i lojalności wobec państwa. Przekonani, że ja właśnie reprezentuję takie cechy, darzyli mnie bezgranicznym niemal zaufaniem, z rzadka tylko zadając raportów i szczegółowych informacji na jakiś temat. Również w przeszłości, zanim jeszcze objąłem swe eksponowane stanowisko, cieszyłem się ciepłą życzliwością tych ludzi, chociaż pozycja w państwie nie pozwalała im na zbyt wylewne jej okazywanie.

Znalazszy się w Sali Dziewięciu Książąt prawie natychmiast wyczułem, że ich postawa wobec mnie jest zupełnie inną niż do tej pory. Długie lata służby w armii wyrobiły we mnie szorstki zmysł, ostrzegający o niebezpieczeństwie: zmysł właściwy ludziom, którzy funkcjonują w niemal nieustannym zagrożeniu. Odruchowo spałem się w sobie, a wzdłuż kregosłupa przebiegł mi zimny, nieprzyjemny dreszcz.

Zdałem sobie sprawę, że sytuacja jest poważna, nie miałem natomiast pojęcia, co jest przyczyną wrogości, którą demonstrowali wobec mnie zgromadzeni notabli. Niewatpliwie wydarzyło się coś dla mnie niekorzystnego, coś, o czym nie miałem jeszcze pojęcia. Moja dłoń, podobnie jak dzisiejszego poranka, odruchowo dotknęła rekojesci miecza. Zrozumiałem, że znajduje się w poważnych tarapatach.

-Marszałek Floty Powietrznej pozdrawia Lorda nad wszystkimi Lordami. Władce Powietrza i Pieciu Morz. ukochanego przez boga On... - rozpocząłem formułkę powitania.

-Dosyc! - Cesarz przerwał mi gwałtownie. - Usiądź, Lordzie Garanie. O, tam - wskazał mi drewniany taboret, ustawiony w odległości sześciu kroków od miejsca, w którym się zatrzymałem. Wykonałem polecenie i nagle stwierdziłem, iż w gardle mam tak sucho, że tylko z trudem jestem w stanie poruszać językiem. Bałem się!

-Zawiadujesz systemem tajnych informacji, prawda? - zapytał.

-Tak, o Wielki. Jest to częścią moich obowiązków.

-A czy to także należy do twoich obowiązków? - Stojącemu za nim oficerowi wręczył dwie metalowe tablice. Mężczyzna obszedł długi stół i zatrzymał się przede mną, wyciągając przed siebie otrzymane przed chwilą tablice, tak bym mógł się im dobrze przyjrzeć.

Na gładkiej powierzchni wyryte były rysunki i formuły kompletnie dla mnie obce. Zaskoczony, skierowałem spojrzenie na zimną maskę, jaką była teraz twarz Cesarza.

-Po raz pierwszy to widzę, Panie. I nie rozumiem znaczenia tego, co znajduje się na tych tablicach.

-Znaleziono je pomiędzy dokumentami twojego biura wywiadowczego - powiedział Cesarz.

-Powtarzam, Panie, widzę to po raz pierwszy w życiu - stwierdziłem stanowczo.

W tym momencie zareagował na moje słowa Malkus Throt, wysoki, koscisty mężczyzna, całkowicie wyczerpany z wszelkich ludzkich uczuć. Ta karykatura człowieka rozesmiała się złowieszczo na cały głos; niewatpliwie zamierzał mnie przestraszyć.

-Czyżbyście oto stawiali Marszałka Floty przed sądem za niewywiązywanie się z obowiązków, o Wielki? Błagam was, wyjaśnijcie dokładnie, o co oskarżacie swego sługę?

Słyszac moje słowa Cesarz zmarszczył czoło.

-Złożono skargę przeciwko tobie. Uczynili to ludzie z Koom...

Koom! Sam dźwięk tego słowa sprawił, że wszystko we mnie zapłonelo. A więc miałem rację, przypuszczając, że nieoczekiwane przybycie Kepty nie jest przypadkowe!

-Inwigilowano prywatne życie Lorda Kepty...

Zamarłem. Jeżeli o to chodziło, nie miałem czystego sumienia. Już od dawna starałem się dotrzeć do najrozmaitszych tajemnic Kepty. Tak, tego przestępstwa byłem winien.

-A teraz, tak jak to Lord Kepta przewidział i nam podpowiedział, znaleziono to - ruchem reki Cesarz wskazał na tablice - wśród twoich dokumentów. - Jego twarz wykrzywiła się w grymasie niechęci.

-O Wielki, o, Lordowie, mogę jedynie powtórzyć, że tablice, które mi pokazujecie, widzę po raz pierwszy w życiu. Nie

mam pojęcia, w jaki sposób znalazły się między dokumentami biura wywiadowczego Floty. Obiecuje jednak - zakończyłem drzącym głosem - że nie spoczne, dopóki nie wyjaśnię tej dziwnej zagadki.

Malkus znów zarzał złowieszczo. Jego śmiech odbił się echem wśród kamiennych ścian.

-Oto obraz urażonej cnoty - wysyczał przez zęby. Spojrzałem mu prosto w oczy.

-Czyżbys drwił ze mnie, Panie? - zapytałem. Wzruszył ramionami, lecz zamilkł. Powstałem. Gwałtownym ruchem zerwałem z siebie pas z mieczem.

-Skoro, o Wielki, wygląda na to, iż nie jestem już godzien twego zaufania, zwracam na twoje ręce symbol mojego urzędu. Jestem jedynie prostym żołnierzem i takim do końca życia pozostanę. Mało wiem o polityce, jednak jest dla mnie jasne, że z nieznanego mi przyczyny jestem potrzebny komus jako kozioł ofiarny. Jeżeli w tej roli będę w stanie przyczynić się do pomysłności mojego kraju, jestem gotów ją odegrać.

-Panowie, tylko niewielu mężów w Yu-Lac potrafiloby w dzisiejszych czasach tak szlachetnie się zachować. - Przez Sale przetoczył się czyjs dzwiczny, stanowczy głos. Odwróciłem się.

W drzwiach stał mężczyzna w moim wieku. Jego ubiór nie pozostawiał wątpliwości, że jest członkiem kasty Oswięconych. A jednak nawet wśród Wielkich znalazłem zaledwie trzy osoby, których głos i postawa emanowały podobnym spokojem i pewnością siebie. Była to Thrala, sam Cesarz i... Kepta. Nie potrafiłem więc odgadnąć, kim jest nowo przybyły, jednak instynkt podpowiedział mi, że jest on osobą cieszącą się wśród zgromadzonych szacunkiem i poważaniem.

-Pozdrawiam cię, Thranie. - Cesarz wstał.

-I ja cię pozdrawiam, Panie. Witam was wszystkich, szlachetni zgromadzeni.

Swobodnym krokiem przybysz przeszedł przez komnatę i stanął obok mnie.

-A teraz powiedzcie mi, co się tutaj dzieje? Dlaczego ten szlachetny żołnierz chce wam oddać swój miecz? Jakież to ciężkie zarzut postawiono Garanowi z Yu-Lac?

-Przed chwilą - powiedziałem gorzko - zadałem to samo pytanie. Lordzie.

Na krótki moment jego spojrzenie spotkało się z moim i poczułem, jak przez moje ciało przepływa łagodna fala ciepła.

-Obserwowałem cię. Lordzie Garanie. Znam cię i pragnę z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, tutaj, wobec rady i samego Cesarza, że nie znam w Yu-Lac żadnego mężczyzny, któremu byłbym skłonny zaufać bardziej niż tobie. Mówię to ja. Thran Gorl.

Cesarz uśmiechnął się, a jego oblicze złagodniało.

-Zatrzymaj swój miecz. Lordzie. Nie udowodnilismy ci, ze zle wykonujesz swe obowiazki. Jednak dla wlasnego dobra wyjasnij te sprawe.

Zupelnie zaskoczony tym wszystkim, co sie wydarzylo, zapialem pas z mieczem i padlem na kolana, aby poklonic sie przed rada.

-Czy pozwalasz mi odejsc, o Wielki? - zapytalem.

Cesarz skinal glowa. Odwrocilem sie i ruszylem do wyjscia, lecz przez caly czas. gdy szedlem do drzwi, czulem na swoich plecach spojrzene Thrana. Gdy wreszcie wyszedlem z Sali, odetchnałem z ulga. Toczyła się tutaj jakaś gra. której absolutnie nie rozumiałem. Nie miałem jednak najmniejszej wątpliwości, że jestem elementem tej gry.

Wciąż zastanawiając się nad znaczeniem sceny, która rozegrała się w Sali Dziewięciu Książąt, skrecilem do ogrodow, zamiast udac sie prosto do mojego latacza.

Zdawalem sobie sprawe, ze powinienem natychmiast znalezc osobe lub osoby odpowiedzialne za to, ze wsrod moich dokumentow znalazly sie rowniez dokumenty z Koom. Musze natychmiast wprawic w ruch moja tajna maszynerie obserwacji i dedukcji.

A jednak przekonany bylem, ze niesprawiedliwe oskarzenie wywolane bylo dzialaniem kogos, kto chcial zdyskredytowac mnie w oczach rady, pozbawic mnie mojej pozycji.

Moglo to oznaczac tylko jedno: bylem w niebezpieczenstwie. Czy ktorys z rosnacych w potege ministrow, czy tez Kepta z Koom, na mysl o którym gotowala mi sie krew w zytach, zgotowali mi te niespodzianke? W ciagu minionego roku nakazywalem obserwacje i ministrow, i Kepty. chcąc dotrzec do sedna czegos, co - bylem o tym przekonany - wszyscy oni starannie ukrywali.

Gdzies w Krand znajdowalo sie centrum niepokoju, ktore bylo odpowiedzialne za kazda probe rewolty, za wszystkie najciezsze przestepstwa, nawet za nie wyjasnione dotad wypadki powietrzne. Co do istnienia takiego osrodka nie mialem watpliwosci. Potrzebowalem jednak dowodow pewniejszych niz moja niezachwiana wiara w to. ze mam racje.

Zastanawialem sie, dlaczego Thran Gorl. ktorego w dniu dzisiejszym po raz pierwszy ujrzałem na oczy. pospieszył mi z pomocą akurat w chwili, gdy była mi ona tak bardzo potrzebna. Do tej pory zdawalo mi sie. ze znam wszystkich lordow z kasty Oswieconych, jednak Thrana spotkalem w Sali Dziewięciu Książąt po raz pierwszy. A przeciez osoba o takiej charyzmie i uprawnieniach powinna być szeroko znana. Gorl, wyspa, na której najwidoczniej mieszkal Thran. była skalistym fragmentem stałej ziemi, daleko na polnocy. Nie miała żadnego znaczenia strategicznego, a zamieszkiwali ją prawie wylacznie rybacy. Kim wiec był Thran Gorl?

Zatopiony w takich myslach zaszedlem w glab ogrodu dalej, niz mialem zamiar.

Niespodziewanie moim oczom ukazał się duży, starannie utrzymany trawnik, a na nim grupa kobiet, przyglądających się zabawnym igraszkom tych pociesznych, małych stworzeń, które nazywały się Ana. Chciałem natychmiast się wycofać, jednak któraś z kobiet dostrzegła mnie i zawołała:

-Och. Lordzie, zechciej nam pomóc! Jeden z Ana zniknął w gestwinie i nie chce do nas powrócić. Wydobądź go stamtąd, gdyż bez pomocy ludzi zginie z głodu, biedne stworzenie!

Kobieta, która mnie zawołała, była Analia, młodsza siostra Anatana. Tak jak i brat wychowana w szanowanej rodzinie znanego żołnierza. Usłyszawszy jej prośbę nie wahalem się długo: zrzuciłem płaszcz oraz hełm i bez namysłu zagłębiłem się w gestwinie.

Odnalazłem Ana bez problemu i wkrótce z triumfem wynurzyłem się z krzaków. Miałem potargane włosy i kilka drobnych zadrapań na ramieniu. Analia była rozradowana, a ujrawszy moje skaleczenia, natychmiast pociągnęła mnie w stronę fontanny, postanawiając, że je przemyje. Na moje niesmiałe protesty nie zwracała uwagi.

W towarzystwie tych wesołych kobiet zapomniałem o swoich problemach. Tak naprawdę to nie miałem w życiu dzieciństwa ani beztroskiej młodości, od samego początku wypełniały je duże i małe zmartwienia. Prawie że nie znalazłem chwili spokoju i radości. Dopiero teraz, w ciągu krótkiej godziny spędzonej w towarzystwie dam dworu, zrozumiałem, co to takiego wesoła młodość i zadowolenie. Godzina ta minęła bardzo szybko.

A jednak nie zauważyłem, że minęła. Oto bowiem wśród liści wysmukłych paproci ujrzałem kobietę, która od tak dawna była obiektem moich marzeń...

Thrala, Oswiecona Thrala, stała przed nami i uśmiechała się.

Moje serce zaczęło bić jak szalone, a ja zamarłem w bezruchu. Pragnąłem móc tak stać i patrzeć na nią bez końca, jednak natychmiast obstały ją damy dworu i na kilka chwil straciłem ją z pola widzenia. Jednak za moment znowu ją ujrzałem. Niespodziewanie postąpiła kilka kroków w moim kierunku.

3. Pałac przyjemności w dzielnicy Sotan

-Pozdrawiam cię, Lordzie Garanie - powiedziała do mnie z uśmiechem. -Pozdrawiam cię, o Kwiecie Yu-Lac. - Ująłem dłoń, która ku mnie wyciągnęła, i przyłożyłem ją do moich ust i czoła.

-Zaniedbujesz nas, Lordzie. Czyżby obowiązki twojego urzędu były aż tak ogromne, że nie jesteś w stanie znaleźć czasu, by spędzić godzinę lub dwie w naszym towarzystwie?

Patrzyłem na nią z szeroko otwartymi ustami. Naprawdę, nawet w najgłębszych zakamarkach umysłu nie byłem w stanie znaleźć odpowiedzi na ten wysunięty zartobliwym tonem zarzut.

-Jestem zawsze do twoich usług, corko Cesarza - wykrztusiłem wreszcie.

-Ciesz się - odrzekła. - Poprowadź mnie więc do Blekitnego Stawu, moją Lordzie. Uraduj mnie twoje towarzystwo. Moje drogie - zwróciła się do swej swity - pozostanie tutaj.

Ruszyliśmy, tylko we dwoje, lecz to nie ja prowadziłem, ale Thralla. Zamiast do Blekitnego Stawu, udaliśmy się w gęściejsze partie ogrodu i wkrótce natrafiliśmy na starannie ukryta przed wzrokiem ciekawskich kamienną ławeczkę.

-Usiądź. Garanie. Mam ci wiele do powiedzenia i bardzo mało czasu. Najpierw jednak pozwól, niech ci się przyjrze. Ile to czasu minęło? Trzy lata. Prawda? Mogłabym nawet wymienić liczbę dni. Dlaczego nie urodziłeś się...? Ale dość tego. Unikaj mnie. Garanie.

-Tylko dlatego... - zaciąłem gwałtownie, ale jej dłoń powędrowała do moich ust, nakazując im. aby milczały.

-Dostę, Garanie, dość! Musimy porozmawiać o czymś innym. Zdaje się, że ostatnio zbyt łatwo ryzykujesz życiem, zadajesz natarczywe pytania niewłaściwym ludziom. Czego się dowiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami:

-Prawie niczego. Na końcu każdej ścieżki, która podążam, ustawiona jest czarna, nieprzenikniona bariera.

Pokiwała głową.

-Och. oni są sprytni, bardzo sprytni. Musisz uważać na siebie, Garanie. Kroczysz po żardzewiałym mostku; most w każdej chwili może się załamać i runiesz w otchłań. Od dzisiaj jednak nie jesteś sam. Czy poznałeś już Thrana Gorla?

-Godziny temu ujrzałem go po raz pierwszy w życiu.

-Thran, tak jak ty. ma uszy i oczy szeroko otwarte i często spostrzega rzeczy, które nie są przeznaczone dla niego. Dwukrotnie jego ścieżki skrzyżowały się z twoimi i dzięki temu zrozumiał, że nie jest jedynym, który obawia się przyszłości. Bo powinieneś zdawać sobie sprawę, Garanie. że nikt z nas nie jest dzieckiem, poszukującym rozrywki. Probujemy przygotować się na nadciągającą burzę...

-A więc wiecie, co się wokół nas dzieje? - zapytałem pośpiesznie.

-Jeszcze dokładnie nie. W ubiegłym tygodniu otwarto w dzielnicy Sotan nowy pałac przyjemności.

Zmarszczyłem czoło, zdziwiony tą nagłą zmianą tematu.

-Nie rozumiem.

-Dobrze byloby, gdybys odwiedzil ten palac. Garanie.

-Ale... - chcialem gwałtownie zaprotestowac.

-Och, powszechnie wiadomo, ze nie bywasz w takich przybytkach, ale daj mi sie namowic. Idz tam dzisiejszego wieczoru. Wiecej ci nie moge powiedziec - Tylko... badz bardzo ostrozny. Garanie. A teraz idz juz, zniknij. zanim te kobiety zaczną mnie szukac. Trzy lata, Garanie...

Poslusznie odszedlem. Nie osmielilem sie spojrzec za siebie.

Zdezorientowany wydarzeniami ostatniej godziny, z trudem odnalazlem droge do mojego latacza. Czarna maszyna z Koom wciaz stala obok niego, tym razem jednak poswiecilem jej zaledwie krotkie spojrzenie. Moje mysli wciaz wracaly do Thrali i do jej ostatnich slow: trzy lata...

Jeszcze sie calkiem nie opanowalem, gdy moj latacz ladowal niedaleko wiezy obronnej. Kolujac, ujrzałem chłopieca sylwetke Anatana, biegnacego co sil w moim kierunku. I nagle przypomnialem sobie obietnice, ktora dalem mu tego ranka. To. co jeszcze przed kilkoma godzinami wydawalo sie niemozliwe, stalo sie rzeczywistoscia.

-Przybyl Zacat z Ru, moj Panie - wykrzyknal Anatan, znalazlszy sie przy mnie. - Czeka w pokoju przyjec.

-Zaprowadz go natychmiast do mojego osobistego apartamentu - polecilem.

Ru byla kolonia Yu-Lac, wysunieta najbardziej na polnoc w lancuchu odleglych terytoriow. Przez trzy miesiace w roku szalaly tam wichury o nieprawdopodobnej wprost sile. Jednak skaliste gory, pokrywajace niemal cala powierzchnie Ru. pelne byly cennych mineralow, dlatego trzymalismy kolonie w zelaznym uscisku. Na jej bezkresnych dzikich obszarach wybudowalismy wiele ufortyfikowanych posterunkow wojskowych.

Zacat byl oficerem starej szkoly i swoja wladze nad kolonia i jej mieszkancami sprawowal zelazna, lecz sprawiedliwa reka. Ufalem mu bardziej niz ktoremukolwiek z pozostalych podleglych mi oficerow. Skoro przybyl do Yu-Lac bez zapowiedzi, z pewnoscia musial miec ku temu wazny powod. Gdy spieszylem do mieszkania, aby go powitac, na moim czole pojawily sie krople zimnego potu.

-Witaj, Panie. - Zac wyprezyl sie w postawie, w jakiej nalezalo oddawac honory przelozonemu.

-Witaj, Zac. Ciesze sie, ze cie widze. Co cie tu jednak sprowadza, tak niespodziewanie, z dalekiej polnocy?

-Kłopoty. Garanie - odparł. Przez chwile przyglądał mi się z uwaga, a potem z widoczną ulgą głęboko odetchnął. - Ciesze się, że widzę cię w dobrym zdrowiu. Widzę też, że nie stałeś się tutaj mieszcuchem. Nie ma u ciebie ani grama zbędnego tłuszczu, nie drży ci ręka. Wzrok masz pewny i stanowczy. A więc wciąż ten sam Garan, z którym w dawnych dobrych czasach zdobywaliśmy Ulal.

-I ty się nie zmieniłeś, stary żołnierzu. A ja... o niczym tak nie marzę, jak o otwartej walce. Cała ta polityka, która mnie otacza... Ale co się dzieje w Ru?

-Nic takiego, z czym nie dałbym sobie szybko rady, możesz być pewien - powiedział z naciskiem. - Jednak niepokoją mnie trochę nieustanne szeptki między żołnierzami, ich dziwne zachowanie, niepewność w postępowaniu, a także plotki, powtarzane na ucho, plotki zupełnie pozbawione podstaw, zupełnie bezsensowne. Nie potrafię wysledzić źródeł tego wszystkiego. Powiem ci szczerze, Garanie, jako dowódca jestem w Ru zupełnie osamotniony, znikąd nie mogę spodziewać się poparcia.

-Czy potrzebujesz pomocy? - zapytałem. Potrząsnął przecząco głową:

-Przecież mnie znasz, prawda? Czy kiedykolwiek przybiegałem z płaczem do przełożonych? Nie, nie potrzebuję pomocy w jej materialnym sensie. Jednak czasami dwie głowy potrafią przemysleć problem o wiele lepiej niż jedna. Pragnę szczerze porozmawiać z jedynym człowiekiem w Cesarstwie, któremu ufam. Mam kłopoty w Ru i nie potrafię zlokalizować ich źródła. Po raz pierwszy...

-Nie ty jeden cierpisz - przerwałem mu.

-Co masz na myśli?

-Oprócz ciebie podobne problemy ma Anatan z Hol i jeszcze ktos... - pomyślałem o mojej rozmowie w ogrodzie. - Ja też zaczynam odczuwać pustkę wokół siebie. Dzisiejszego ranka Cesarz zakwestionował moją lojalność.

-Co? - zawołał Zacat z niedowierzaniem

-Tak. to prawda. A wszystko przez to, że tak jak ty, staram się dotrzeć do źródła intryg, które coraz gęstsza sieć oplatają Krand. Ja też odnoszę wrażenie, że walczę z cieniami, Zacacie.

-A więc... - Zacat opadł na fotel - tak się sprawy mają. Wygląda na to, że znowu będziemy mieli swój Ulal, ale teraz musimy walczyć głowami, a nie piściami. Porozmawiajmy więc spokojnie i wymienimy informacje o tych dziwnych sprawach, które dostrzegliśmy od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

-Powiedz mi najpierw o Ru - poprosiłem. Zmarszczył czoło.

-Trudno ująć w słowa uczucia, które ogarniają mnie, kiedy krąże od posterunku do posterunku. Na pozór wszystko jest w porządku. Kraj jest spokojny, nie ma żadnych wąsni między ludźmi ani klęsk żywiołowych. A jednak mam wrażenie, że przez cały czas chodzę po moście, którego filary nadpilowano. Przesładuje mnie myśl, że rozwiązanie zagadki leży w zasięgu mojej ręki i już dawno bym je odszukał, gdybym był dość sprytny.

-W zeszłym miesiącu - ciągnął - wydobycie w kopalniach Sapit było o dziesięć procent niższe, niż powinno być. Inżynierowie pospieszili do mnie z wyjaśnieniami tego stanu rzeczy, jednak ich słowa były dla mnie zbyt fachowe i skomplikowane. Nawet nie byłem w stanie zadawać im pytań. W ciągu ostatnich trzech miesięcy odnotowaliśmy kilkaset samobójstw. Nowi rekruci są w fatalnej kondycji, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Gwałtownie pogarsza się morale armii. Niedaleko Centralnego Fortu znaleźliśmy zwłoki trzech żołnierzy i do dziś nie jesteśmy w stanie dociec, co było przyczyną ich śmierci. Na niebie pojawiają się błyski niewiadomego pochodzenia. Ludzie gorzej zaczęli praktykować zupełnie nowe, nieznane nam dotąd obrzędy, pojawiła się nowa religia. Jest jeszcze wiele innych drobnych, lecz tajemniczych zagadek, które zestawione razem sprawiają, że ciarki mi przechodzą po krzyżu.

-Czy masz jakieś podejrzenia?

Wzruszył ramionami i odpowiedział ostrożnie:

-Pewien mężczyzna z Koom odbył podróż przez góry.

-Koom! Zawsze Koom! - Ze złością uderzyłem pięścią w poręcz fotela.

-Tak, zawsze Koom - powtórzył za mną Zacat jak echo. - A ty co zaobserwowałeś nadzwyczajnego?

-Bunt głodowy w prowincji Kut. spowodowany niespodziewanie słabymi zbiorami. Dziwna sprawa: deszczu padało dość, ziemia w Kut jest najlepsza w całym Cesarstwie, a jednak tego roku pola jakby się zbuntowały. Oświeceni nie potrafią tego wyjaśnić, przynajmniej mnie. Poza tym pojawiło się nowe wyznanie, kult Wedrującej Gwiazdy czy jakiś podobny nonsens. Musiałem ukarać czterech żołnierzy za uczestnictwo w jego obrzędach, a potem stłumić w zarodku bunt ich kolegów, którzy uważali to za niesprawiedliwe. Ktoś przemyca alkohol do baraków. Niedawno nakryłem też żołnierzy wdychających dym powstający przy spalaniu jakichś nieznanych mi liści. Wiesz, do jakich to wszystko prowadzi konkluzji? - Gdy Zacat pokiwał głową, ciągnąłem dalej: - Tak jak i ty, bacznie przyglądam się Koom. W ciągu ostatnich miesięcy przedsięwzięłem pewne kroki, które utrzymuje w najgłębszym sekrecie.

-A ich rezultaty? - zapytał Zacat niecierpliwie

-Są żadne, absolutnie żadne. A przecież nasi ludzie nie są kompletnymi głupcami.

-Moze graja na dwa fronty? - rzucil przypuszczenie.

-Byc moze. Ale co moge robic? Nie dalej jak przed godzina sam Cesarz udzielil mi ostrzezenia. Znalaziono tajne dokumenty z Koom wsrod moich notatek. Cesarz rozkazal mi. abym doprowadzil do niego czlowieka, ktory je tam podlozyl, albo zebym przyjal wine na siebie.

Wyjasnilem Zacatowi, co wydarzylo sie w Sali Dziewieciu Ksiazat.

-Co wiesz o tym Thranie? - zapytalem go na zakonczenie.

Potrzasnal glowa:

-Nic. Gori, ktorym wlada Thran, nie ma zadnego znaczenia strategicznego, to zaledwie kilka osad rybackich na wyspach wysunietych daleko w morze. Oswiecenie rzadko tam zagladaja. Wladca Gori interesuje sie jednak twoimi sprawami nie bez przyczyny. Zapamietam go sobie. Poza tym co robi tutaj Kepta? Zwykle przybywal do Yu-Lac bez entuzjazmu.

-Kiedy wracasz do Ru? - zapytalem Zacata nagle.

-Jutro, wczesnie rano - odparl. W jego glosie brzmialo zdziwienie. - Dlaczego pytasz?

Uśmiechnalem sie:

-A wiec dzis wieczorem bedziesz mogl zabawic sie jak kazdy zolnierz na przepustce.

-Nie rozumiem...

-Po prostu razem odwiedzimy nowo powstaly palac przyjemnosci, w dzielnicy Soltan.

Popatrzyll na mnie z pewnym niesmakiem.

-Nigdy nie przypuszczalem, ze Garan. Marszalek Floty Powietrznej, zechce skladac wizyty w takich miejscach... - zaczal, jednak przerwalem mu:

-Mamy tam do spelnienia wazna misje. Mam powody, aby przypuszczac, ze bystry obserwator bedzie w stanie zauwazyc tam cos bardzo interesujacego. Powinienes znac mnie na tyle. zeby nie watpic, iz mowie zupełnie powaznie, Zacacie. Czy pojedziesz tam ze mna?

-Chetnie. W koncu - pozwolil sobie na dowcip - nie mam nic przeciwko temu. zeby odwiedzic palac przyjemnosci na cudzy koszt.

-Doskonale, a wiec idziemy. A teraz czy zechcesz przeprowadzic razem ze mna popoludniowa inspekcje wojska?

-Jasne. Odpowiada mi to bardziej niz wizyty w stu palacach przyjemnosci.

Tak wiec z Anatanem i Zacatem. postepujacymi krok w krok za mna, dokonalem codziennego rutynowego przegladu. W jego trakcie zauwazylem rzeczy, ktore po wydarzeniach dzisiejszego ranka, musialy wzbudzic moje podejrzenia. Krotkie opoznienia w wykonywaniu najprostszych rozkazow, ospalosc, ktorej nie potrafil zaradzic nawet najostrzejszy ton moich rozkazow, widoczna niechec do mnie i nienawistne spojrzenia, ktore spostrzegalem nawet u najmlodszych zolnierzy, sklaniały mnie do wysuniecie oczywistego wniosku, ze stoje oto w obliczu niebezpieczenstwa, buntu, ktorego przyczyny nie jestem w stanie dociec.

Wiedzialem, ze Zacat rowniez zorientowal sie w sytuacji. Po skonczonym przegladzie zasiedlismy do kolacji w jadalni, jednak rozmowe zaczelismy dopiero po skonczeniu posilku.

-No i co o tym myslisz? - zapytalem go.

Potrzasnal glowa:

-Trudno jest panowac nad cieniami. Z tym. co zobaczylem tutaj, mam do czynienia na co dzien, w Ru. Jakiej rady moze ci udzielic, skoro nie potrafie zaradzic podobnym zjawiskom w mojej wlasnej prowincji? Przysiegam jednak na miecz boga On, ze bede trwal przy tobie do konca, niezaleznie od tego. z jakim niebezpieczenstwem mamy do czynienia. A teraz chodzmy do tego palacu przyjemnosci, o ktorym wspomniales: odnosze wrazenie, ze bardzo ci na tym zalezy.

Przeszlismy do mojej garderoby i wktrotce przebralismy sie w lekkie, swobodne stroje, ktore powinny byly ukryc nasza tozsamosc. Anatanowi polecilem, aby postapil podobnie jak my. Spelnil to polecenia z taka ochota, ze gdy ponownie pojawil sie pod moimi drzwiami, oddychal ciezko, byc moze byl to efekt pospiechu, a byc moze ekscytacji tym, co wktrotce mialo nastapic.

-Pamietaj - ostrzeglem go - ze, po pierwsze, udajemy sie tam sluzbowo, a po drugie, nikt nie powinien nas rozpoznać. Nie wolno ci odlaczyc sie od nas. a poza tym przez caly czas musisz trzymac jezyk za zebami.

-Twoje slowo jest dla mnie rozkazem, Lordzie. Ostatni raz przejrzałem sie w lustrze. Cos podpowiadalo mi, ze jesli bede zwlekal z wymarszem do palacu jeszcze choc godzine, opusci mnie odwaga i pozostane w domu.

-Chodzmy wiec - zarzadzilem.

Na ladowisku czekal juz na nas prosty latacz, bez jakichkolwiek oznaczen, ktore moglyby zdradzic, do kogo nalezy. Szybko wspielismy sie do kabiny. Anatan usiadl za sterami i sprawnie wystartowal. Wiedzial, ze powinniśmy wyladowac na publicznym ladowisku, polozonym niedaleko palacu.

Lot był bardzo krótki i po chwili Anatan posadził maszynę na betonie. Dyżurny ruchu wskazał nam miejsce postoju i przyjął opłatę postojową, którą wręczył mu Anatan. Zaczęli ją trzymać się z tyłu. Nie ściągaliśmy z głów hełmów, aby jak najdłużej zakrywać twarze.

Anatan wsunął pokwitowanie za szybę latacza i poszliśmy asfaltową aleją na ulicę. Tam, wciąż nie rozpoznani, pograzaliśmy się w tłumie. Yu-Lac zawsze ożywało po zapadnięciu zmroku. Życie stawało się wówczas głośniejsze i radosniejsze. Mieszkańcy pograzali się w złudnej beztrosce.

-Na prawo - prowadził nas Anatan. Dosłownie zaniemowilem, gdy ujrzałem z zewnątrz cel naszej wyprawy. Budynek pałacowy sprawiał wrażenie, jakby pochodził z pięknej bajki. Ściany, na których widniały płaskorzeźby zwierząt i kwiatów, miały kolor kremowego kryształu, przechodzącego w róż, tym głębszy, im bliżej było fundamentów.

Drzwi do tego przybytku były otwarte, jednak przed ciekawskimi, którzy chcieliby zaglądać do środka, strzegła wewnątrz palacu cienka, lśniaca kurtyna. Po dwunastu różowych stopniach, prowadzących do środka, snuli się strażnicy i lokaje, których przeróżne stroje świadczyły, że służą wielu panom, co najmniej dziesięciu najbogatszym i najzręczniejszym osobistościom z miasta. Reprezentowane były wszystkie kasty, z wyjątkiem wojskowych.

Drobna, ciemnoskóra niewolnica o roziskrzonych oczach dziewczyny z Teration wyszła na nasze spotkanie. Napotkawszy mój wzrok, leciutko uśmiechnęła się i powiedziała:

-A więc i ty zaszczybisz nas dzisiejszej nocy. Lordzie Garanie.

Prysłęła moja nadzieja, że swój pobyt tutaj zachowam w sekrecie.

-No cóż, kwiatuszku - odparłem. - Myślę, że i Marszałkowi Floty wolno czasami się dobrze zabawić.

Zareagowała dziwnym śmiechem. Po chwili powiedziała:

-Wasza przewodniczka czeka, Lordzie. Wejdźcie. Wraz z dwoma towarzyszami wszedłem do środka, wykorzystując wąski przeswit w kurtynie.

4. Ila i Lania

Kwadratowy hol, w którym się znaleźliśmy, tonął w łagodnym, złotym świetle. Czekająca już na nas przewodniczka, dziewczyna pochodząca z nadmorskiej krainy Północnego Aholu, obszaru wiecznie pokrytego grubym lodem. Jej zgrabne ciało okryte było jedwabną szatą koloru bursztynu. Czerwonozłote włosy podkreślały aksamitną biel jej twarzy. Gdy zbliżyliśmy się, padła przed nami na kolana i złożony przepisowy ukłon, powiedziała:

-Niech Lordowie zechcą udać się za mną. - Miała melodyjny, przyjemny dla ucha głos.

Zacat pociagnal mnie za reke.

-Czy nie sadzisz, ze oni sa dla nas zbyt uprzejmi? - zapytal. - Czuje sie. jakbysmy dobrowolnie wkladali glowy do paszczy lwa.

Uspokoilem go, dotknawszy jego ramienia. Ja tez jednak czulem sie w tym miejscu niezbyt pewnie. Ale gdy dziewczyna odsunela przed nami kolejna kurtyne, podazylem za nia juz bez wahania.

Pomieszczenie, w ktorym znalezlismy sie po chwili, podobne bylo do zlotego pucharu. Bylo owalne i mialo dwanascie wyjsc o lukowatym sklepieniu, identycznych z tym, przez ktore my dostalismy sie do srodka. Kazde z nich zasloniete bylo jaskrawa, kolorowa zasloną. Wszystkie sciany zbiegaly sie w jednym punkcie, wysoko nad naszymi glowami.

Na srodku tej sali znajdowaly sie szerokie schody, biegnace w dol, wylozone drogocennymi dywanami. Kiedy po nich zeszlismy ujrzelismy istoty, do ktorych wlasciwie tutaj przyszlismy, pieknosci tego palacu.

Zaiste, byly to przesliczne dziewczyny. Nigdy dotad nie przyszlo mi do glowy, ze po ziemi Krand chodza takie pieknosci. Wprost dech w piersiach zapierala egzotyczna uroda dziewczyny z Teriation, o brazowej skorze, albo biala jak snieg skora Aholianki o doskonalej figurze.

Uslyszalem, jak Anatan gleboko westchnal, a Zacat zaczal kaszlac z wrazenia.

-Czyzbysmy trafili do rajy? - zauwazyl sarkastycznie ten ostatni. - Teraz nie dziwie sie. ze do takich palacow nie wolno wchodzic nikomu o randze nizszej niz starszy oficer. Gdyby tu wpadlo kilku moich zolnierzy z Ru...

-Wprost nie wierze wlasnym oczom - przerwal mu Anatan. - Popatrzcie tylko panowie na te dziewczyny w czerni. Czy widzieliście kiedykolwiek kogos o tak cudownej urodzie?

Wskazal na dziewczyny z Lapid, prowincji, w ktorej ludzie zamieszkuja skalne groty. Miala dlugie, olsniewajaco biale wlosy, wlasciwe ludziom, ktorzy nigdy nie ogladaja slonca. Od szyi po stopy spowita byla w czarna szate, jednak jej dlugie biale ramiona byly nagie.

-Pozostaniecie z nami, moi Lordowie? A moze zamierzacie udac sie jeszcze glebiej? - zapytala miękko dziewczyna z Aholi.

-Pojdziemy glebiej - odparlem szybko, uprzedzajac Anatana.

Zeszlismy za nia po schodach do pomieszczenia, ktore posiadalo tym razem dwadziescia lukowatych wyjsc, oslonietych ciezкими kurtykami. Anatan pociagnal mnie za rekaw i szepnal:

-Popros ja. Panie, aby przedstawila ci pierwsza dame tego palacu. Tak zawsze postepuje sie przy pierwszej wizycie.

Nie zastanawiajac sie wiele, skad u Anatana wzela sie ta wiedza, postapilem w mysl jego instrukcji. Uslyszawszy me slowa Aholianka skinela szybko glowa i odsunela przed nami zloto-srebrna kotare. Idac z wizyta do pierwszej damy. natknelismy sie na wiele cudow. Pamietam jeden z przejsciowych pokojow, ktorego sciany wykonane byly z przejrzystych krysztalow. Za nimi w wielkich akwariach plywaly najprzeroczniejsze i najdziwniejsze stworzenia, pochodzace z dalekich morz. Ich niemal przezroczyte ciala i grozne szczeki lsnily w przytlumionym swietle. Inne pomieszczenia byly rownie piekne i rownie zaskakujace.

Wreszcie po dlugiej wedrowce weszliśmy do malego pokoiku o bialych scianach i bialej podlodze. Wypukly sufit byl tu pomalowany na czarno; na jego tle blyszczaly gwiazdy z krysztalu. Na szerokiej szkarlatnej sofie spoczywala osoba, ktora wladala tym zadziwiajacy przybytkiem.

Sadzac po jej stroju i jaskrawym makijazu, pochodziła z Arct. Była niezwykle chuda; pod jej srebrzysta suknia wyraźnie odcinaly sie nawet zebra. Zgodnie ze zwyczajem, panujacym w jej kraju, purpurowy makijaz podkreslal jej oczy, wargi pomalowane miala pomaranczowa szminka, a cala twarz pokrywal puder.

Miala wspaniale, bardzo drugie czarne wlosy. Gdy siedziala, opadaly az na poduszki kanapy, luzno, swobodnie; ich piekna nie zaklocaly zadne spinki, wstazki ani inne ozdoby.

A jednak kiedy znalazlem sie w tym pokoju, to nie pierwsza dama palacu przyjemnosci sprawila, ze zamarlem w bezruchu, z otwartymi ustami, bezgranicznie zdziwiony i zaskoczony. W oslupienie wprawil mnie mezczyzna, ktory siedzial na podlodze u jej stop. Byl to Thran Gorl. Trzymal w niepewnych dloniach dwa puchary z winem i jeden z nich, usmiechajac sie zlosliwie, wyciagnal w moim kierunku. Gdy nie zareagowalem na to. powstal.

-A wiec kolejni twoi przyjaciele, Ilo? - powiedzial. - Lecz coz, nie wolno mi chyba narzekac, ze nie tylko ja pragne twojego towarzystwa, prawda? Czy jednak moge pozostac jeszcze przez chwile, czy tez powinienem sobie stad pojsc?

Kobieta potrzasnela glowa i obdarzyla mnie i moich towarzyszy nieprzyjaznym spojrzeniem.

-Zostan, moj Lordzie. A jesli chodzi o was. moi Lordowie, witam was po raz pierwszy w tym palacu. Zechciejcie tylko szepnac do ucha Lanii wasze zyczenia, a natychmiast zostana one spelnione. - Ruchem glowy wskazala na Aholianke. chcac nam dac w ten sposob do zrozumienia, ze "audiencja" dobiegla konca.

Thran rozesmial sie szyderczo i odezwal sie. Pochylajac sie do mnie:

-Te progi sa zbyt wysokie dla ciebie, zolnierzu. Idz, poszukaj sobie innych komnat do

zabawy!

Cos lekko zaszelescilo przy sprzaczce zegarka, ktory nosilem na szyi. i wpadlo miedzy faldy mojej szarfy.

Udajac zmieszanego prostaka odwrocilem sie na piecie i wraz z moimi kompanami pozostawilem Ile i Thrana w samotnosci, ktorej tak bardzo pragneli.

Wyszedszy z komnaty dotknałem ramienia Anatana i wyszeptalem mu do ucha:

-Zajmij te Lanie na kilka chwil.

Poslal mi szybkie spojrzenie, a potem przyspieszyl kroku, aby zrownac sie z Aholianka. Pogmeralem przez chwile pod moja szarfa i wyciagnalem owalny, srebrny paciorek, mniej wiecej wielkosci mojego kciuka. Krotkie sprawdzenie promieni jednej z lamp, oswietlajacych korytarz, wskazalo, ze fale swietlne niosa ze soba drgania, uniemozliwiajace dzialanie wszelkich urzadzen podsluchowych. Bylem obeznany z takimi urzadzeniami, pozwalajacymi utrzymywac w sekrecie tresc poufnych wiadomosci. Jednym ruchem palca rozlupalem paciorek na pol i wydobylem z niego zwinieta karteczke. Przeczytalem:

"W pokoju Gripponow. Za godzine. Nie ufaj tutaj nikomu".

W milczeniu podalem karteczke Zacatowi. Przeczytal i usmiechnal sie:

-Wyglada, ze na cos natrafilismy, Garanie, Na co, okaze sie w pokoju Gripponow. A teraz musimy przez jakis czas odgrywac role zwyklych hulakow. Twój Anatan z pewnoscia nam w tym pomoze.

Musze powiedziec, ze poczulem sie troche niepewnie, kiedy ujrzalem ciemna czupryne Anatana tuż obok zlotowlosej glowy Aholianki. Bylo oczywiste, ze w ciagu tych kilku minut, ktore zdolalismy spedzic tu do tej pory. oboje przypadli sobie nawzajem do gustu i juz w najlepsze flirtuja. Nalezalo ostrzec chlopaka, zeby nie posuwal sie zbyt daleko.

Przyspieszylem kroku i podszedlem do nich. Niezbyt uprzejmie zlapalem Anatana za ramie i odezwalem sie gburowato do Aholianki:

-Wolnego, panienko. Zlozylismy kurtuazyjna wizyte twojej szefowej, teraz wiec zajmij sie cala nasza trojka. Zaprezentuj nam, co oferuje ten przybytek.

Anatan juz chcial protestowac, jednak kiedy ukradkiem podsunalem mu przed oczy notatke Thrana, natychmiast sie uspokoil, skinal glowa, dajac znak, ze zrozumial.

-Czego sobie zyczycie, moi Lordowie? - zapytala Lania poslusznie. - Czy napijecie sie wina? Mamy doskonale wina: biale z Ru, czerwone z purpurowych strumieni Hol, zlate z Koom i jeszcze wiele innych. Czy zechcecie obejrzec nasze tancerki? W jednej z komnat

złote dziewczęta z zakazanych świątyn Qur wykonują rytualne tańce ku czci starych bogów; nie zobaczycie już czegoś takiego w całym Yu-Lac. A może chcecie otrzymać partnerki na cały wieczór? Czy życzycie sobie dziewczyny z Teriatii, tak żywa jak wiatry, wiejące nieustannie w jej kraju? A może pragniecie Lapidianki o srebrnych włosach i cudownych ustach? A może potrzeba wam kobiety z Arct? Zapewniam, każda z nich potrafi spełnić wszelkie wasze marzenia.

-Chcemy popatrzeć na tancerki - wybrał szybko Zacat. Ucieszyłem się z tego, gdyż inna decyzja mogłaby sprawić, że mielibyśmy kłopoty z dotrzymaniem terminu, wyznaczonego przez Thrana.

Bez słowa Lania odwróciła się i wkrótce wprowadziła nas do korytarza, który po kilku krokach zaczął opadać stromo w dół. Idąc obok Zacata po raz pierwszy ujrzałem, jak po jego twarzy przemknął wyraz niepewności. Anatan był jakby zamysłony i szedł kilka kroków za nami. Pomyślałem, że po prostu obraził się na mnie za brutalne oderwanie go od dziewczyny. Dopiero potem zrozumiałem, że miał powody, aby z wahaniem przyjąć decyzję oglądania tancerek. Mimo, że Krand zjednoczone było w wierze w boga On, i stan taki trwał już od wieków, najbardziej prymitywne grupy narodowościowe naszego kraju, jak Qur czy Ru, wciąż oddawały hold dawnym bogom w tajnych świątyniach. Ja sam niewiele wiedziałem o tych sekretnych i zakazanych obrzędach; w gruncie rzeczy były one znane jedynie tym wąskim grupom ludzi, którzy je odprawiali. W Qur wciąż było ich najwięcej.

Cisze przerwał głos piszczałki, tak wysoki, że uszy ludzkie tylko z trudem zdolne były rozróżnić poszczególne dźwięki. Po dźwiękach piszczałki przyszła kolej na niski, pulsujący głos, dudniący tak, jakby powietrze, ciężkie waga minionych setek i tysięcy lat, pulsowało w takt jakiegoś nieludzkiego rytmu.

Zacat niespodziewanie zawahał się. Zmienił się rytm jego kroków, zaczął szurac stopami.

-Uważajcie, jesteśmy poddawani działaniu hipnotyzującego rytmu - mruknął. - Nie możemy temu ulec.

Nie przebrzmiały jeszcze słowa Zacata, gdy Anatan również zmienił krok. Niezgrabnie i ja zacząłem postępować tak jak oni. Biegnąc w dół rampa zdawała się wprowadzać nas w podziemia samej Krand. Ściany były gładkie, jakby lekko lśniące, bez żadnych załaman. Światła, umieszczone w otworach sufitu, w miarę jak postępowaliśmy naprzód, zmieniały barwę; od koloru ciepłego złota, poprzez lodowaty błękit aż do dziwnej szarej mgły. Piszczałki i miarowe dudnienie wciąż jednak docierały do naszych uszu z takim samym nateżeniem, próbując wymusić na nas równy, miarowy, identyczny u wszystkich krok. Wciąż udawało nam się tego uniknąć, gdyż co jakiś czas podskakiwaliśmy, szuralismy nogami, zmienialiśmy tempo pochodów. Tylko Lania szła bez wahania do przodu, nie obawiając się dźwięków, nie odwracając ku nam głowy.

Wreszcie znaleźliśmy się jakby w przedpokoju o szarych ścianach i szarej podłodze. Lania

zawolala cos niespodziewanie wysokim glosem i natychmiast czesc sciany rozsunela sie. odslanjajac ciemna wneke.

-Srodki ostroznosci, ktore musimy podejmowac - powiedziala, wskazujac w strone sekretnych drzwi. - Niektore z naszych zachwycajacych miejsc nie sa przeznaczone dla wszystkich oczu.

Po otwarciu drzwi dziwaczna muzyka zabrzmiala jeszcze glosniej. Jej dzwieki zdawaly sie tetnic wlasnym, niesamowitym zyciem. Aholianka weszla do wneki, a my wsunelismy sie za nia. Zacat, umiejacy zawsze przewidziec przebieg wydarzen, na wszelki wypadek wyciagnal z pochwy miecz, i gdy drzwi za nami zaczely sie zasuwac, wsunal go pomiedzy ich polowki, tak ze pozostaly nie domkniete.

Ogarnela nas czern, czern tak gesta, ze odnieslismy wrazenie, iz spadla na nas niczym nieprzenikniony welon. Wyciagnalem przed siebie dlon i po chwili zacisnalem palce na ramieniu Anatana. Zaraz tez uslyszalem ciezki oddech Zacata po mojej prawej stronie.

-Czekajcie i patrzcie, zolnierze. - W glosie Lanii zabrzmiala jakby drwina.

Dziwny rytm, niesamowita muzyka, stawaly sie coraz glosniejsze.

-Poruszajcie palcami i rekami tak, aby lamac ten rytm - wyszeptal Anatan. Poczulem, ze wysuwa swe ramie z mojej dloni. Poslusznie poddalem sie jego sugestii.

I wowczas z ciemnosci przed nami wybiegl promien swiatla, pojedynczy promien, zielony z odcieniem szarosci. Odnioslem wrazenie, ze jest on grozna emanacja czegos nikczemnego i od wiekow martwego. Gdy obserwowalismy go, zafascynowani, zaczely otaczac go skrzydlate sylwetki o zlotym kolorze: przeplywaly przenie, az wreszcie dotknely czarnej posadzki. Wykonana byla z kamiennych blokow, ktore najprawdopodobniej wykuto w kamieniolomach, w czasach, kiedy na Krand rzadzila Rasa Starszych, dlugo przedtem, zanim dotknela jej ludzka stopa.

Wielkie zlate skrzydla opadly i zniknely, jakby nie byly dluziej potrzebne ich wlascicielkom. W tej samej chwili pietnascie zlotych postaci rozpoczelo taniec. Dziki i piekny byl to taniec, pelen starodawnych, zlowieszczych symboli. Kazda poza uwodzicielskiego zaproszenia, kazdy mieniacz sie zlotem krok zdawaly sie miec na celu dotarcie do tych glebokich warstw umyslow obserwatorow, w ktorych czailo sie ciemne dziedzictwo dzikich i zlych przodkow.

Gdy to zrozumialem, natychmiast z calych sil zwalczac mysli i namietnosci, ktore przywoływaly tancerki. A jednak ujrzałem oczyma duszy spływające krwią ulice Ulal. gdy je plądrowaliśmy, gdy pijani alkoholem i zadza krwi niszczyliśmy miasto, które opierało się nam aż tak długo. Tego dnia byliśmy dzicy i...

W ciemności namacałem sylwetki obu moich towarzyszy.

-Chodźmy! Uciekajmy stąd! - zawolałem. Poczulem, że pod wpływem moich dloni jakby obudzili się z letargu. Nagle, jakby na czyjs rozkaz, wszyscy trzej równocześnie odwróciliśmy się i zaczęliśmy uciekać od tych złotych tancerek i tej sieci zła, która powoli nas już oplatała.

Wsunawszy dłonie w szparę w drzwiach, otworzyliśmy je. Zacat zabrał swój miecz. Po chwili byliśmy już na rampie. Wyteżyliśmy wzrok w szarej mgle; serca były nam jak szalone, jakbysmy uczestniczyli w wyścigu, odbierającym nam wszystkie siły. Byliśmy mniej więcej w połowie drogi, gdy dołączyła do nas bursztynowa sylwetka.

-Tancerki są silne, żołnierze - usłyszeliśmy Lanie. Jej głos znów z nas drwił. - Zdaje się, że zbyt silne dla was.

Podszedłem do niej i na polę szczerze, a na polę odgrywając swoją rolę. powiedziałem:

-Mamy dość waszych złowieszczych, diabelskich obrzędów. Pragniemy ludzkich przyjemności, a nie tych, które dają nocne demony.

-Twoje słowo jest dla mnie rozkazem, panie. Co powiedziałbyś na spokojną kolację w zacisznym pokoiku? Oczywiście w stosownym towarzystwie.

-To nam odpowiada! - zawołał Zacat, uprzedzając moją odpowiedź.

Nie wątpiłem, że Lania wie, w jaki sposób nas zadowolic. Wkrótce pewnym krokiem prowadziła nas przez labirynt kretych i krzyżujących się korytarzy. Minęło kilka minut, zanim dotarliśmy do małego, przytulnego pokoiku, utrzymanego w kolorze stalowego błękitu. Na suficie o kopulastym kształcie wymalowano tu cztery figury o ludzkich wymiarach. Były to szare, nieznane mi bestie, a z ich pysków zionął tajemniczy ogień.

Nie był konieczny niespodziewany uścisk Zacata na moim ramieniu, abym zorientował się, gdzie się znajdujemy. Staliśmy w pomieszczeniu, które Thran wyznaczył na miejsce naszego spotkania.

Pod jedną ze ścian ustawiona była niska otomana i Lania poprosiła, abysmy na niej usiedli. Sama, jak oznajmiła, zamierzała wyjść, aby wydać polecenia, dotyczące obsłużenia nas. Wychodząc spojrzała mi głęboko w oczy.

-Czy ten pokój cię zadowala. Lordzie? - zapytała.

-Może być - odparłem krótko.

Ku mojemu bezgranicznemu zdziwieniu rozesmiała się, odrzuciwszy głowę do tyłu. Dzięki temu ruchowi po raz pierwszy mogliśmy wyraźnie zobaczyć całą jej twarz, do tej pory szczelnie otoczona gestwiną splecionych włosów koloru miedzi. Anatan powstał na równe nogi i równie zdumiony jak ja, wydał okrzyk:

-Analia!

-Tak. bracie. - Znow sie rozesmiala. Podeszla do sciany po naszej prawej stronie i odgarnela zaslon, ktora dopiero w tej chwili zauwazyliśmy. Naszym oczom ukazal sie Thran. Byl powazny, przystojny: znow ten sam Thran. ktorego poznałem dzisiaj w Sali Dziewieciu Ksiazat.

Prowadzil za reke Ile, byla jednak zupełnie odmieniona, Z trudem mozna bylo rozpoznać w niej osobe, ktora widzielismy zaledwie przed godzina.

-Czy znasz mnie. Lordzie Garanie? - zapytala cicho.

Natychmiast padlem na kolana, wpatrujac sie z otwartymi ustami w jej piekna twarz. Byla to bowiem moja Lady Thrala, przebrana w jaskrawe szaty, jakie nosza kobiety z Aret. Popatrzyła z usmiechem na Thrana.

-Jestesmy lepszymi aktorami, niz sie spodziewalismy - powiedziala. - Tak, Garanie, nie jestem Ila, ktora widziales przed godzina. Ila i Lania sa teraz... coz, sa gdzie indziej. To my zajelysmy ich miejsca. Prawdziwa Ila wyglada nieco inaczej...

-Co nikogo nie dziwi - zauwazyl Thran zgryzliwie - gdyz jest podwladna Kepty. No, a teraz przystapmy do sprawy, ktora nas tu wszystkich sprowadzila. Czas plynie zadziwiajaco szybko, gdy na swiat splywa zagrozenie.

5. Porwanie Thrali

-Czy to jest madre prowadzic rozmowy w tym miejscu? - zapytal Zacat. - Sciany palacow przyjemnosci znane sa z tego. ze posiadaja wiecej niz jedna pare uszu.-Ale nie tutaj. Ten pokoj jest bezpieczny. Ila i Kepta dopilnowali tego. gdyz sluzycy on czasami ich celom - odpowiedzial Thran. - Co sie jednak stalo, ze Lord Ru jest az tak podejrzliwy?

-Nic, co daloby sie przedstawic w prostych slowach.

-Nic,.. co daloby sie przedstawic w prostych slowach... Coz, to samo mozna powiedziec o kazdym z nas. Lordzie Garanie, wiem ze twoje podejrzenia wykluwaja sie juz od dwoch lat. Nawet w odleglym Gorl unosi sie w powietrzu cos groznego, lecz nieokreslonego. Wszyscy to czujemy. a przeciez wszyscy nie mozemy sie mylic. - Zaczal mowic troche glosniej. - Otoz miejsce, w ktorym wlasnie sie znajdujemy, zadaje klam przypuszczeniom, ze zyjemy w spokojnym swiecie. Czy wiecie, kto stoi za Ila, ktora w tym przybytku rozkoszy gotowa jest dostarczac wszelkich przyjemnosci, jakich potrafi zapragnac ludzkie cialo? Kepta. Koomianin! Ten sam, ktory dzisiaj probowal skompromitowac cie przed rada, Lordzie Garanie, a zarazem pozbyc sie tego. ktory, w jego mniemaniu, zaczal podejrzewac zbyt wiele.

-Ta demonka nocy, Ila - ciagnal po chwili - jest wspolniczka Kepty, pomagajaca mu

realizowac jego niecne plany, a palac przyjemnosci jest pulapka, w ktora co rusz wpadaja ci. ktorzy Kepta sobie upatrzyl: Kanddon. Stal, Palkun i jeszcze wielu innych. Kim jednak jestesmy my, ktorzy jeszcze nie osleplismy, ktorzy wciaz jeszcze patrzmy wystarczajaco ostrym wzrokiem, aby unikac Kepty i jego poczynan? My. nieliczna garstka przeciwko calemu swiatu! Dwadziescia osob z mojej kasty. Lord Ru, ty i twoj mlody pomocnik. Na kogo jeszcze mozemy liczyc?

-Szczzerze mowiac, na nikogo, oprócz tych, ktorzy wymieniles. Cala armie przezera gangrena, ktorej zrodla nie potrafie wykryc. Moim zdaniem cale Yu-Lac zaczyna gnici, i nie mam pojecia, dlaczego.

-Jezeli slowo Yu-Lac zastapisz slowem Krand, bedziesz jeszcze blizej prawdy. Kepta dziala nadzwyczaj sprawnie. Dobrze, ze nie zna swojej prawdziwej mocy, bo gdyby mial o niej pojecie, juz by nas nie bylo. Powiem wprost: Kepta poszukuje tego, co wszyscy znamy pod nazwa Mrocznej Wiedzy. I odniosl juz w swych poszukiwaniach sporo sukcesow. Moce, ktore wyzwolil, moglyby juz teraz sprawic, ze Krand stalaby sie jego zabawka.

-My, Oswieceni, jestesmy temu winni - przerwala mu Thrala. - Zbyt dlugo pozwalalismy mu na swobodna dzialalnosc, zainteresowani jedynie soba. Gdybysmy w pore zapragneli zniszczyc Zewnetrzny Mrok, tak jak uczynilismy to juz kiedys, przed wielu laty. Zlo, ktore wywolal Kepta, nie ujawniloby sie. Czy Seeleen, zalozyciel naszej rasy, zezwolilby Kepcie na przezycie chociaz jednej godziny, gdyby dowiedzial sie o jego praktykach?

-Zapominasz - w glosie Thrana brzmial smutek - ze Seeleen stal na czele zjednoczonego narodu. A my komu wlasciwie teraz przewodzimy? Jestesmy sami, i sami musimy rzucic sie w wir walki, walki, ktora, byc moze, przegramy.

-A na czym ta walka mialaby polegac? - zapytal Zacat. - Czyzbysmy mieli uzywac prostej sily? Wtedy Kepta wygra na pewno.

-Wlasnie. Dlatego musimy penetrowac jego sily podstepem. Zanim powstana nasze wlasne plany, musimy poznac cel i miejsce jego ataku. Ktos z nas musi dostac sie do Koom.

-Niemozliwe - powiedzialem szorstko.

-Dlaczego?

-Czy myslisz, ze juz tego nie probowalem? - zawolalem niezbyt grzecznie. Mimo ze pochodzil z wyzszej kasty, dalem wyraz swemu gwałtownemu oburzeniu, nie zwazajac na dzielace nas roznic. Czyzby Thran spodziewal sie, ze zaniedbuje swoje obowiazki? - Trzy miesiace temu podjalem taka probe osobiscie. Powrocilem z wyprawy wcale nie mdrzejszy. Wrocilem z tym - rozpialem plaszcz i pokazalem mu cienka sina szrame na szyi. - Przeznaczona mi byla smierc.

-Nie wiedzialem o tym - Thran spojrzal na mnie uwaznie.

-Do tej pory nikt o tym nie wiedział. Nie chwaliłem się niepowodzeniem.

-Ale problem pozostaje nie rozwiązany - zauważył Gorlianczyk.

Thrala potrząsnęła przecząco głową.

-Wracz przeciwnie, jest rozwiązany - powiedziała.

-Nie rozumiem.

-To ja pojedę do Koom. Kepta nie będzie mnie podejrzewał, bo niby dlaczego? Czyż nie trzymałam się od dawna z daleka od wszelkich prac laboratoryjnych? Nie wykazywałam żadnego zainteresowania poszukiwaniem wiedzy, nawet mój ojciec uważa, że przynoszę wstyd kascie Oswieconych. Pojadę po prostu do Koom na przyjemną wycieczkę. Jego władca nie będzie mnie o nic podejrzewał.

-Nie! - Słowa z moich ust zaczęły wypływać tak szybko, jak szybki jest cios, zadany mieczem. - Nie możesz tego zrobić. Jeżeli moje podejrzenia co do Koom są słuszne, żaden śmiertelnik o czystym sercu nie może się tam znaleźć, a potem opuścić Koom nieskalany.

-A kimże jest Lord Garan, że wydaje mi kategorię rozkazy?

Właśnie w tej chwili, w tym momencie, pełnym napięcia, musiałem zdradzić swój najzazdrośniej strzeżony sekret.

-Najbardziej uniozonym z twoich sług. Królewska Damo. A mimo to osmielam się sprzeciwić ci się w tej sprawie.

-On ma rację - odezwał się Zacat. - Koom to nie jest miejsce dla kobiet.

Thran skinął głową, przyznając nam rację. Nie przekonaliśmy jednak Thrali. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jakich powinniśmy użyć argumentów, aby zmienić jej decyzję, gdyż nagle spod kopuły nad naszymi głowami rozległy się odgłosy kurantów. Thran i Thrala zamarli w bezruchu, a potem nagle spojrzeli sobie w oczy roziskrzonym wzrokiem.

-To ostrzeżenie - powiedział Gorlianczyk. - Ktoś tutaj idzie. Musimy stąd zniknąć.

-Wewnętrzny korytarzem - zasugerowała Thrala.

-Pokaż im drogę. Thran.

Wstał i podszedł do kurtyny, zza której wylonił się wraz z Thralą na początku naszego spotkania. Naga ściana rozsunęła się przed nim, ukazując wąską szparę, przez którą przecisneliśmy się po kolei: Zacat, Anatan i ja.

-Teraz twoja kolej Thranie - szepnęła Thrala. - Pamiętaj, tylko głos kobiety może zamknąć

to przejście.

Thran posłusznie dołączył do nas, jednak Lady Thralla nie poszła za nim. Sciana natomiast zbiegła się z trzaskiem i niespodziewanie znaleźliśmy się sami, zaskoczeni, w ciemności. Thralla pozostała po drugiej stronie. Thran zaczął rozpaczliwie walić w ściany piętami.

-Przecież to nie ma sensu! - wołał. - Ona nie potrafi udawać Ili aż tak dobrze, by oszukać kogokolwiek z przyjaciół tej kobiety!

W jednej chwili zrozumiałem intencje Thralli. Pozbywszy się nas, zamierzała stanąć twarzą w twarz z osobą, która zmierzała do komnaty, nieważne, kim ta osoba była. Dołączyłem do Thrana w gwałtownym ataku na ściany.

Poczułem, jak czyjeś paznokcie wbijają mi się w plecy.

-Zostawcie! - To Analia krzyczała do mojego ucha. - Te drzwi rozsuwają się tylko na dźwięk głosu kobiety! Pozwólcie spróbować mnie!

Thran i ja wycofaliśmy się więc. W milczeniu słuchaliśmy jak wysokim, przenikliwym głosem Lanii Analia wypowiada jakąś formułkę.

Drzwi rozsunęły się odrobinę; wąska szpara wystarczyła zaledwie do tego, abyśmy mogli usłyszeć i zobaczyć, co dzieje się w izbie. Nie zdziwiłem się, gdy ujrzałem przystojną twarz Kepty, okraszona ledwie widocznym szyderczym uśmiechem. Za nim jednak stał ktoś jeszcze. Thran scisnął moje ramię.

-Ila!

Tak, to była Ila, Ila prawdziwa, Ila z czarno-białej izby, Ila o chudym ciele i wspaniałych włosach, o wymalowanej twarzy i groźnie brzmiącym głosie. Przed nią dumnie wyprostowana, stała Thralla. A więc dwie Ile, ale jakże różne!

-...niespodziewana przyjemność - ciągnął Kepta drwiako. - Lady Ila jest zaszczycona faktem, iż znajdujesz przyjemność w noszeniu strojów, które ona osobiście upowszechniła w Yu-Lac. Obawiam się jednak, że muszę być niegrzeczny i zapytać cie, jaka jest przyczyna tego niespodziewanego spotkania. Rad byłbym...

Jego szydercze wywody przerwała Ila, gdyż zauważyła, że zasłona, zakrywająca sekretne drzwi, przez które przechodziliśmy, jest odciągnięta.

-Głupcze! - krzyknęła na Kepte. - Ona nie jest sama! Zabierz ją stąd!

Usłyszawszy te słowa, całym ciałem napałem na szczelinę w drzwiach. Rozsunęły się szerzej, dzięki czemu już po chwili gwałtownie wkroczyłem do izby, z mieczem w dłoni... Było już jednak za późno. Kepta bowiem błyskawicznie przyciągnął do siebie Thrallę,

jednocześnie popychając otomane tak, że przeszkodziła mi w ataku.

Upadłem, głośno przeklinając, a po chwili wpadli na mnie Thran i Zacat. Kepta tymczasem pchnął Thrallę w objęcia bezlitosnej Ili. Odszukałem wzrokiem Anatana. Przeszedł przez drzwi ostatni, co sprawiło przynajmniej, że nie upadł. Dzięki temu pierwszy ruszył w pogoń za Ila, Kepta i porwana przez nich Thrallą. Natychmiast we trojkę popędziliśmy za nim, lecz nie dotarliśmy daleko. Za pierwszym zakretem korytarza natknęliśmy się na niego bezsilnie walącego pięściami w ścianę.

-Tędy uciekli! - zawołał.

Na gładkiej powierzchni nie było najmniejszego śladu jakichkolwiek drzwi. Thran zadrzał z gniewu.

-Uciekna do Koom - wysyczał wściekłym głosem. - Tylko w Koom będą czuli się bezpiecznie, bo wiedzą, że za to, co zrobili, staną przeciwko nim całe Yu-Lac.

-A więc Koom - powiedziałem i pokiwałem głową. Niewątpliwie miał rację. - Tak więc...

Odwrociłem się, lecz nie zrobiłem nawet kroku, gdy Thran złapał mnie za rękę.

-Dokąd zmierzasz?

-Do Koom.

-Jak?

-Mam latacz... Przerwał mi gwałtownie.

-Nie pozwoli ci wylądować. Mają zapory, sięgające szesściu mil przed granice ich przestrzeni powietrznej. Jest inny sposób.

-Jaki?

-Poprzez miejsce, w którym obserwowałeś tancerki z Qur. Ta sala jest częścią antycznych Drog Ciemności, korytarzy wydrążonych pod powierzchnią Krand przez tych, którzy pracowali tutaj, zanim pojawił się rodzaj ludzki. Ten, kto osmiele się obrócić te drogi, być może zdoła dotrzeć do Koom.

-A więc ruszam! - zawołałem bez namysłu.

Zacat obnażył w uśmiechu żółte zęby.

-Z kawałkiem ostrej stali w dłoni osmiele się wyruszyć z tobą w każdą drogę, byleby tylko osiągnąć nasz cel - powiedział. - Kiedy ruszamy?

Thran wyciągnął zza paska jakieś karteczki i wręczył mi je.

-Natychmiast...

-Anatan idźcie z wami! - zawołał mój adiutant.

-A więc pojdziecie we trojkę. Oczywiście, udam się w drogę razem z wami. Musimy postarać się o broń i odpowiedni ekwipunek...

Zaczął dotknąć rekojesci miecza, lecz Thran, popatrzawszy na niego, potrząsnął głową.

-Niektóre z niebezpieczeństw, jakie napotkamy, o ile legendy zawierają chociaż ziarno prawdy, będziemy musieli zwalczać bronią o wiele potężniejszą niż stal.

-A więc? - zawołałem. - Na co czekamy? Wszystko, czym dysponuje w Yu-Lac jako Marszałek Floty, należy do nas. Wystarczy mi pół godziny, a wyposażę was w broń, która zmiecie Koom z powierzchni ziemi.

Rozprawialibyśmy pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie Analia, która podjęła decyzję za nas:

-Niech więc Lord Garan uda się do zbrojowni i zdobędzie oręż, tak szybko, jak to tylko możliwe. Godzinę przed świtem spotkamy się na dziesiątym placu. Anatanie, pojdiesz z Lordem Garanem.

-Godzinę przed świtem? Dlaczego musimy czekać aż tak długo? - zawołałem, oczyma wyobrazni widząc Thrallę w objęciach złej Ili oraz wyobrazając sobie podły uśmiech na twarzy Kepty. Nie mogłem spokojnie szukać broni, wyposażenia, podczas gdy Thralla była w niewoli; przeciwko takiemu postępowaniu buntował się we mnie każdy mięsień, każdy nerw. Pragnąłem czym prędzej wyruszyć w pościg za Keptą, a doścignawszy go, posiekac drania na drobne kawałki. Świadomość, że Koom położone jest w odległości aż stu mil powietrznych od naszych wybrzeży i że odległość ta znacznie się powiększy, jeżeli pojdziemy Drogami Ciemności, ani trochę nie hamowała mojej wściekłości i niecierpliwości.

-On nie osmieleł się jej tknąć - powiedział Thran spokojnie. - Wiem to z całą pewnością.

-Skąd?

-Poprosił dzisiaj Cesarza o rekę Thralli.

Moje palce zacisnęły się. Gdyby teraz w pobliżu znalazł się Kepta, z pewnością zacisnąłbym je na jego gardle. Nigdy do tej pory nie nienawidziłem go tak mocno. Ten bandyta stara się - o nią! Zadrzałem.

-Godzinę przed świtem na dziesiątym placu - powtórzył głosno Thran.

Skinałem głową i wraz z Anatanem podążyłem za prowadzącą nas Analią. Pewnie

prowadziła nas korytarzami, pełnymi rozgalezi i niespodziewanych zakrętów. Później dowiedziałem się, że od początku cała trójka: Thran, Thrala i Analia obserwowała budowę tego pałacu przyjemności, domyślając się jego prawdziwego przeznaczenia. Główny jego projektant za słoną cenę zgodził się sprzedać jego pilnie strzeżone tajemnice. Dzięki temu znali sekrety, o których Kepta i Ila byli przekonani, że należały tylko do nich.

W końcu znaleźliśmy się w wąskiej alejce, słabo oświetlonej i wyludnionej.

-Dobrze zapamiętajcie to miejsce - powiedziała Analia, zanim się oddaliła. - Gdy tu powrócicie, uderzcie trzykrotnie rekojescią miecza w te drzwi. A teraz musimy się rozstać, zanim ktoś nas zobaczy.

Kiedy zostaliśmy sami, Anatan miał pewne trudności z znalezieniem w mroku publicznego ładowiska, na którym pozostawiliśmy latacz. Mieliliśmy niewiele czasu; do świtu pozostało zaledwie kilka godzin. Muszę przyznać, że w poszukiwaniu ładowiska zdałem się całkowicie na Anatana, gdyż pogrążony byłem w rozważaniach, jaka broń i jakie wyposażenie powinniśmy ze sobą zabrać w daleką wyprawę do Koom. Nie rozglądałem się więc dookoła.

Dlatego pierwsze ostrzeżenie dotarło do mnie dopiero wtedy, gdy jakaś ciemna sylwetka wypadła zza zaułka między dwoma budynkami, niewatpliwie wykazując nieprzyjazne zamiary. W pierwszym odruchu chciałem natychmiast wydobyć z pochwy miecz, ale zaraz z tego zrezygnowałem. Nie było czasu na użycie stali.

Ujrzałem złowrogi błysk w oczach napastnika, jeszcze zanim się do mnie zbliżył. Rysy jego twarzy wykrzywione były tak, jakby znajdował się pod działaniem środków odurzających. Z ust ciekła mu piana. Wyciągnął przed siebie ręce, gotów natychmiast wydłubac mi palcami oczy; ulubiona forma ataku rzeźmieszek wyjętych spod prawa. A jednak - ku swemu zdziwieniu i przerażeniu - zobaczyłem, że bandyta nosi epolety podoficera jednego z moich oddziałów!

Dopiero mój krzyk przerażenia i wrzask napastnika zwróciły uwagę Anatana na niebezpieczeństwo. Do tej pory nie interesował się tym, co jest przed nami, rozglądając się na boki. Gdy rzeźmieszek mnie zaatakował, zwarliśmy się w śmiertelnej potyczce. Miecz Anatana był bezużyteczny; nie mógł ryzykować cieciami nim, w obawie że zamiast napastnika uderzy mnie.

Otrzasnałem się z pierwszego szoku i zacząłem rozpaczliwie walczyć o życie. Zdolałem zacisnąć palce na szyi bandyty, zanim ten swymi szponami rozorał moją krtan. To mnie uratowało: szczęśliwy przypadek raczej niż celowe działanie. Musiałem natrafić na jakiś jego nerw, gdyż na krótką chwilę jego ciało jakby zwiótczało i zaniechało walki.

Z hukiem padliśmy na ziemię. Napastnik znowu wyciągnął ręce w kierunku mojego gardła, a ja znowu musiałem podjąć walkę o oswobodzenie się z jego szponów. Niespodziewanie

otworzył usta i wykonawszy gwałtowny ruch głową, zacisnął zęby... zaledwie o cal od mojego ucha. Wtedy zrozumiałem, że nie ma dla mnie ucieczki. Narkotyk zmienił żołnierza w dzikie zwierze, żadne krwi, żadne nie tylko zapachu, ale i smaku ludzkiego mięsa. Dodał mu też siły, siły, jakim nie jest w stanie przeciwstawić się żaden normalny człowiek, chociażby był nie wiem jak dzielny.

A jednak, otrząsnawszy się z pierwszego szoku, chwyciłem go za przeguby rąk jednym z tych chwytów, którym można złamać mężczyźnie oba ramiona. Ale walcząc ze mną bestia jedynie głośno stęknęła. Znowu klapnęła szczękami. Tym razem zaciskające się zęby rozorały skórę na moim ramieniu. Po chwili napastnik przyciągnął do swoich ust moje ramię. Teraz jego kły rozdarły mi skórę do żywej kości. Na szczęście - niech pochwalony będzie bog On - tkwilismy w jednej pozycji na tyle długo, że Anatan zdołał przyjść mi z pomocą. Stanawszy za bandziorem, spuścił swój ciężki miecz na jego nie osłoniętą głowę.

Twarz bandyty przybrała wyraz bezgranicznego zdziwienia, po czym tylko cicho jęknął i padł bez czucia na ziemię. Ja tymczasem niepewnie wstałem. Krew kapłała gestymi, ciężkimi kroplami z mojego zranionego ramienia. Rozejrzawszy się dookoła ze zdziwieniem stwierdziłem, że jesteśmy sami. Odgłosy walki, jaka przed chwilą stoczyłem, nikogo nie zainteresowały. Popatrzyłem na Anatana. Pokiwał ze smutkiem głową. Wiedziałem, że w tej chwili pomyślał dokładnie o tym samym co ja: ktoś na nas nasłał te bestie.

Ktoś zastawił na nas pułapkę, w którą wpadliśmy bezmyślnie jak dzieci.

-Zostawmy go tutaj. - Anatan wskazał głową na mojego niedawnego przeciwnika. - Lepiej pośpieszmy do latacza, dopóki nikt inny nam w tym nie przeszkadza.

Chętnie zgodziłem się z nim. Oddarłem kawałek swojego płaszcza i owinałem nim krwawiące ramię. Ruszyliśmy. Mimo że po chwili znaleźliśmy się na jasniejszych alejach, ani na moment nie zwolniliśmy kroku. Wkrótce byliśmy na lądowisku.

Musielismy czekać, aż zaspany nocny strażnik wyda nam zgodę na lot. Dopiero gdy znaleźliśmy się w kabinie, odetchnałem trochę swobodniej.

-Lec do zbrojowni - poleciłem Anatanowi. - Wyladujemy przy bramie, dla pewności. Dość mam przygód na dzisiejszą noc. W drodze powrotnej postarasz się posadzić latacz na tej najszerszej oświetlonej alei.

-Trudne zadanie - stwierdził.

-Lepsze to, niż spotkanie z kolejnym zamroczonym rzezimieszkiem. Jeżeli się postarasz, jesteś w stanie to zrobić.

Po kilku sekundach wylądowaliśmy przy zbrojowni, gdzie przechowywane były najtajniejsze środki, służące obronie pomysłności i niezawisłości Yu-Lac.

6. Drogi Ciemności

Zdjąłem z szyi lancuszek z kluczem, otwierającym brame zbrojowni. Nigdy nie rozstawałem się z nim i teraz moja roztropność została nagrodzona. Obaj z Anatanem musieliśmy użyć wszystkich naszych sił, aby podnieść wielką metalową sztabę na drzwiach. Wiedziałem, co i skąd chce zabrać, toteż kiedy znaleźliśmy się w środku, natychmiast popędziłem platanina wąskich korytarzy w kierunku drzwi oznaczonych szerokim szkarłatnym paskiem. Otworzyłem je drżącymi rękami, gdyż bardzo się spieszyłem. Byłem przekonany, że rozpocząłem wyścig z czasem.

W komorze, starannie poukładane w szklanych gablotach, leżały zbroje, które mogły okryć żołnierzy od stop do głów. Były bardzo lekkie, lecz wykonane z materiałów, które opierały się najsilniejszym ciciom i najgłośniejszym promieniom. Wskazując je Anatanowi, poleciłem mu:

-Wybierz najodpowiedniejsze zbroje dla nas wszystkich. Niedługo do ciebie dołączę.

Zostawiłem go i zszedłem piętro niżej, poszukując pomieszczenia, w którym przechowywano miotacze promieni nowej generacji, nie wprowadzone jeszcze na wyposażenie armii. Podczas prób brona ta uzyskiwała wiele uznania za celność, duży zasięg i łatwość w obsłudze, do tej pory jednak nie potwierdziła swoich walorów na polu walki.

Odłożyłem na bok sześć urządzeń, przypominających wyglądem pochodnie, a wraz z nimi zapasowe ładunki w kolorze zielonym, fioletowym oraz miotające promienie podczerwone. Do tych nowych i nie wypróbowanych jeszcze urządzeń dołożyłem kilka już sprawdzonych, od dawna używanych przez armię. Również do nich dołożyłem zapasowe ładunki. Zanim ruszyłem w drogę powrotną, ujrzałem zestaw do wspinaczek, używany przede wszystkim przez śmialków, którzy musieli zagłębić się w lapidijskie grotty. Dołożyłem również taki zestaw do swoich zdobyczy.

Znalazszy się przed bramą od razu natknąłem się na Anatana. Niecierpliwie chodził wokół maszyny. Oprócz zbroi niezniszczalnej zabrał z magazynu również cztery miecze wojenne; wykonano je bardzo dawno i przeznaczone były do walki wręcz na polach bitewnych, a nie do noszenia jako ozdoby przy galowym mundurach.

Starannie zamknęliśmy brame i założyliśmy ciężką zasuwę. Następnie wsiedliśmy do latacza i od razu wystartowaliśmy. Unikając patroli, lecieliśmy nad skrajem miasta.

Na szczęście pałac przyjemności łatwy był do zidentyfikowania z powietrza. Dzięki niemu Anatan bezbłędnie rozpoznał aleję biegnącą niemal przy pałacu, gdzie też po chwili wylądował. Udalo mu się to tylko dlatego, że mój latacz był jednym z najmniejszych i najbardziej zwrotnych spośród tych, które latały nad Yu-Lac. A jednak pomiędzy ścianami budynków a końcówkami skrzydeł pozostały zaledwie dwie stopy odległości.

Zabraliśmy naszą zdobycz i uginając się pod jej ciężarem podeszliśmy do bocznych drzwi

palacu. Zapukalem i niemal natychmiast otworzyła nam Analia. Znow długo szliśmy kretymi korytarzami po to, by w końcu znaleźć się na małym, pustym dziedzincu. Tam czekali już Thran i Zacat, pochyleni nad rozłożonym pasem zoltej rybiej skóry; na takiej skorze dawno temu pisali nasi protoplasci.

-Tak szybko wróciliście? Dobra robota, Lordzie G-ranie. Co nam przynosicie?

Szybko wyjaśniłem mu, co zabraliśmy ze zbrojowni i dlaczego. Wyjałem jedną ze zbroi, aby Thran ją przymierzył. Zacat popatrzył na zbroje z uwielbieniem, charakteryzującym człowieka, który ogląda wspaniałe narzędzia, niezbędne do wykonywania jego zawodu. Jego zainteresowanie jednak gwałtownie wzrosło, kiedy Anatan wyciągnął jeden z mieczy.

-Dobra stal. - Przebiegł palcem po lśniącym ostrzu. - Chętnie używałbym czegoś takiego zamiast tych wszystkich miotaczy promieni. Stal to zawsze stal. Dobrze, Anatanie, że to zabrales, masz głowę na karku.

-Zdaje się, że mieliście przed oczyma konkretny cel, zabierając ze zbrojowni to, a nie coś innego - powiedział Thran, uważnie przeglądając naszą zdobycz. - Ale my też nie próżnowaliśmy, kiedy was nie było.

Wskazał reka róg dziedzinca. Znajdowały się tam małe pojemniczki ze skoncentrowaną żywnością i słoiki z tak zwaną "wodą" kropla tego płynu zastępowała całe litry innych podczas długich marszów przez pustynne tereny. Preparat ten, zawieszony u pasa w butelczce nie większej niż ludzka piasek, wystarczał na długie dni marszów i wędrowek.

-Niewiele wiemy o podziemnych drogach - kontynuował Thran. - Z wyjątkiem upartych Lapidian, my, ludzie, wybraliśmy raczej życie na powierzchni. - Wskazał na żółtą mapę na rybiej skorze. - Ale wciąż są wśród nas tacy, którzy poszukują wiedzy o najdziwniejszych miejscach. Jak na przykład żołnierz Kem-mec, który żył w Yu-Lac mniej więcej pięć tysięcy lat temu.

-Budowano wówczas fundamenty pod pierwszą z wielkich wież obronnych i, chcąc ją jak najmocniej osadzić w ziemi, budowniczowie dokopali się tak głęboko pod jej powierzchnię, jak jeszcze nikt przed nimi. W dwudziestym siódmym dniu prac natrafiono na fragment Drog Ciemności. - Kem-mec otrzymał pozwolenie na zejście w dół i zbadanie nieznanego przejścia pod kątem jego wojskowej przydatności. Nie znalazł się żaden ochotnik, który by poszedł z nim. Dlatego zszedł sam. Oczywiście, w owych dniach nie było jeszcze tak doskonałych środków, z jakich możemy korzystać dzisiaj, wędrując podziemnymi korytarzami. Mimo to jednak Kem-mec zdołał stworzyć mapę znacznego fragmentu Drog, mianowicie tego, który znajduje się pod skałą, noszącą na sobie Yu-Lac. Doszedł też do wniosku, że podziemne tunele wybudowano za pomocą doskonałych środków mechanicznych; o wiele doskonalszych niż te, które znano za jego czasów, a nawet te, którymi dysponujemy obecnie. Środków tych używały stworzenia zupełnie niepodobne do rasy ludzkiej, które dawno przed nami władały tą planetą.

-Pierwsza wyprawa Kem-meca pod powierzchnie Yu-Lac sprawila, ze zapragnal on dowiedziec sie czegos wiecej o podziemnych korytarzach. Odbyl wiec kilka dalszych wypraw i w koncu z jednej z nich nie powrocil. Tymczasem Amest Wielki, owczesny Cesarz Yu-Lac, uznal, ze najlepiej bedzie, jezeli przejście prowadzace do podziemnych korytarzy zostanie zamknięte.

-Podjal te decyzje niespodziewanie, po otrzymaniu poufnego raportu, który przygotowal Kem-mec po powrocie ze swej przedostatniej podrozy. Stalo sie jasne, ze zolnierz badacz odkryl cos, co bylo bardzo niebezpieczne dla miasta. Nigdy nie ujawniono publicznie, co to takiego.

-Jeszcze mniej wiecej pol roku temu - mowil dalej Thran - raporty i mapy Kem-meca dostepne byly w bibliotece Oswieconych w Semt. Kiedy jednak ostatnio, powodowany zwykla ciekawoscia, postanowilem jeszcze raz je przejrzec, stwierdzilem, ze zniknely wszystkie, z wyjatkiem tej jednej, która wsunięta byla za okladke teczki, sluzacej do przechowywania dokumentow. Poinformowano mnie, ze wszystko zabral Kepta z Koom, gdyż potrzebne mu byly do badan.

-Wkrotce ukonczono budowe przybytku, na terenie ktorego własnie sie znajdujemy. Wszystko wskazuje na to, ze powstal on po to, aby ukryc przejście do jednego z korytarzy Drog Ciemnosci, dokładnie oznaczonego na mapie przez Kem-meca. W tym samym czasie Kepta zaczął wykazywac nagle zainteresowanie starodawnymi swiatyniami z Qur. Zlozil w nich kilka wizyt, starajac sie utrzymac to w tajemnicy. A przeciez Qur to, jak wiadomo, ostatnie gniazdo dziwnej wiary, która pozostala po zapomnianych obrzedach Najdawniejszych.

-Pozostawiajac mi te jedna mape, Kepta nieopatrznie wyposazyl mnie w potezna bron. Oto zaznaczona jest na niej trasa, ktorej własnie poszukujemy: podmorska droga do Koom. Tradycja mowi, ze własnie tedy Kem-mec wyruszył w droge na wyprawe, z ktorej juz nigdy nie powrocil. Nieszczęście, które spotkalo Kem-meca piec tysiecy lat temu, byc moze grozi również dzisiaj smialkom, udajacym sie śladami zolnierza. Jestem jednak pewien, ze ta własnie droga uciekli w nocy Kepta i Ila. Gdzies na tej drodze znajduje sie odpowiedz na pytanie, dlaczego Amest kazal odciac Drogi. Czy ta przyczyna jeszcze istnieje? Zacal chrzaknal.

-Nie pozostaje nam nic innego, jak isc i sie przekonac - stwierdzil.

-Wyglada na to, ze bedziemy kontynuowali robote Kem-meca - powiedzial Thran, smiejac sie. - Przygotujmy sie wiec dobrze do naszej misji.

Podzielilismy pomiedzy siebie bron, zapasy i naboje. Mielismy nawet specjalne maski z okularami, ktorych soczewki nie tylko powiekszaly odlegle obiekty, ale pozwalaly widziec nawet w absolutnej ciemnosci.

W pełni uzbrojeni, byliśmy odporni na działanie wszelkich znanych nam broni. Gładka powierzchnia naszych zbroi mogła odbić uderzenie najostrzejszego miecza, chroniła nas też przed działaniem wszelkich promieni, czy to zapalających, czy zamrażających.

Do pasów przypieliliśmy miecze, które Anatan zabrał ze zbrojowni. Oprócz tego mieliśmy miotacze promieni starego i nowego typu. Dodatkowe baterie do nich niesliśmy w torbach, przewieszonych przez ramie.

Kiedy byliśmy już gotowi do drogi i otworzyliśmy drzwi, ujrzelismy za nimi drobną postać. To Analia. Już bez rudej peruki, z rozpuszczonymi długimi czarnymi włosami, czekała na nas, zapinając pas. Na nasz widok tylko na chwilę podniosła wzrok, by zaraz powrócić do swego zajęcia. Przypiąwszy do pasa miotacze promieni, pochyliła się, aby podnieść torbę z zapasami.

-Analia! - wykrzyknął jej brat. - Co cię opętało?

-Idę z wami - powiedziała stanowczo. - Pojść z wami tam, dokąd zabrano Thrane. Nie możecie mi odmówić. Dawałam sobie radę w pałacu przyjemności, dam sobie radę również na Drogach Ciemności. Jestem pewna, że nie czeka tam nic bardziej niebezpiecznego od tego, co robiłam do tej pory.

Głos jej był niezwykle stanowczy. Popatrzyłem na Thrana, który zwił właśnie niepotrzebną zbroję; nie wiedzieć czemu. Anatan zabrał ich ze zbrojowni aż szczęść. Thran również popatrzył na mnie. Na jego ustach blakł się cień uśmiechu.

-Kiedy kobieta mówi w ten sposób, Lordzie Gwarant, lepiej od razu przyznać jej rację, ponieważ jej postawy nie zmienia nawet długie tygodnie przekonywania - stwierdził. - Analia nie opóźni naszego marszu. Już wiele razy udowodniła, że jest silna i odważna.

Musiałem więc zgodzić się na jej towarzystwo, mimo że nie uśmiechała mi się konieczność dzielenia trudów niebezpiecznej wyprawy z kobietą. Zdaje się, że moje zdanie podzielał również Anatan. Jedynie Zacat nic nie robił sobie z perspektywy towarzystwa kobiety, chcąc jak najszybciej zmierzyć się z niebezpieczeństwem, oczekującym nas na naszej drodze.

Dolaczyliśmy więc do Analii, która natychmiast ruszyła z nami, bezbłędnie prowadząc nas płataniną korytarzy i izb w kierunku rampy, opuszczonej przez nas tak niedawno i zarazem tak dawno temu. Mimo moich obaw nie wzbudziliśmy po drodze niczyjego zainteresowania. Nasze dziwne stroje sprawiły, że na polu pijani głupcy, których napotykalismy, brali nas za podobnych sobie klientów pałacu, pragnących się dobrze zabawić.

Znow znaleźliśmy się w szerokim korytarzu, prowadzącym w dół, lecz tym razem nie towarzyszył nam już rytm, który poprzednio ogarniał nasze stopy i umysły. Panowała głucha cisza, taka, jaka napotkac można tylko w gorskich świątyniach Ru, cisza, w której odnosiło się wrażenie, iż dookoła bezszelestnie krążyły duchy przodków. Teraz światło nie

zmieniało swego koloru, w miarę jak szliśmy stawało się jednak coraz bliźsze. Wreszcie przystanęliśmy i nałożyliśmy na twarze maski z osłonami na oczy. Wówczas przewodnictwo nad naszym pochodem objął Thran.

Kolejny pochyły korytarz, tym razem tak stromy, że musieliśmy przytrzymać się poręczy, aby iść w dół, otworzył się przed nami i Thran ruszył nim bez wahania. Po kilkudziesięciu krokach pochylił się i podniósł jakiś przedmiot, który wyciągnął w naszym kierunku na otwartej dłoni. Ujrzałem ozdobę, podobną do tych, którymi upstrzone były szaty Thrali i Ili.

-Jak widzicie, podążamy właściwą drogą - powiedział i odrzucił ozdobę. Ja jednak zauważyłem gdzie spadła; pochyliłem się i schowałem ją do kieszeni.

Schodziliśmy coraz niżej i niżej, i coraz gęstsza okalała nas ciemność, bynajmniej już nie z powodu osłon na naszych oczach. Analia na chwilę zapaliła lampkę, jednak Thran nakazał, aby ją zgasła; nikt z nas nie wiedział, kto lub co czai się w mroku przed nami. Oswietleni, stanowilibyśmy doskonały cel dla wroga, a poza tym widoczne z oddali światło mogło być ostrzeżeniem dla naszych przeciwników.

Wkrótce zorientowałem się, że ściany pokryte są zupełnie czymś innym, niż na początku korytarza. Poprzednio był to gładki, błyszczący kamień, teraz zaś na bokach mieliśmy wielkie bloki z jakiejś szarej substancji. Były nieprzyjemne w dotyku, jakby pokryte jakimś szlamem. Thran wskazał na nie ruchem głowy:

-Właśnie wkraczamy na Drogi Ciemności. Nikt, kto kiedykolwiek widział efekty pracy Najdawniejszych, nie może ich pomylić z niczym innym.

Pochyły korytarz zdawał się nie mieć końca, stawał się przy tym coraz bardziej stromy. Ponieważ pochyłość była coraz większa, musieliśmy znacznie zwolnić kroku, aby nie upaść. Niemal dreptałem w miejscu, posuwając się niezwykle drobnymi kroczkami i utrzymując równowagę tylko dlatego, że przez cały czas trzymaliśmy się poręczy. Zaczynałem zastanawiać się, czy droga nie stanie się w końcu tak stroma, że uniemożliwi nam zachowanie równowagi, gdy niespodzianie szeroki korytarz zmieni się w tonacę w mroku wąską, lecz niemal poziomą ścieżkę. Postawiwszy na niej pierwszy krok, pomyślałem, że ci, którzy budowali te drogi przed wieloma, wieloma laty musieli być, tak jak i ja, ciepłokrwistymi stworzeniami, ale tak różniącymi się ode mnie, że trudno mi było wyobrazić sobie ich kształty i zadania, jakie przed sobą stawiali. Jakiemu celowi, na przykład, służyło to przejście? Dlaczego wykuto je pod ziemią?

Już po kilku krokach przekonałem się, że drogi tej z całą pewnością nie przeznaczono dla ludzi. Powierzchnia pod naszymi stopami nie była bowiem płaska, lecz polokragła, co sprawiało, że ślizgaliśmy się i potykaliśmy. Aby uniknąć niebezpieczeństwa kontuzji i wypadków, zwolniliśmy tempo marszu tak bardzo, że nie posuwaliśmy się już ani trochę szybciej od żolwi.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało i ile mil przemierzaliśmy w ten sposób. Trzykrotnie zatrzymywaliśmy się na odpoczynek i trzykrotnie jedliśmy posiłki, wykorzystując nasze zapasy. Wokół nas nie było niczego, co moglibyśmy usłyszeć albo zobaczyć; ogarniała nas głucha i pusta ciemność, która rozpraszała jedynie na kilka stop z przodu soczewki naszych masek.

Podczas trzeciego postoju Thran wydobyl mapę, narysowaną na rybiej skorze, a Analia zapaliła lampkę. Uważnie popatrzyliśmy na mapę, chcąc sprawdzić, jaka drogę już przebyliśmy i jak długi marsz jest jeszcze przed nami.

-Niedługo dotrzemy do miejsca, gdzie droga się rozdziela. Jedna z jej nitek skreśli ostro w prawo. W tym właśnie kierunku musimy pójść. Kiedy znajdziemy się na tym zakrecie, będę pewien, że nie pomyliliśmy drogi - powiedział Thran.

-Ruszajmy więc! - zawołał Zacat, zrywając się na nogi. - Do tej pory nie natrafiliśmy na żadne niebezpieczeństwo godne żołnierza. Gdzie znajdują się te straszliwe miejsca, które zobaczywszy, Kem-mec pobiegł do swego władcy, aby napelnić jego uszy trwożliwymi opowieściami? - Gdzieś przed nami, Lordzie. Zwąż, że ja wierzę Kem-mecowi i jego opowieściom. Wkrótce naocznie przekonamy się, czy miał rację. - Thran zwinął mapę i schował ją do torby.

Wszyscy podnieśli się, zmęczeni, i ruszyliśmy w dalszą drogę. Tak jak powiedział Thran, wkrótce dotarliśmy do rozwidlenia w ciemnym tunelu. Jedna z odnóg ostro skreśliła w prawo. Anatan i jego siostra bez namysłu weszli w nią, a tymczasem mój wzrok niespodziewanie przyciągnął błysk na powierzchni drogi, biegnącej w przeciwną stronę. Pochyliłem się i moje palce natrafiły na kolejną ozdobę z szaty Thralli. Zatrzymałem całą grupę i pokazałem towarzyszom moje znalezisko.

-Czy mapa nie zawiera błędów? - zapytałem Thrana.

-Bo skoro ta błyskotka leżała w przeciwnym korytarzu...

-A jeśli Kepta rzucił ją specjalnie, aby nas zmylić?

-To jest możliwe. Istnieje jednak tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

-Jaki?

-Musimy się rozdzielić. Powinnismy włączyć te małe lampki, które mamy przy naszych miotaczach promieni. Ja pójdę drogą, na której znalazłem błyskotkę. Będę szedł tak długo, dopóki wystarczy mi jednej baterii. Kiedy lampka zgasnie, a ja do tego momentu nie natrafie na nic interesującego, powrócę w to miejsce i podażę za tobą. Ty powinieneś postąpić podobnie.

Thran od razu zgodził się na ten plan.

-To najmadrzejšia propozycja - przyznał. - Kto pojdzie z toba?

-Zacat! - moj podwladny natychmiast wykrzyknal swe imie. - Juz wiele razy w przeszlosci wspolnie wyruszalismy na niebezpieczne wyprawy.

-Zgoda.

Thran podlaczył baterie do lampki przy miotaczu, ja uczynilem to samo. Pozegnalismy sie, zyczac sobie nawzajem rychlego spotkania, i wyruszyliśmy w trasy, ktore wybralismy: Thran, Anatan i Analia w prawo, a ja z Zacatem droga, bedaca przedluzeniem tej, ktora zmierzalismy do tej pory. Idac zacisnalem dlon na znajdujacych sie w kieszeni ozdobach, rzuconych przez Thrale.

Przeszlismy spory kawalek drogi, gdy Zacat uniosl brzeg maski i zaczal intensywnie wciagac nosem powietrze.

-Czujesz cos? - zapytal.

Poszedlem za jego przykladem. W suchym powietrzu pojawil sie odor. Pachnialo cos jakby slodkiego, a jednoczesnie gnijacego.

-Tak - odparlem.

-Nie podoba mi sie to. Podobnie smierdza stare grobowce w gorach. Zdaje sie, ze natrafilismy na cos nieprzyjemnego. Ale zbyt slaby to powod, zeby przerywac nasz marsz.

Wstretny zapach stawal sie coraz intensywniejszy, w miare jak posuwalismy sie naprzod. Ku memu bezgranicznemu zdziwieniu, zmieniac sie zaczal kolor swiatla w lampce przy moim miotaczu promieni; wktrotce przybralo ono barwe intensywnej purpury. Zwrocilem na to uwage Zacatowi.

-Jakas diabelska sztuczka - stwierdzil. - Lepiej nie przejmujmy sie tym. Nasz przyjaciel z Koom wymysli zapewne na nasze powitanie jeszcze wiele innych zakazanych cudow. Najpierw zajmijmy sie tym obrzydliwym zapachem.

Niespodziewanie nasza droga ostro skrecila; byl to pierwszy zakret od chwili, gdy na nia wkroczyliśmy. Postapilismy jeszcze, bardzo ostrocznie, kilka krokow, i nagle znalezlismy sie na skraju nicosci...

7. Potwor z Zatoki

Droga urywala sie gwaltownie, prowadzac w otchlan, ktorej dnem byla powierzchnia wielkiej morskiej zatoki. Do moich uszu dotarl grozny pomruk fal, rozbijajacych sie - hen pod nami - o skaly. Fale wygladaly niczym zywe istoty, ktore chca wspiac sie po skalach do gory i nas dosiegnac.-Koniec - powiedzial Zacat. - Wybralismy zla droge.

-Zastanawiam się... - mruknąłem w zamysleniu. Coś ledwie uchwytnego wzrokiem, zawieszona nad zatoką, przyciągnęło moje spojrzenie. Wisiały nad nią dwa łańcuchy z tego samego materiału, którym pokryte były ściany Drog Ciemności. Odpiąłem od pasa miotacz promieni i wycelowałem jego końcówkę w przedmiot, który wisiał pomiędzy łańcuchami.

-Ach - westchnął Zacat, promień wydobyl bowiem z nicosci most, wykonany najwyrazniej z substancji pochlaniajacej swiatlo. Zarysy mostu ginely w ciemnosci tam, dokad nie docieraly promienie z mojego miotacza.

Poruszając miotaczem, przesunąłem promienie do miejsca, w którym most docierał do naszego brzegu zatoki. Nie dotykał go jednak. Jego podłozie było zniszczone na przestrzeni dobrych trzech stop od brzegu. Trudno było odgadnąć, czy zniszczenie powstało niedawno, czy też przed wieloma wiekami.

Powróciłem wzrokiem do tunelu za naszymi plecami. Odniosłem wrażenie, że jeśli bog On sprzyjałby nam, miejsce na rozbieg mogłoby okazać się wystarczające, aby rozpedziwszy się, pokonać w powietrzu wyrwę i wskoczyć na most. Jednak każdy, nawet najmniejszy błąd sprawiłby, że wylądowalibyśmy w spienionych wodach zatoki.

W tym samym momencie również Zacat zrozumiał, na czym polega nasza jedyna szansa,

-Jeden z nas musi pozostać na brzegu - powiedział - i oświetlać most, podczas gdy drugi spróbuje tam wskoczyć. Potem ten drugi będzie oświetlał most, stojąc na nim, a pierwszy skoczy, próbując do niego dołączyć. Prosta sprawa - rozesmiał się. - I śmiertelnie niebezpieczna!

A jednak było to jedyne rozwiązanie. Zaciśnięwszy mocniej pas i ułożywszy wygodniej torbę z zapasami na ramionach, przygotowałem się do skoku. Zanim Zacat zdolał zaprotestować, wcisnąłem mu do ręki mój miotacz promieni i cofnąłem się w głąb korytarza. Zatrzymałem się na chwilę. Wystarczyło mi kilkanaście sekund, aby się skoncentrować. Ruszyłem. W ogromnym pedzie minąłem Zacata, zaciskającego w dłoniach miotacz promieni, który oświetlał miejsce mojego lądowania.

W chwili, gdy się wybiłem, serce podeszło mi do gardła, i dopiero wówczas poczułem przemożny strach. Byłem już jednak w powietrzu; nie miałem możliwości odwrotu. Wyrzuciłem ręce do przodu, i to mnie uratowało. Mimo że moje nogi chybiły celu, reszta ciała padła na poprzeczne deski, stanowiące podłozie mostu. Dłonie kurczowo chwyciły się jakiegoś występu i po kilku sekundach rozpaczliwych wysiłków podciągnąłem się i zaległem całym ciałem na powierzchni mostu. Przez długą chwilę leżałem bez ruchu, uspokajając oddech. Serce biło mi jak oszalałe. Wreszcie uspokoiłem się na tyle, że byłem w stanie dźwignąć się na nogi.

Wówczas ściągnąłem z ramion torbę i wyciągnąłem z niej cienką, lecz mocną linę, w którą

zaopatrzył nas przemysłny Thran; dopiero w tej chwili sobie o niej przypomniałem. Jeden jej koniec przywiązałem do lancucha, na którym wspierał się most, a drugi rzuciłem ponad otchłania Zacatowi. Przywiązał do niego mój miotacz promieni, a ja pociągnąłem za line.

Podczas gdy miotacz hustał się nad przepascią, doświadczyłem chyba najdziwniejszego uczucia w całym swoim życiu. W chwili, gdy promień przestał padać na most, zniknął on po prostu i odniosłem wrażenie, że stoję w próżni, mimo że pod stopami czułem twarde podłoże.

Po chwili miotacz promieni był już w moim reku. Gdy go włączyłem, znowu widziałem most. Jego nawierzchnię i poręcz. Zacat zniknął w glebi korytarza. Minęło zaledwie kilkanaście sekund, gdy usłyszałem, że ruszył biegiem w moim kierunku. Z całą pewnością włożył w skok znacznie więcej siły niż ja, gdyż bez kłopotu bezpiecznie wylądował obok mnie na pomoście.

-No, to dalej, naprzód, do siedziby diabła - powiedział, gdy odzyskał równomierny oddech. - Strach ogarnia mnie tylko na myśl o drodze powrotnej. Włączmy oba miotacze. Nie mam zamiaru stąpać po niczym, nawet wtedy, gdy moje stopy będą czuły twarde gruntu.

Bez zwłoki ruszyliśmy w dalszą drogę. Najdawniejsi, choć tak różniący się od ludzi, musieli być doskonałymi budowniczymi. Zastanawiałem się, jak odważnym człowiekiem musiał być Kem-mec, który penetrował Drogi Ciemności samotnie, wyposażony jedynie w kiepski sprzęt, dostępny w jego czasach. Być może zniszczony fragment mostu był właśnie tą pułapką, która sprawiła, że nie powrócił ze swojej ostatniej wyprawy.

-Ten wstretny zapach jest coraz silniejszy. - Głos Zacata przerwał moje rozmyślenia.

Uniosł miotacz promieni wyżej i oświetlił most na znacznej odległości przed nami. Niespodziewanie coś, co znalazło się w oświetlonym polu przed nami, poruszyło się. Zacat stanął jak wryty.

-To jest chyba rzeczywiście przeklezione miejsce - powiedział. - Zdaje się, że czeka nas jakaś niespodzianka. Może nocne demony? Choć nie wierzę, że coś takiego istnieje. A przecież widziałem przed nami jakiś ruch. Czy wiesz, co to znaczy?

Wiedziałem aż za dobrze. W normalnym świetle to coś przed nami było niewidzialne, podobnie jak most, natomiast ukazywało się naszym oczom, gdy kierowaliśmy na nie promienie naszych miotaczy. Wkrótce stwierdziłem, że nieznanne stworzenie zbliża się w naszym kierunku.

-Najlepiej poczekajmy - szepnął Zacat, gdy zorientował się, że zrozumiałem znaczenie jego słów. - Postąpimy mądrze, jeśli dopuszczymy do tego, że nieznanne stworzenie pierwsze ujawni swoją moc. Być może wskaże nam przy tym na swoje słabości. Niepokoi mnie ten zapach...

Odor stęchły i zgnilizny był tak ciężki, że trudno nam już było normalnie oddychać. Co

gorsza, mimo że wydawało się to niemożliwe, z każdą chwilą odor stawał się coraz intensywniejszy. W pewnym momencie odniosłem też wrażenie, że słyszę jakiś słaby odgłos, jakby drapania. Gdy Zacat zwiększył moc promienia, zjawą, znajdująca się przed nami, odskoczyła do tyłu.

-No, cokolwiek to jest, nie lubi tego światła - stwierdził mój towarzysz z satysfakcją. - Zdaje się, że możemy tę jego słabość wykorzystać. Zwiększ moc swojego miotacza i ruszajmy naprzód.

Jasno oświetlając powierzchnię mostu przed sobą, wyruszyliśmy w dalszą wędrowkę. Stworzenie, które tkwiło przed nami, przez cały czas poruszało się w tym samym kierunku i w tym samym tempie co my. Nie widzieliśmy ani przez chwilę nic więcej jak tylko ciemny, nieregularny kształt, poruszający się na samym skraju zasięgu naszych miotaczy promieni.

Koniec tej komfortowej sytuacji był jednak gwałtowny. Zjawą przed nami jakby nagle odzyskała odwagę; być może odgadła sekret naszego światła, kiedy bowiem postąpiliśmy kilka kolejnych kroków, nic poruszyła się, lecz przykucnęła w miejscu, jakby na nas czekając. Niespodziewanie ujrzelismy ją w całej okazałości...

Stworzenie, które stało przed nami na niewidzialnym moście, było czymś najokropniejszym, najwstrętniejszym spośród wszystkiego, co do tej pory widziałem w życiu. Początkowo trudno było rozróżnić jego kształty, gdyż otaczała je nikła, przezroczysta chmurka. Właściwie nie posiadało konkretnych wymiarów; sprawiało wrażenie, że jego zewnętrzna powłoka zbudowana jest z galaretowatej substancji, która może zmieniać kształt w każdej chwili.

Jego najstraszliwszą częścią były oczy, które plonęły niczym matowe purpurowe lampy, wetknięte prosto w szare ciało. Zdawało się, że potwór ten nie ma kończyn, a jedynie grube, tłuste narosła, które poruszają się, pozwalając mu zmieniać pozycję.

-Do diabła! - zaklął Zacat. - To jest tak wstrętne, że nie dowierzam własnym oczom. Jeżeli czegoś takiego właśnie przeraził się Kem-mec...

Już bez szybkości, z jaką przed nami uciekało, stworzenie zaczęło pełznąć w naszym kierunku. Jego narosła wydawały ciche odgłosy przy każdym zetknięciu z powierzchnią mostu. A jego purpurowe oczy sprawiały, że wpatrywaliśmy się w nie z przerażeniem i fascynacją zarazem. Te dziwne oczy miały w sobie coś, co sprawiało, że byliśmy przekonani, iż potwór jest istotą myślącą. Myślącą z całą pewnością inaczej niż my, a jednak posiadającą ogromną inteligencję, ukrytą pod galaretowatą, szarą powłoką.

Potwór był tak samo zdumiony naszym widokiem, jak my jego. Szóstym zmysłem wyczuwałem jego ogromne zdziwienie. Czulem też, że nie jest zły w takim znaczeniu tego słowa, w jakim my, ludzie, je rozumiemy. Patrząc w jego purpurowe, błyszczące oczy zacząłem dochodzić do przekonania, że oto stoję przed obliczem przedstawiciela rasy i

cywilizacji zupełnie obcej ludziom. Rasy zupełnie nie pasującej do naszych standardów zła, dobra i moralności. I dlatego, chociaż poczułem wstret i przerażenie, zupełnie nie odczułem strachu.

Bedac jeszcze w sporej odległości od nas, stworzenie zatrzymało się, niespodziewanie sprawiając wrażenie zamyszonego, rozważającego jakiś poważny problem. Raz po raz spoglądało na nas, a potem szybko odwracało swe dziwne oczy, kierując je w dół, ku powierzchni zatoki.

Nagle z dołu dotarł do nas głośny jęk, prawie krzyk. I wówczas w ciemności ukazała się naszym oczom srebrna, lśniaca smuga; przypominała małego ptaka o szerokich skrzydłach. Ptak zatoczył okrag nad mostem, a potem złożył skrzydła i płynnie osiadł na moście obok galaretowatego potwora.

Dopiero teraz zauważyliśmy, że to lśniące stworzenie ma ludzkie kształty. Posiadało ciało o wyraźnych konturach oraz kończyny, które od biedy można było uznać za odpowiadające naszym rękom i nogom. Wszystkie kończyny zwieńczone były jednak narosłami, jakby przyssawkami, podobnymi do tych, które miał potwór. Głowa srebrzystej istoty była doskonale okrągła, a twarz zdawała się nie posiadać ludzkich rysów, poza wielkimi, purpurowymi oczami. Z głowy, zamiast włosów, wyrastały sztywne, srebrne antenki. Do mojego umysłu dotarło pytanie: - Dlaczego wy, ludzie, osmieliliście się wstąpić na antyczne Drogi?

Wiedziałem od Oświeconych, że prowadzone są eksperymenty, które mają umożliwić przekazywanie słów za pomocą jedynie myśli. Oświeceni byli bliscy sukcesu w tej dziedzinie nauki, nie zdziwiłem się jednak, że ktoś osiągnął już taki sukces przed nimi. Dlatego, zamiast odpowiedzieć głośno, swą odpowiedź przekazałem jedynie w myślach:

-Scigamy wroga naszego świata.

Srebrny popatrzył na galaretowatego; wyczulem, że toczy się pomiędzy nimi jakaś rozmowa. Po chwili dotarło do mnie kolejne pytanie:

-Czy wasz wrog uciekał tą drogą?

-Tak sadzimy.

Moja odpowiedź jakby zaniepokoiła obcych. Nie dałem im jednak czasu na jej przemyślenie. Teraz ja miałem do nich pytanie:

-Czy jesteście z tych, których ludzie nazywają Najdawniejszymi?

Wyczulem, że wzmianka o Najdawniejszych wzbudziła w nich pogardę.

-Nie, jesteśmy jedynie glina, której używali ich garncarze. Najdawniejsi już od długiego czasu

nie istnieją. Lecz my pozostaliśmy. Dlaczego, głupcy, marnujecie swe dni, podczas gdy przeznaczenie zsyła kres na wasz słaby świat?

-Nie rozumiem.

-Zapytaj więc tego, który przeżył zakazane Drogi przed tobą. Szukajcie go. Ludzie.

W tym momencie wszelka łączność pomiędzy nami urwała się. Oczy bezkształtnego potwora zamrugaly i nagle zapadły się w powłokę jego ciała. Już nigdy ich nie zobaczyliśmy. Zadrzałem, kiedy zobaczyłem, że potwór zbliża się do krawędzi mostu. Jego kompan natychmiast wzbil się w górę.

Potwór tymczasem przez chwilę jeszcze balansował na brzegu, a potem spadł w otchłań. Zostaliśmy sami.

Zacat potrząsnął głową, jak ktoś, kto właśnie obudził się z makabrycznego snu.

-Co się stało? - zapytał.

-Sądzę, że to stworzenie, które ujrzelismy pierwsze, zostało właśnie dosięgnięte przez śmierć, i to śmierć gwałtowną - powiedziałem. - Drugi najprawdopodobniej poleciał, żeby szukać jej przyczyny.

-Opuszcmy czym prędzej to miejsce - wzdrygnął się Zacat, spoglądając w przepaść, która pochłonęła umierającego potwora.

Znow ruszyliśmy po śliskim moście. Porzuciliśmy wszelkie środki ostrożności, pragnąc pokonać go jak najszybciej i wreszcie postawić stopy na twardym gruncie. Nudności, które mnie ogarnęły, sprawiły, że musiałem zatrzymać się na chwilę. Zwymiotowałem. Potem przez długą chwilę gonilem Zacata, który ani na moment nie chciał przerwać marszu, tak spieszo mu było do brzegu. Nie napotkaliśmy już żadnej żywej istoty i prawie bym uwierzył, że te, które niedawno pojawiły się przed naszymi oczyma, były jedynie wytworami naszej wyobraźni, gdyby nie wydarzenia późniejsze.

Wreszcie dotarliśmy do brzegu. Bez problemu zeszliśmy na stały ląd, tym razem na skraju mostu nie czyhały na nas żadne pułapki. Zacat jednak potknął się. Gdy powstał z kolan, trzymał w ręce niewielki metalowy stożek, dystrybutor niszczycielskich promieni.

-Mysle, że mieliśmy dużo szczęścia - powiedział, w zamysleniu obracając stożek w dłoni. - Śmierć, która dosięgła to dziwne stworzenie, miała stac się naszym udziałem.

Nagle zawirowało powietrze nad naszymi głowami. Rozpostarłszy szerokie skrzydła, zawisł nad nami srebrny kształt, który poprzednio napotkaliśmy na moście. Przez chwilę jakby się nam przypatrywał, a potem odleciał. Zdołałem jednak odebrać jego głęboką nienawiść, która dotarła do mojego umysłu. Była ona skierowana nie przeciwko mnie, lecz przeciw

temu, kto usmiercił stworzenie na moście.

Zacat popatrzył na mnie. Po jego twarzy blakł się wyraz zadowolenia.

-Wygląda na to, że do dwóch myśliwych dołączył trzeci. Dobra to wiadomość, gdyż odnośnie wrażenia, że nasz przeciwnik jest diabelnie niebezpieczny. Kepta musiał wydostać go z samego dna piekła. Oby bog On dopomógł nam go ukarać!

Przytaknąwszy Zacatowi z głębi serca, wstąpiłem na kreta ścieżkę. Śmierć potwora utwierdziła mnie w przekonaniu, że to ja i Zacat wybraliśmy właściwy szlak w pogoni za Kepta. Nasza wielogodzinna podróż znowu wyglądała tak samo jak marsz po drugiej stronie mostu. Droga biegła między płaskimi ścianami, było cicho jak makiem zasiał, nie mieliśmy na czym zatrzymać wzroku. Trzykrotnie przerywaliśmy wędrowkę, aby się posilić, potem wyruszaliśmy znowu. Zastanawiałem się, czy Thran, zgodnie z naszym porozumieniem, idzie już za nami i czy szczęśliwie pokonał most nad zatoką.

Straciłem już wszelkie poczucie czasu, jednak musiało minąć co najmniej kilka dni od naszego spotkania ze srebrnym ptakiem, gdy ujrzeliśmy przed sobą łagodny, fosforyzujący blask. Blask wzmagał się i wreszcie dookoła stało się tak jasno, że mogliśmy zdjąć maski, dzięki którym widzieliśmy w mroku.

Korytarz, którym do tej pory szliśmy, zakończył się opadającą w dół rampą, która bez wahania zaczęliśmy schodzić. Wkrótce drogę zagrodziły nam ciężkie drzwi.

Rzuciliśmy się na nie całym ciężarem naszych ciał i wtedy, cał po calu, drzwi zaczęły ustępować. Gdy szczelina stała się na tyle szeroka, że się w niej zmieściliśmy, przygotowawszy uprzednio miotacze promieni, przekroczyliśmy próg.

Korytarz, w którym teraz się znaleźliśmy, wyglądał całkowicie współcześnie, jakby pochodził z naszego świata; opuściła nas obca atmosfera Drog Ciemności. Powoli ruszyliśmy do przodu. Mimo, że staraliśmy się zachowywać absolutną ciszę, nasze buty w zetknięciu z posadzką wydawały nieprzyjemne odgłosy.

Na końcu korytarza napotkaliśmy kolejne drzwi. I tutaj musieliśmy użyć wszystkich naszych sił, aby je uchylić.

Nie potrafiłem powstrzymać okrzyku ogromnego zdumienia w chwili, gdy przekroczyliśmy próg. Naszym oczom ukazało się olbrzymie laboratorium. Moje żołnierskie umysł nie był w stanie odgadnąć znaczenia tysięcy monstrualnych urządzeń i przyrządów, które tu zgromadzono. Nie miałem jednak wątpliwości, że znajduje się w tajnym gabinecie Kepty, w pomieszczeniu, którego nawet Oświeceni nigdy nie spenetrowali.

Zacat, który nigdy nie poddawał się uczuciu zachwytu wobec czegoś, czego nie rozumiał, rozpoczął spokojną wędrowkę wzdłuż supernowoczesnych aparatów i urządzeń. W którymś momencie jego pewność siebie nagle zniknęła i głośno krzyknął. Gdy dołączyłem do niego,

ujrzałem rząd pojemników z kryształowymi wieczkami, stojących w wąskim przejściu. Nawet teraz nie potrafię tak po prostu opisać, co te pojemniki zawierały. Niech wystarczą moje słowa, iż ktoś, kto był odpowiedzialny za to, co w nich złożono, musiał być bestią, szaloną bestią, całkowicie pozbawioną ludzkich uczuć.

Przerazeni, szybko odbiegliśmy od pojemników. Zaczeliśmy uciekać. Byliśmy tak zaszokowani, że zapomnieliśmy o wszelkich środkach ostrożności. Gdybym już wcześniej nie nienawidził Kepty z całego serca, znienawidziłbym go teraz, na widok efektów jego bestialskich, nieludzkich eksperymentów.

Ruszyliśmy rampą do góry, chcąc jak najdalej uciec od przerażającego laboratorium. Nagle w kamiennej ścianie ujrzeliśmy niewielką wnękę, której nie dostrzegliśmy poprzednio. Wnęka kończyła się grubą kotarą. Gdy odrobine odsunąłem fragment ciężkiego materiału, z ukrytej za nim izby dotarły do mnie odgłosy rozmowy.

-Wygląda to więc właśnie tak, a nie inaczej, moja droga Thralo. Czy to jasne? - usłyszałem słodki, przesadnie uprzejmy głos Kepty.

Po chwili padła odpowiedź, udzielona drżącym głosem:

-Tak. Jasne.

-Zgodzisz się więc ze mną. że nasza nadzieja leży... Reszta wypowiedzi Kepty zagłuszona została przez odgłos jego kroków na posadzce. Oddalał się.

Nie czekając już ani chwili dłużej, szarpnąłem za kurtyne.

8. Przeznaczenie świata

-Garan! - zawtolała Thrala z radością, gdy tylko mnie ujrzała. Kepta odwrócił się i skrzywił usta w grymasie zaskoczenia i nienawisci.

-Do diabła! Myślałem, że...

-...że nie żyje, co Kepta? - dokończyłem za niego. - A jednak pomyliłeś się. Twój promień zabił kogoś innego.

-Thrana! - zawołała Thrala z przerażeniem.

-Nie. Jakiegoś stwora z zatoki. Na szczęście jego partner zrozumiał, że to ty jesteś zbrojca. Na twoim miejscu trzymałbym się odtąd z dala od Drog, Kepta. To znaczy o ile uda ci się cało przekroczyć próg tej komnaty. Jaka broń wybierasz? Czy chcesz walczyć ze mną na miecze, czy też wolisz walczyć gołymi rękami?

W odpowiedzi Kepta głosno się rozesmiał. Jego zaskoczenie w jednej chwili zniknęło.

-Czyzbyś uważał, że niższe się do walki z kims takim jak ty, żołnierzu? Jestem tutaj władcą, o czym się szybko przekonasz.

Postąpił w kierunku ściany. Nie był nawet potrzebny ostrzegawczy krzyk Thrali. Natychmiast skoczyłem za nim, jednak z góry stałem na straconej pozycji. Pod naciskiem dłoni Kepty ściana jakby rozplynęła się na ułamek sekundy, i już go nie było. A ja jedynie bolesnie odczułem zderzenie z twarzą powierzchnią. Padłem na kamienną posadzkę.

Walilibym z wściekłością w twarzą ścianę, gdybym od razu nie zdał sobie sprawy, że takie zachowanie nie ma sensu. Powstałem i zacząłem badać dłońmi jej powierzchnię, poszukując drzwi, przez które mogłbym przejść w pogoni za Władcą Koom.

-Nie! - Thrala odciągnęła mnie na środek komnaty. - Nie ma teraz czasu na twoją osobistą zemstę. Patrz!

Wskazała dłoń na okrągłą płytę, wmurowaną w kamienną podłogę. Na jej czarnej powierzchni lśniły drobne, jasne punkciki.

-Co to jest? - zapytałem.

-Przeznaczenie, które wkrótce dotrze do Kranda i nas wszystkich.

Jeszcze nigdy nie słyszałem w głosie Thrali takiej trwogi jak teraz.

-Nie rozumiesz? - zawołała. - Masz przed oczyma mapę niebios, gwiazdy i miliony światów, które wraz z nami dzielą wszechświat. Jeden z tych odległych światów niedawno wypadł ze szlaku swej wędrówki i szybkuje w przestrzeni prosto na Kranda, niczym potężny pocisk, wystrzelony przez bogów. Mielismy jeszcze do niedawna czas, żeby przed nim uciec... - Thrala zawahała się. - Moglibyśmy zmienić drogę, po której Kranda szybkuje w przestworzach, i spokojnie patrzeć, jak ogromna planeta, która powinna nas zniszczyć, mija nas z daleka. Kepta sprawił jednak, że straciliśmy te szanse, naszą jedyną szansę, potrzebował bowiem energii do swoich nieludzkich eksperymentów, dokonał więc strasznego czynu, którego Oświeceni przed wiekami przysięgli nigdy nie popełnić. Zagarnął mianowicie całą energię naszego słońca. To ona mogła sprawić, że umknelibyśmy przed uderzeniem zmierzającej teraz prosto ku nam planety. Jej brak powoduje, że nie mamy już tej szansy.

-Ale przecież Kepta musiał wiedzieć, co sprowadza na nas i na siebie...

Thrala rozesmiała się gorzko.

-Kepta jest mądry i sprytny. Nigdy nie wpadnie w te pułapki. Planuje w porę opuścić Kranda i znaleźć nowy świat, taki, który będzie mógł podbić dzięki swej mrocznej wiedzy, gdzieś daleko stąd. A Kranda pozostawi swemu losowi, strasznemu losowi, jaki na nią sprowadził.

-Ale przecież Oświeceni z całą pewnością... - zacząłem.

Thrala przypatrywała mi się przez chwilę. Powoli trwoga i przerażenie zaczynały ustępować z jej twarzy i wkrótce znowu stała przede mną spokojna, dzielna kobieta, która odważyła się odgrywać rolę Ili w pałacu przyjemności w Sotan. - Oboje powinniśmy się uspokoić, Garanie - powiedziała. - Nie mamy już czasu na puste dysputy i bezsensowne działania. Musimy wrócić do Yu-Lac i tam zrobić wszystko, co będzie w naszej mocy. Powinniśmy natychmiast wyruszyć, zanim pojawi się Kepta ze swymi ludźmi i nas zatrzyma.

-A więc wracajmy - zdecydowałem. - Całe Koom mamy w tej chwili przeciwko sobie. Mam nadzieję, że ci ludzie nie znają Drog Ciemności. Boję się jednak, że most...

-Przejdziemy go, jeżeli tylko uda się nam do niego dotrzeć - odezwał się Zacat. - Posłuchajcie tylko.

Poprzez grube mury zaczęły docierać do naszych uszu głuche odgłosy.

-Nadchodzi! - Thrala przywarła do mnie. - Kepta...

-Uciekajmy!

Pobieglismy przez laboratorium, mijając naczynia z zamkniętymi w nich monstrami, zmierzając do drzwi, które prowadziły z powrotem do Drog. Gdy znaleźliśmy się za drzwiami, Thrala musiała przywrzec do mnie całym ciałem, nie miała bowiem maski z soczewkami, pozwalającymi widzieć w mroku. Z tego powodu była jakby zupełnie ślepa.

Mimo że posuwaliśmy się najszybciej, jak to tylko było możliwe, wkrótce usłyszeliśmy za plecami odgłosy przybliżającej się pogoni. W pewnej chwili Thrala zatrzymała się. Ciężko oddychała i była tak zmęczona, że musiała oprzeć się dłonią o ścianę, aby nie upaść.

-Idźcie dalej sami - powiedziała z trudem. - Idźcie do Yu-Lac. Ja nie dam rady, nie jestem w stanie dotrzymać wam kroku.

Uśmiechnąłem się, choć zrozumiałem, że słowa Thrali zawierają ziarno prawdy.

-Nie masz racji, Thralo - oznajmiłem. - To jeden z nas musi tutaj pozostać, aby powstrzymać pościg. Zacat, ja zostanę, a ty uciekaj razem z Księżniczką.

-Czy nie rozumiesz, Garanie? Przecież to ja nie potrafię dotrzymać wam kroku! - zawołała Thrala. - Daj mi miotacz promieni...

Zdałem sobie sprawę, że w Thrali drzemie już tylko resztkę sił. Nie było na co dłużej czekać.

-Idźcie - powiedziałem do Zacata, wskazując jednocześnie na Thralę.

Zdecydowanie pokręcił głową, co zmusiło mnie do użycia ostatniego argumentu, jakim

dysponowałem.

-To rozkaz - oznajmiłem ostro. Uniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

-Jesteś moim dowódcą, więc muszę cię słuchać - odezwał się. - Nie pozostawiasz mi wyboru, nie pozostawiasz mi niczego, a odbierasz to, co mam najlepszego: dumę!

Odwrocił się i ruszył przed siebie, poruszając się powoli, jakby nagle postarzał się o wiele lat. Thrala popatrzyła na mnie.

-Ty idź także. Niech nie będę winna twojej śmierci. Uśmiechnąłem się.

-Trzy lata temu to przewidziałem, chociaż jeszcze wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Moim przeznaczeniem jest służyć ci, o Pani. Będę więc służył ci aż do końca.

Dzięki tobie miałem w życiu cel. I dzięki tobie też poznałem dobroć boga On, gdyż pozwolił mi jeszcze przed śmiercią udowodnić ci, jak wiele dla mnie znaczyłaś.

-Garanie! - zawołała Thrala. - Garanie, ponieważ zbliża się nasz koniec, koniec Krand, i wszystkie te głupie prawa nie będą już obowiązywały... Garanie, czy nic nie rozumiesz? Chcę, żebyś dowiedział się, że moje serce należy do ciebie! Przez trzy długie lata, przez wszystkie minuty, godziny i dni moje myśli podążały ku tobie. Należymy do siebie, Garanie, najdroższy!

I nagle rzuciła się w moje ramiona, jej usta poszukały moich ust. Zapomnieliśmy o Drogach Ciemności, o Kepcie i o Krand, całując się i tuląc do siebie. Thrala była moja! Moja! Jej delikatne, miękkie ciało tuliło się do mnie, jej piękne, jedwabiste włosy, które tyle razy pojawiały się w moich snach, teraz ocierały się o moje policzki.

-Czy to się musi skończyć w ten sposób? - szepnęła, oderwawszy swe usta od moich.

Nagle, na dźwięk jej słów, odezwała się we mnie ogromna chęć życia. Nie byłem już tym samym Garanem, który przed chwilą gotów był spokojnie przyjąć wyrok losu.

-Jeżeli dotrzemy do mostu... - złapałem Thralę za rękę i czym prędzej podążyliśmy w kierunku, w którym znajdowało się wybawienie.

Nasi przesładowcy najwyraźniej nigdy dotąd nie przemierzali Drog Ciemności. Najprawdopodobniej mrok, panujący tutaj, przeraził ich, pogoń bowiem zdecydowanie zwolniła tempo, tymczasem my, nagle tak sobie bliscy, poczuliśmy się, jakby wstąpiły w nas nowe siły. Przystawaliśmy tylko na krótkie minuty, żeby odpocząć, i natychmiast bieglismy dalej. Na ostatnim postoju zmusiłem Thralę, żeby włożyła mój ochronny kombinezon i pozostawiłem sobie tylko maskę z okularami, dzięki którym widziałem w mroku. Wkrotce owiał mnie chłodny wiatr, wiejący na Drogach, a przecież teraz, jeśli nie liczyć spodenek, byłem prawie nagi. Jednak najważniejsza była dla mnie Thrala; o siebie w ogóle nie dbałem.

Znowu posuwalismy sie przez ciemne tunele, wydrzone przez inzynierow pradawnej, dawno zapomnianej rasy. Gdy dotarlismy wreszcie do mostu nad zatoka, wkroczyłem na niego bez wahania i pociagnalem za soba Thrale. Teraz posuwalismy sie juz powoli, krok za krokiem, w ciemnosciach z trudem rozpraszanych przez moj miotacz promieni. Gdy pokonalismy zaledwie trzecia czesc drogi przez most, za naszymi plecami pojawily sie swiatla poscigu. Pogon zatrzymala sie u wejscia na most i wkrótce z glosnej dyskusji, ktorej fragmenty dotarly az do naszych uszu, zrozumielismy, ze ludzie Kepty uwazaja dalsza pogon za niebezpieczna dla siebie. W koncu od duzej grupy oderwala sie tylko jedna ciemna sylwetka, ktora zdecydowanym krokiem podazyla za nami.

-Kepta! - zawolala Thrala cicho.

Przez chwile zastanawialem sie, jaka Kepta moze miec przy sobie bron, a potem popchnalem Thrale do przodu, postanowiwszy zastosowac przeciwko wrogowi smiercionosne promienie, Kepta jakby nie zwazal na moje przygotowania, bez wahania postepowal w nasza strone z zimnym usmiechem na ustach. Jedno moje spojrzenie na jego zaciecie oblicze wystarczylo, abym zrozumial, ze pragnie naszej smierci i chce, aby nastapila ona tu i teraz. Ale pojalem tez, ze nienawisc zdera go tak bardzo, iz zblizac sie do nas, porzucil wszelkie srodki ostroznosci. Nie mial przy sobie zadnej broni, pragnal odebrac nam zycie poslugujac sie jedynie dlonmi; najprawdopodobniej chcial nas zepchnac z mostu.

Ruszylem w kierunku Kepty, widzac w jego nienawisci szanse dla siebie. Zatrzymawszy sie przed nim, odrzucilem maske, gdyz rowniez Kepta poslugiwal sie jedynie swym wlasnym wzrokiem, niczym nie wzmocnionym. Tak jak i ja, byl gotow do walki. W chwili, gdy bylo jasne, ze musi dojsc do starcia, siegnal reka za pas i w mgnieniu oka w jego dloni blysnela stal. Podstepny tchorz... Mial wiec bron, ktorej wczesniej nie zauwazylem!

Natarl na mnie z wsciekloscia, z jaka nigdy dotad sie nie spotkalem. Slina z jego ust, skrzywionych w szyderczym usmiechu, kapnela na moje ciało. Zdolalem jedna dlon zacisnac na jego rece dzierzacej miecz, a druga siegnalem mu do gardla. A jednak Kepta z Koom byl silnym i przebiegłym przeciwnikiem. Setki razy walczyłem wrecz, nigdy wszakze nie stawalem przeciwko komus, kto bylby obdarzony tak ogromna sila.

Spyrt dorownywal jego mocy. Probowalem sztuczek, ktore natychmiast odnioslyby skutek w walce z wielu innymi przeciwnikami; Kepta nic sobie nie robil z moich atakow. Wkrótce Isniacy pot okryl nasze ciała, jego krople kapaly nam na oczy. W pewnej chwili Kepta uwolnil sie z mojego uscisku i poteznie uderzyl mnie w brzuch. Zamierzyl sie raz jeszcze i gdyby ten cios mu sie udal, byloby zapewne po mnie. Uniknalem go jednak i natychmiast przywarlem do Kepty calym ciałem, uniemozliwiajac mu zadanie mi kolejnych ciosow. Ujrzałem, ze przez jego twarz przebiega jakby cien, po czym wszelka zlosc zniknela z jego policzkow. Silowal sie teraz ze mna tylko po to, zeby sie ode mnie uwolnic, a potem zaatakowac taka bronia, jaka sam wybierze. Zrozumial, ze w starciu wrecz nie zwyciezy ze mna. Wyrwal mi sie po chwili i nie bylem w stanie temu zapobiec.

Potknął się jeszcze, ale zaraz szybkim krokiem zaczął oddalać się do miejsca, w którym most się rozpoczynał. Nie było sensu gonić go. Oparłem się o ciężki łańcuch i przez chwilę ciężko oddychałem.

-Garanie!

Z wysiłkiem uniosłem głowę.

-Cofnij się! - zawolałem. - Włóż maskę i uciekaj! On chce nas zniszczyć promieniami.

Thrala nie posłuchała, lecz przybiegła do mnie.

-Ale mu się to nie uda - odparła z mocą. - Popatrz, jak przepowiedziałeś, zemsta wypłynie z zatoki!

Wysilek, jaki włożyłem w walkę z Kepta, sprawił, że wciąż jeszcze wszystko widziałem jak przez mgłę. Zdolałem jednak ujrzeć srebrzyste sylwetki, które wylonily się z mroku. Przepłynęły nad nami trzepocząc w powietrzu wielkimi skrzydłami i wkrótce zniknęły nam z oczu. Przypominały wielkie strzały, nieuchronnie sunące w pogoni za Kepta.

Nie mogliśmy zobaczyć, co się stało kiedy go dopadły. Dotarły jednak do nas wstrzasające okrzyki strachu i krancowego przerażenia. Świadczyły one aż nadto wymownie o tym, że srebrne ptaki wyegzekwowały od Kepty to, co się im należało. Władca Koom znalazł wreszcie swój kres.

Wkrótce ptaki przefrunęły nad nami w drodze powrotnej, nawet nas nie zauważając. Patrząc za nimi odniosłem wrażenie, iż jeden z nich trzyma w szponach bezwładną sylwetkę. A może się myliłem?

Byliśmy przekonani, że już nigdy nie ujrzymy srebrnych ptaków, kiedy niespodziewanie nad naszymi głowami pojawił się jeszcze jeden, przez chwilę krążył w powietrzu, po czym nagle zanurkował i usiadł na moście. Już po raz trzeci dziwne, wielkie, purpurowe oczy wpily we mnie spojrzenie.

-Tak więc, człowieku, osiągnawszy to, czego pragnąłeś, powracasz do zewnętrznego świata? A jednak nie powinienes za nim tesknic. My także potrafimy czytać ostrzeżenia, które są ukryte między gwiazdami. Potrafimy opuścić Krand, niczym stara, bezużyteczna skorupa. I musimy to uczynić. Zegnaj, człowieku.

Ptaka uniosł się i szybko zniknął w ciemnościach. Znowu byliśmy sami.

Kiedy staliśmy, niemal nie poruszając się, przez długie chwile, starając się uspokoić i myśli, i oddechy, wokół panowała niczym nie zmacona cisza. I wtedy do naszych uszu dotarły czyjeś okrzyki.

-Nadchodzi pomoc - stwierdziłem. Odniosłem wrażenie, że Thralla zadrzała i zmienił się wyraz jej twarzy, jakby wrocila na nią jakaś maska. Odwróciła się w kierunku zbawczych odgłosów i ruszyła ku nim powoli, jakby z niechęcią.

Szliśmy razem, ramię w ramię, a ja co jakiś czas podnosiłem głos, odpowiadając na docierające z mroku okrzyki. Po niedługim czasie ujrzelismy słabe blaski, z każdą chwilą wyraźniej docierające do naszych oczu.

Tymczasem Thralla zamiast na ich widok przyspieszyć kroku, jeszcze bardziej zwolniła. Spojrzała na mnie, ja jednak nie potrafiłem zrozumieć cienia, jaki się czaił w jej wzroku. Zdawało mi się, że owiewa ją jakiś dziwny chłód. A mnie wypełniała ogromna radość. Czyż nie należała do mnie? Wkrótce ujrzelismy Zacata, Anatana i Thrana, stojących w miejscu, w którym brakowało pękniętego końca mostu. Trzymali liny, dzięki którym wraz z Thralla mogliśmy w miarę bezpiecznie zejść na stały twardy grunt. Pierwsza po drugiej stronie znalazła się właśnie ona; kiedy ujrzałem ją bezpieczną w ramionach Thrana, obwiązałem się w pasie linami i skoczyłem. Gdy stanąłem przy Anatanie, Gorlianczyk od razu zapytał mnie:

-Co z Kepta?

-Zajęły się nim stworzenia, do których należą przestworza nad tą zatoką.

-Jest pan ranny! - Anatan ujrzał krew na moim tułowiu.

-To tylko zadrapania.

Thran jednak uważnie je obejrzał i opatrzył czystymi skrawkami jedwabiu. Następnie podał mi zapasowy kombinezon i polecił go włożyć. Mój wzrok przez cały czas utkwiony był w Thralli, stojącej obok Analii. Byłem coraz bardziej zaniepokojony, gdyż Thralla wyraźnie unikała mojego spojrzenia.

-A więc Kepty już nie ma - stwierdził Thran, kiedy zapiałem pas.

-Tak. Zginął straszna śmiercią. - Opisałem mu skrzydlate stworzenia z zatoki.

-Nie ma Kepty - zdumiał się Gorlianczyk. - A więc tyrania w Koom skończyła się. Teraz musimy myśleć o Krand.

Ujrzałem, jak Thralla podnosi głowę.

-Tak - odezwała się. Jej głos był silny, chociaż jej usta drżały. - Teraz musimy myśleć o Krand.

9. Ucieczka

Maszerowaliśmy szybko. Teraz, gdy wiedzieliśmy, jaki szmat Drog Ciemności mamy do pokonania, tym bardziej pragneliśmy jak najszybciej znaleźć się na powierzchni. Nie wątpiłem, że musi istnieć jakiś sposób uniknięcia nadchodzącej katastrofy. Sylwetki znad zatoki potrafiły przecież uciec, a Thralla powiedziała nam, że przygotowania Kepty do lotu, który miał zabrać go z Krand, były prawie zakończone. Czy było jednak możliwe, aby planecie opuścili wszyscy? To, co potrafił Kepta, moglibyśmy chyba uczynić i my, jeżeli los podaruje nam dość czasu. Tak więc jedna część mojego umysłu była zajęta rozważaniami o ucieczce przed przeznaczeniem, a druga wciąż rozpamiętywała te chwile, gdy Thralla i ja, dzięki wielkiej miłości, unikneliśmy śmierci. Wspominając je, nie potrafiłem zrozumieć teraz przyczyny okrutnego chłodu mojej wybranki. Spieszyła do przodu, pilnując, aby Analia wciąż była przy jej boku, podczas gdy ja co jakiś czas musiałem dokładnie i wyczerpująco odpowiadać na pytania Thrana, których ten mi nie szczędził.

Jeśli chodzi o niego, to wkrótce po rozdzieleniu się z nami dotarł do dziwnej, błotnistej kotliny, w której wśród gigantycznych grzybow żyły okropne stworzenia. Thrana i jego towarzysze z wielkim trudem odparli kilka ich napasci. Kiedy jednak stwierdzili, że poza tymi stworzeniami niczego interesującego nie napotkają, zawrócili i ruszyli naszą trasą. Na skraj mostu dotarli akurat w chwili, w której Zacat szykował się do skoku.

Wreszcie doszliśmy do korytarza, który pozwolił nam wydostać się z Drog Ciemności. Wkrótce przechodziliśmy przez sale, gdzie tancerki z Qur wystukiwały swój dziwny i groźny rytm. Pałac przyjemności stał cichy i opuszczony. W każdej z komnat odnajdywaliśmy ślady, świadczące, że opuszczano je w wielkim pośpiechu. Nigdzie jednak nie napotkaliśmy żywej duszy.

Znow Analia przeprowadziła nas przez tajemne przejścia, ukryte w ścianach, tym razem wyprowadzając nas pod ziemię aż do cesarskich ogrodów. Wyjście to wykonane zostało na rozkaz Thralli, w czasach, gdy zrodził się szalony pomysł wykorzystania pałacu przyjemności w zmaganiach z Kepta.

Była noc, kiedy wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Niedawny deszcz sprawił, że z ziemi parowała wilgoc. Uradowałem się, mogąc znowu oddychać świeżym powietrzem mojego świata. Nikt z nas nie miał pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy go opuściliśmy.

Rozpoczelismy szybki marsz przez ogrody, Thrana postanowił bowiem, iż bez chwili zwłoki udamy się do Cesarza i opowiemy mu o wszystkim, co nas spotkało. Kiedy dotarliśmy do pałacu i zagłębiliśmy się w jego korytarze, starannie unikał tych przejść i pomieszczeń, w których moglibyśmy kogokolwiek napotkać.

Wreszcie zapukał do drzwi komnaty cesarskiej, i nie czekając na odpowiedź z drugiej strony, otworzył je. W ten to bezceremonialny sposób cała nasza grupa znalazła się na posiedzeniu rady. Ujrawszy Thrallę, Cesarz z okrzykiem na ustach zerwał się na nogi. Po chwili wszyscy uczestnicy posiedzenia stłoczyli się wokół nas, domagając się błyskawicznych odpowiedzi na beładnie rzucane pytania.

Gdy minal początkowy rozgardiasz, Thran zaczął opowiadać naszą historię. Ja jednak prawie go nie słuchałem, bacznie przyglądając się Thralli. W momencie, w którym opowieść dobiegła końca, usłyszałem jednak głębokie westchnienie Cesarza.

-A więc tak to było... Coż, niech się Kepta raduje, że nie musi stawac przed obliczem rady, chociaż spotkał go los straszliwszy, niż my byśmy mu zgotowali, o ile wasza opowieść jest szczerą prawdą. Nie musimy już martwić się o Koom. Pozostaje sprawa klęski, która przygotował nam jej władca. To dzieło szalenca, nie możemy jednak dopuścić, żeby z jego powodu oszalało ze strachu całe Krand. Musimy żyć tak jak dotychczas, w sekrecie przygotowując się do tragicznego końca i szukając sposobów jego uniknięcia. Ile czasu nam zostało, corko? - zwrócił się do Thralli.

-Kepta mówił, że miną trzy miesiące, zanim nadejdzie najgorsze.

-A więc mamy tak mało czasu? Oznacza to, że musimy natychmiast przystąpić do pracy. Rada będzie obradowała jeszcze przez dziesięć godzin, a gdy ustalimy plan działania, natychmiast spotkamy się tutaj wszyscy ponownie.

Na tym chwilowo skończyła się nasza rola. Thralla i Analia wyszły z sali bocznymi drzwiami, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Zaczat, Anatan i ja udaliśmy się pośpiesznie do mojej kwatery. Thran pozostał przy Cesarzu.

Znalazszy się w zaciszu swego apartamentu wykapalem się, a potem rzuciłem się na łóżko. Długo leżałem z otwartymi oczyma i rozmyślałem. Moją umysł nie potrafił ogarnąć tych wszystkich problemów, przed którymi stanąłem. Gdy wreszcie zasnąłem, męczyły mnie koszmary.

Na drugim nadzwyczajnym posiedzeniu rady spotkaliśmy tych wszystkich Oswieconych, którym ufał Cesarz, oraz pewnych przedstawicieli innych kast, również uznanych za godnych zaufania. Przez dobre cztery godziny najmądrzejszy astronom Krand wykladał wiedzę na temat tego, co nas zniszczy, i na temat innych światów.

Już w przeszłości udowodniono, że na żadnej z dwóch planet, które wspólnie z naszą znajdują się w naszym układzie słonecznym, nie może istnieć życie. Mogło ono jednak z całą pewnością istnieć w innych systemach słonecznych.

Jeden z nich, odległy od nas o kilkaset lat świetlnych, kusił dziewięcioma planetami, z których jedna powstała bardzo niedawno. Ten właśnie nowy świat powinien być naszym celem.

Kiedy wstępnie zaakceptowano propozycję astronoma, rada zwróciła się do mnie, pytając o statki kosmiczne. Wiedziałem, jak niewielką dysponuje wiedza w porównaniu z Oswieconymi, a jednak odezwałem się:

-Przyspieszenie, potrzebne do wyrwania statku międzyplanetarnego z atmosfery Krand,

zabije jego pasazerow, zanim zdolaja przedostac sie do przestrzeni kosmicznej. Musi to byc statek, dzialajacy calkowicie inaczej, niz te, ktorymi do tej pory sie poslugujemy, zupełnie inaczej skonstruowany, zbudowany z innych materialow.

Thran skinal glowa.

-Ale zrodlem energii juz dysponujemy - powiedzial.

-Jakim?

-Tym samym, jakiego uzywal Kepta. Energia sloneczna.

Pozostali odsuneli sie nieco od niego

-Czyzbys chcial zlamac pradawna przysiege? - zapytal Cesarz cicho.

Thran rozejrzal sie po zgromadzonych.

-Musimy stawic czola temu, co nas czeka. Dla Krand i wiekszosci jej mieszkancow nie ma przyszlosci. Dla garstki, tylko garstki, ktora zostanie spomiedzy nas wybrana i gdzieś hen, daleko, odbuduje nasza rase, istnieje przyszlosc. Jeden jedyny statek, uwzgledniajacy w swej konstrukcji wszystkie zalozenia, o ktorych wspomnial Lord Garan, to wszystko, co w czasie, ktory nam pozostal, potrafimy zbudowac. Statek poruszajacy sie dzięki energii slonca jest w stanie wyrwac sie z atmosfery Krand z zywymi pasazerami. Pytanie, ktore stoi przed nami, brzmi: czy rzucimy sie, z calym naszym swiatem, do morderczej pracy, ktorej efektem bedzie ratunek jedynie dla niewielkiego ulamka sposrod nas? Ktoz odwazy sie wskazac na osoby, dla ktorych powinna poswiecic sie cala Krand?

Cesarz popatrzył na ubranego w biale szaty mezczyzne, siedzacego po jego prawej stronie, Wielkiego Kaplana Swiatyni Wiedzy. Ten wygladzil na sobie szate i podniosl wzrok. Jego starcze oczy zdawaly sie wpatrywac daleko w przyszlosc.

-To bog On wskazal nam te droge. Czyzbysmy byli zbyt strachliwi, aby podazyc jego sciezka? - zapytal wolno. - Jezeli ci, ktorzy udadza sie na nowa planete, beda tego godni, nasz rodzaj spelni zadanie, jakie przed nim postawiono. Mowie wam jednak, ludowi Krand, dni Oswieconych przeminely. To grzech jednego sposrod Oswieconych sprowadzil na Krand katastrofe, i dlatego podczas tych ostatnich dni, jakie nam pozostaly, nie mozemy juz sie dzielic na kasty z ta mysla, ze Oswieceni stoja dumnie ponad wszystkimi, lecz musimy byc dla siebie bracmi i siostrami, wytezajacymi wszystkie sily dla osiagniecia wspolnego celu.

Przez sale przebiegl szmer, a moje serce zabilo szybciej. A wiec znikaly bariery, zabraniajace Thralli nalezec do mnie! Moglem obwiescic calemu swiatu, co wyznalismy sobie z Thrala, kiedy smierc zagladala nam w oczy.

-Lordzie Garanie... - z wysiłkiem powróciłem myślami do sali i popatrzyłem na Cesarza. - Lepiej niż ktokolwiek z nas pojales tajniki konstrukcji pojazdów powietrznych. Oddaje ci pod komendę wszystkich naszych fachowców. Od czego zaczniemy?

-Zyje na Krand pewien człowiek, niejaki Hay-Leen, który przez ostatnie dwa lata prowadził eksperymenty, związane z możliwościami odbywania lotów międzyplanetarnych. Udalo mu się wysłać raketę na sąsiednią planetę, Soyu. Będziemy musieli powierzyć mu wszystkie tajemnice...

-Ufasz mu? Zawahałem się.

-Wiem o nim bardzo mało. Właściwie interesowałem się jedynie jego pracą. Od roku co miesiąc informował mnie o postępach w swych pracach. Nie mam jednak na jego temat żadnych osobistych danych. Ale uważam, że jest w tej chwili jedyną osobą na Krand, która może rozwiązać nasz problem.

-Hmm - Cesarz na moment zacisnął usta. - Lordzie Zacat, co dzieje się w kopalniach Ru? Czy jesteś w stanie zwiększyć ich produkcję, powiedzmy, podwoić wydobycie w ciągu następnego miesiąca?

-Daj mi, Panie, wolną rękę, a zrobię wszystko, co w mojej mocy - odparł Zacat ostrożnie, jednak jego odpowiedź najwyraźniej zadowolila Cesarza.

-Pozostaje nam więc wybrać jakieś spokojne i odludne miejsce, odpowiednie do budowy statku międzyplanetarnego, i przystąpić do pracy. Lordzie Garan, czynię cię odpowiedzialnym za budowę tego statku. Lordzie Zacat, otrzymasz nowe zamówienia dla Ru. Z pomocą boga On rada nasza będzie spotykała się codziennie, do samego końca. Czy jesteśmy zgodni, moi Panowie?

Jeden po drugim członkowie rady skinieniem głowy poparli słowa Cesarza. Sprawa została więc postanowiona.

Następny miesiąc był koszmarem, okresem niewiarygodnie ciężkim dla wszystkich spośród nas - kroki, które Kepta podjął przed śmiercią, sprawiały, że nieustannie groziły nam rebelie i bunty, tak że zajęty byłem nie tylko jako budowniczy statku, ale też jako Marszałek Cesarskiej Floty Powietrznej. Gdyby nie pomoc Anatana, na którego z każdym dniem zrzucałem coraz więcej obowiązków, nigdy nie zdołałbym wypełnić swych zadań.

Młody Aholianczyk w tym krótkim czasie spowazniał i wydorósł. Był gotów wypełniać moje rozkazy o każdej godzinie dnia i nocy. Pomoc, jakiej mi udzielał, i sympatia, jaka go darzyłem, nie były jedynymi przyczynami, dla których starałem się, aby zawsze był przy mnie. Tylko za jego pośrednictwem mogłem otrzymywać nowe wiadomości o Thrali.

Analia, jego siostra nadal była damą dworu Thrali i ciągle przebywała w otoczeniu Księżniczki. Przez cały ten miesiąc osobiście nie spotkałem Thrali ani razu.

Pewnego wieczoru siedziałem samotnie w moim apartamencie, zapoznając się z raportami z Ru, zawierającymi osobiste uwagi Zacata, gdy przybył do mnie Anatan. Położył przede mną małą metalową skrzyneczkę, jedną z tych, w jakich na Krand przesyłaliśmy wiadomości. Zwoj jedwabiu, który z niej wyciągnąłem, zawierał tylko jedno zadanie: "W grocie o wschodzie księżycy."

Na zwoju nie było żadnego podpisu.

-Skąd to masz? - zapytałem.

-Od Analii - usłyszałem krótką odpowiedź.

Zrozumiałem natychmiast, kto jest nadawcą wiadomości, szybko schowałem jedwab do kieszeni. Anatan przez dłuższą chwilę stał przy mnie, z wyrazem niezdecydowania na twarzy.

-O co chodzi? - zapytałem. Rozłożył ręce w geście bezradności.

-To nie jest w porządku! - zawołał i natychmiast wybiegł z pokoju. Zorientowałem się, z jakim trudem te słowa przeszły mu przez gardło.

Zastanawiając się, co spowodowało jego wybuch, podszedłem do okna. Księżyc miał wjeść gdzieś moment, dlatego moje serce już teraz biło jak oszalone, oczekując spotkania z ukochaną. Jak błyskawica zbiegłem po schodach.

Mój prywatny latacz dotknął palacowego lądowiska po krótkim locie i kiedy zatrzymałem go w miejscu, natychmiast opuściłem kabine i pobiegłem przed siebie, powtarzając w myślach hasła dla wartowników. W ogrodzie wiał chłodny wiatr, który sprawił, że tej nocy z taką jasnością jak nigdy uswiadomiłem sobie, jaki los czeka planetę. Zadrzałem; nie wiem, z zimna czy ze strachu. O tragedii, jaka nas czeka, rozmyślałem, poszukując groty, w której już niegdyś spędziłem niezapomniane chwile z Thrala.

Było wcześnie i nikt jeszcze na mnie nie czekał. Plonąc z niecierpliwości, spacerowałem w te i z powrotem, ukryty w cieniu drzew. Na szczęście nie musiałem długo czekać. Wkrótce z cienia wylonila się sylwetka, którą znałem tak dobrze.

-Thrala!

Moje ramiona objęły ją, moje usta poszukały jej cudownie słodkich ust. Po chwili jednak moja ukochana uwolniła się z moich objęć.

-Co ja zrobiłem złego, najdroższa? Przestraszyłem cię? Potrząsnęła przecząco głową i w tej chwili w blasku księżycy ujrzałem, że po jej policzkach toczą się łzy.

-To wszystko moja wina, Garanie...

-Pewnie jesteś zmęczona - przerwałem jej szybko.

-I jeszcze zadałaś sobie trud, żeby się ze mną spotkać. Och, jaki jestem okrutny...

-Nie, nie! - zawołała z rozpaczą w głosie. - Jakże mam ci to powiedzieć?

Dłonie zacisnęła w pięści, a łzy jeszcze szybciej popłynęły po jej policzkach. Trwało to długi czas, po którym odetchnęła, jakby zapanowała nad sobą.

-Garanie, nie uczyniłaś niczego, co nie byłoby prawe, piękne i dobre. Oboje będziemy o tym pamiętać, kiedy... - głos zamarł jej w gardle.

Zadrzałem, gdyż w tej chwili zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej być szczęśliwym człowiekiem.

-Co chcesz powiedzieć, Thralo? - zapytałem najłagodniej, jak potrafiłem. - Nie bój się, ukochana, powiedz mi to.

-Garanie, nie ode mnie zależy moje życie i moje uczucia. Nie wolno mi samej wybierać własnej drogi. Postanowiono, że dla dobra Kranda należeć będę do Thrana. Czuje w tej chwili całą okropność swego grzechu. Należałam bowiem do Thrana już wtedy, gdy na Drogach Ciemności wyznawałam ci miłość. Należy do niego od dnia, w którym wrociliłam ze Świątyni Światła. Potęp mnie teraz, Garanie, i będziesz miał rację. Ukochany, postąpiłam wobec ciebie tak okrutnie!

Czulem, jak moje ciało przeszywa chłód.

-Należysz do Thrana? - zapytałem głuchym głosem. - Całym sercem?

Wysoko uniosła głowę.

-Nie, i nigdy tak się nie stanie. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam cię w lataczu mojego ojca, gdy spotkały się nasze oczy, zadrzało moje serce i zrozumiałam, że nigdy nie pokocham nikogo, oprócz ciebie. Jesteś moim, Garanie, i ja należę do ciebie; jedynie okrutne prawa tego świata nas rozdzieliły. Kiedy pojąłam, że przeznaczony mi jest Thran, w nieskonńczoność opóźniałam przyjęcie jego oświadczenia, miałam bowiem nadzieję, że zły los jednak mnie opuści. A gdy staliśmy oboje wśród Drog Ciemności, czując nadciągającą śmierć, postanowiłam wyznać ci swe uczucia. Wyrwalismy się jednak śmierci, chociaż dla naszego wspólnego dobra powinniśmy byli zginąć. Dzisiaj zapadło postanowienie, że Thran poprowadzi lot ku obcej planecie i ja polecę z nim. Mój obowiązek jest okrutnie prosty: muszę odrzucić miłość. Odrzucić, Garanie...

Jej głos był coraz cichszy i w końcu zupełnie umilkł. Osunęła się na ławkę i rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w drzewa, które maskowały naszą kryjówkę. Rozesmiałem się cierpko, a gorycz, która zabrzmiała w moim śmiechu, dotarła nawet do moich uszu.

-A wiec zolnierz jest juz niepotrzebny i wy, Oswiecen, o tym zadecydowaliscie. A jesli tym razem sie nie podporzadkuje? Jezeli bede dochodzil swoich praw do tego, co mi sie nalezy?

-Garanie! - w jej glosie zabrzmiala nowa sila. - Garanie, bylam dla ciebie okrutna, nie skazuj mnie jednak na to, bym do konca swych dni wspominala te chwile z przykroscia. Z mojej winy nasza milosc jest niespelniona, ale takim postepowaniem bys ja jedynie zniszczyl.

-Przepraszam cie, Krolowo. Juz nigdy nie przyjdzie mi do glowy mysl o sprzeciwie. Garan powroci na swe wlasciwe miejsce.

Wyrzeklszy te slowa odwrocilem sie i opuscilem ja, starajac sie nie slyszec jej glosnego szlochu. Ogarnela mnie szalencza nienawisc do wszystkich i wszystkiego; caly swiat widzialem w tej chwili przez czerwona mgle nieopisanej zlosci.

Gdy znalazlem sie z powrotem w swojej kwaterze, nieprzytomnym wzrokiem zaczalem wpatrywac sie w sciany. Przez cala noc nerwowo krazylem po sypialni. Kiedy nadszedl ranek, bylem juz spokojny. W ciagu tych kilku gorzkich godzin cos we mnie umarlo, zginela mlodosc oraz chec i radosc zycia.

Dni, ktore mi pozostaly, przezywalem spokojnie, odbierajac wszystko z obojetnoscia i mechanicznie wykonujac swoje obowiazki. Moi eksperci w pocie czola pracowali na pustkowiach Cor, gdzie kadlub statku miedzyplanetarnego powoli nabieral ksztaltow. Zaczal dokonywal niemal cudow w Ru; docieraly do nas stamtad niezliczone wieści o jego heroizmie, ale i o bezwzglednosc. Anatan przez caly czas krazil wokol mnie, uwaznie przygladajac mi sie oczyma, w ktorych widnial gleboki smutek. A ja mimo to przez caly czas bylem samotny.

Rada zadecydowala, ze wyslemy wiazke skondensowanej energii w kierunku planety, ktora miala byc celem naszego statku. Tym gigantycznym tunelem czystej energii mial wlasnie, niczym pocisk, poleciec statek miedzyplanetarny i bezpiecznie dotrzec na miejsce przeznaczenia. Niewidzialne sciany tunelu mialy chronic podroznych przed wszelkimi przeszkodami, przede wszystkim niebezpiecznymi meteorami. Taka byla teoria... Niestety, nie mielismy mozliwosci wyprobowania jej w praktyce. Zblizajaca sie katastrofa niczym wielki mlot wisiala nad naszymi glowami, nie pozwalajac ani na chwile o sobie zapomniec.

Trzy tygodnie przed koncem zwolana zostala w Yu-Lac wielka konferencja. Nie mozna juz bylo ukrywac dluzej przed mieszkancami losu Krand. Kres planety wlasciwie juz nadszedl. Rozpoczely sie erupcje wulkanow, trzesienia ziemi i pozary, nasilajace sie z kazdym dniem.

Kolejnej nocy spotkalismy sie, aby wybrac tych, ktorzy mieli poleciec w przestrzen z zadaniem ocalenia naszej rasy. Thran i Thrala siedzieli obok siebie, a przed Lordem Gorl lezala lista z imionami. Bylo jasne, ze na statek moga wsiasc tylko mlodzi i sprawni ludzie, dajacy nadzieje, ze przetrwaja trudy podrozy miedzyplanetarnej. Tylko kilkoro sposrod

zgrupowanych spełniało te wymagania. Wszyscy z uwagą zaczęli przysłuchiwać się głosowi Thrana.

Czytał imię po imieniu. Ucieszyłem się, gdy usłyszałem, że wybrani zostali także Anatan i Analia. Wkrótce usłyszałem również swoje imię. Jednak kiedy Thran skończył, wstałem i odezwałem się:

-Lordowie, wycofajcie z listy moje imię.

-Ależ, potrzebujemy cie...

Nie pozwoliłem Thranowi dokończyć:

-Z żołnierza takiego jak ja miałbyście niewielki pożytek w nowym świecie. Pozostane tutaj, gdyż pragnę walczyć z paniką i nieporządkiem ostatnich dni. Nie polece z wybranymi. Należy do Kranda i na Kranda pozostane aż do jej kresu.

Popatrzyłem na Thralę. Nie było już we mnie gorczy i nienawiści, więc nawet się do niej uśmiechnąłem. Ujrzałem, jak dłoń dotyka swych ust, a potem posyła mi pocałunek. Byłem zadowolony.

Mimo iż usiłowano wpłynąć na mnie, abym zmienił swoją decyzję, podtrzymałem ją. Anatan pozostałby ze mną, gdybym na siłę nie wcisnął go do latacza, zmierzającego ku odludnemu Cor i statkowi. W ostatniej chwili podeszła do mnie Thrala.

-Ukochany - powiedziała - pamięć o tobie będzie dla mnie cenniejsza niż wszystkie skarby, jakie zdolalabym sobie wyobrazić. Zegnaj cię. Obysmy się pewnego dnia znów spotkali.

Nie zważając na to, że obserwuje nas wiele osób, złożyła pocałunek na moich ustach.

Wkrótce odlecieli, a my staliśmy na pasie startowym, długo wpatrując się w czarną plamę latacza znikającą w oddali. Z zadumy wyrwał mnie Zacat. Podeszedł do mnie z wyciągniętą dłonią i ze smutnym uśmiechem na twarzy.

-Byles wspaniałym przyjacielem, Garanie - powiedział. - Kiedy znów się pewnego dnia spotkamy, poza gwiazdami, będziemy mieli wiele wspólnych wspomnień. A teraz zegnaj.

-Dokąd się udajesz? - zapytałem.

-Z powrotem do Ru. Jestem żołnierzem i pragnę do końca pozostać na swoim posterunku.

Minęło kilka minut i jego latacz odleciał w kierunku Ru. Zostałem sam.

10. Ciemność

Staliśmy na koronie najwyższej spośród wież obserwacyjnych, znajdujących się w Yu-Lac.

Całym ciałem przywieralem do kamienia, ktorego chlod czulem przez plaszcz. A moze to jedynie we mnie tkwil chlod, spowodowany pewnoscia zblizajacej sie smierci?-Nadchodzi!

Czy powiedzial to glosno Cesarz, czy tez slowo to powstalo tylko w mojej wyobrazni?

A jednak... Za szczytami odleglych gor ujrzałem lune, z kazda chwila coraz bardziej czerwona. Uslyszalem wstrzasajacy pomruk. Spod moich stop docieraly az tutaj odglosy paniki, szybko opanowujacej ulice miasta. Bylem bezsilny, a jednak nie chcialem jeszcze wierzyc, ze bog On zezwolil na tak straszliwa zaglade.

Zatkalem rozpaczliwie i w tej samej chwili Cesarz objal mnie ramieniem. Zewszad docieraly do nas odglosy ginacego swiata.

-Badzmy dzielni do konca, synu - powiedzial Cesarz.

-Tak, badzmy dzielni do konca.

Powoli, ramie przy ramieniu, zaczelismy schodzic po waskich schodach w dol. Na ulicy rozdzielilismy sie. Cesarz podazyl do swoich obowiazkow, ja do swoich.

Jako zolnierz zdawalem sobie sprawe, ze od tej chwili do samego konca powinienem uzywac wszystkich sil, jakimi tylko bede dysponowal, aby utrzymac jak najwiekszy spokoj wsrod mieszkancow Yu-Lac. Zdawalem sobie sprawe, jak trudna i niewdzieczna jest moja rola. I wlasciwie nie do spelnienia. Musialem jednak probowac.

Ludzie gromadzili sie doslownie wszedzie - przerazeni, zrozpaczeni. Niektorzy swoja rozpacz wyladowywali w bezsensownych aktach przemocy, grabiezach, gwałtach. Z duma stwierdzilem, ze zolnierze nie poddaja sie powszechnej panice, ze podejmuja nadludzkie wysilki, aby zapanowac nad chaosem. W swej wedrowce na stanowisko dowodzenia musialem uzywac lokci, aby w miare szybko poruszac sie ulica. Pod scianami domow migaly mi sylwetki osob, ktore sie modlily. Nie mialem teraz ochoty na modlitwe, nie chcialem nawet o niczym rozmyslac. Trudno mi bylo jednak uwolnic sie od wspomnienia o Thrali i natretnej mysli o tym, ze zmierza ona teraz ku nowej, obcej planecie, aby rozpoczac nowe zycie, w ktorym dla mnie i tak nie byloby miejsca. Tkwily we mnie zaledwie resztki wiary, iz bog On wynagrodzi mnie nowa egzystencja, taka, w ktorej pewnego dnia, w innym czasie i innym swiecie, znow napotkam moja ukochana. A wowczas zadna sila - ani boska, ani ludzka - juz nas nie rozdzieli.

Z tym postanowieniem dotarlem na stanowisko dowodzenia. Wiedzialem, ze moja praca nie ma juz sensu, ze po kazdej zbrodni, ktorej sprawca zostanie ukarany, i tak nastapi wiele kolejnych. A jednak musialem do konca wypelniac swoje obowiazki.

Kilka nastepnych dni bylo koszmarem. Przez caly czas, nie dzielac go ani na dni, ani na noce, wypelnialem swoje powinności. Odnioslem wrazenie, ze wszelkie formy zorganizowanego zycia na Krand zaniknely. Ludnosc doslownie dziczala. Wiekszosc

budynkow ograbiono, niektore nawet podpalono. Nie bylo juz mozliwosci arestowania nikogo; otworem staly wszystkie wiezienia. Wykonywalismy wylacznie kary smierci, i to tylko wobec zloczyncow, ktorzy zostali schwytani na miejscu przestepstwa. Nieliczni tylko wykonywali jeszcze normalnie swoje obowiazki: zolnierze, policjanci i wiekszosc Oswieconych, Kto nie chcialby wierzyc, jak ogromne zlo uczynil Kepta, powinien byl w tych dniach znalezc sie w Yu-Lac.

W kolejnym, czwartym dniu pracy bez chwili wytchnienia doszedlem do wniosku, ze jezeli nie przepie sie przez kilka godzin, zasne na stojaco. Godziny wypoczynku postanowilem spedzic w Palacu Cesarskim. Z trudem przedostalem sie do latacza. Na szczescie udalo mi sie wystartowac.

Lot nad ginaca planeta byl koszmarem. Wszystko bylo mi juz obojetne. Watpilem, czy powroce jeszcze do swych obowiazkow. Chwila ostatecznej zaglady zblizala sie nieodwolalnie.

Nagle moj latacz wpadl w okropna wichure, zmierzajaca naprzeciwko mnie. Jeszcze chwila i przestal byc mi posluszny. Maszyna stala sie tylko pileczka, podrzucana przez kolejne podmuchy. Spadajac w dol, przypiety pasami do swego fotela, zupełnie bezsilny, widzialem przez przednia szybe na zmiane ziemie i niebo, ziemie i niebo, ziemie i niebo... Wkrotce nie bylo juz wokol ani nieba, ani ziemi, a tylko bezkresna ciemnosc. Zupelnie nie kontrolowalem swego lotu. Bylem zabawka w rekach zywiolu, bylem czlowiekiem, czekajacym na smierc. Nie moglem juz oddychac, niczego nie widzialem, i w tej ostatniej chwili oczyma wyobrazni ujrzałem tylko Thrale, moja ukochana, wymarzona Thrale.

Dluga chwile milczelismy, Lady Thrala i ja - bedacy juz teraz Garanem z Plomieni, ze swiata jaskin na planecie Tav. Nasze wspolne przezycia byly zbyt bolesne, a bol zbyt swiezy, aby o nich rozmawiac.

Kim ja wlasciwie bylem? Garanem z Yu-Lac czy Garanem z Plomieni, zywym, mogacym w kazdej chwili wyciagnac dlon ku Thrali? I gdzie my wlasciwie sie znajdowalismy? Widzialem puste pomieszczenie, a w nim ogromne lustro, za ktorymi byla widoczna tylko czern.

Poszukiwanie zakonczylo sie. Koniec byl poczatkiem.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/